

POMERANIA

MIESIĘCZNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY



Rzeźba Zygmunta Bukowskiego
Fot. Henryk Kleinzeller

Aż ścichnie ból...

Henryka Dobosz

Listy z nieba

Jerzy Samp

Przez dziewięć garbów

Zbigniew Gach

Cesk czasu

Z E. Gołąbkim rozmawia
Edmund Szczesiak

Błędy i mity w majestacie nauki

Konrad Ciechanowski



12'83

POMIERANIA

MIESIĘCZNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

Rok zał. 1963

grudzień 1983

Nr 12 (128)

REDAGUJE ZESPÓŁ:

Zbigniew Gach
Stanisław Janke
Wojciech Kiedrowski
(redaktor naczelny)
Krystyna Puzdrowska
(sekretarz redakcji)
Edmund Szczesiak

KOLEGIUM REDAKCYJNE:

Józef Borzyszkowski
Jerzy Kiedrowski
Wojciech Kiedrowski
Stanisław Pestka
Krystyna Puzdrowska
Jerzy Samp

Prenumerata na rok 1984:
roczna 480 zł, półroczna
240 zł, kwartalna 120 zł.
Egzemplarze z 1983 r. po
30 zł.

ADRES REDAKCJI:

Długi Targ 8/10
80-828 Gdańsk
tel. 31-36-56
Konto PKO
Gdańsk 19510-5890-132

WYDAWCA:

Zarząd Główny Zrzeszenia
Kaszubsko-Pomorskiego

INDEKS 37193

Druk.: Zakłady Graficzne
w Gdańsku
Zam. 1618, D 11

PL ISSN 0238-9045

* W numerze:

- 1 O. GAUDENTY KUSTUSZ — Nieco tajników z dziejów Kolędy Kaszubów
- 3 HENRYKA DOBOSZ — Aż ścichnie ból... Obrazki na szkle
- 8 KAZIMIERZ NOWOSIELSKI — Wiersze
- 9 JERZY SAMP — Listy z nieba
- 12 ZBIGNIEW GACH — Przez dziewięć garbów
- 15 Cėsk czasu z EUGENIUSZEM GOŁĄBKIEM rozmawia EDMUND SZCZESIAK
- 18 RYSZARD CIEMIŃSKI — Wołanie o Kaziuka własnego chowu
- 19 KONRAD CIECHANOWSKI — Błędy i mity w majestacie nauki
- 22 JAROMIRA LABUDDA — Wiersze
- 23 ANNA ŁAJMING — Mój dom (22)
- 25 E.SZ. — W trzysta lat później
- 30 WŁADYSŁAW ZAWISTOWSKI — Miasto hermeneutyczne
- 31 JÓZEF CEYNOWA — Kapłeczka
- 32 ANTONI PIEPER — Piraci
- 34 BERNARD HAZUKA, JERZY SZEWS — Zapomniany działacz z Lęborskiego
- 38 ANDRISÓW GUST — Jak jô bėł bogati
- 40 JÓZEF ROSZMAN — Jachta na dzėka
- 41 MIAŁSK — Absolutnie niezbėdny facet
- 42 EDWARD BREZA — Nazwisko Dewitz
- 42 STANISŁAW KLEIN — Konserwatorskie zabiegi przy „Fundacji Kalwarii” i fretronu z kościoła oo. franciszkanów w Wejherowie
- 43 JAN TREPCZYK — Pozdrzatk na kaszėbiznė w dokółach Budzisa
- 44 XIII Kaszubsko-Pomorskie Spotkanie Wdzydzkie
- 45 6 Seminarium Kaszėbsciė
- 46 Noty o ksiąŹkach + Fundusz Pomeranii + Kleka
- 48 Z Źycia Zrzeszenia + Listy

Redakcja zastrzega sobie prawo skracania materiałów nie zamówionych.



Spokoju i Radości
w Święta
Bożego Narodzenia
oraz
Pomyślności
w Nowym Roku
życzy
Redakcja

Nieco tajników z dziejów Kolędy Kaszubów

O. Gaudenty Kustusz

Na najstarszy ślad kolędy kaszubskiej wskazała w jednym z periodyków poznańskich Maria Kowalska informując, że była ona drukowana w starych kantyczkach w 1843 r. Leon Turkiewicz, były księgarz lwowski, przejrzał zbiory w Bibliotece Narodowej w Wiedniu, ale kantyczki z 1843 r. nie znalazł. Wpadł jednak na ślad prowadzący do Cieszyna, gdzie w 1866 r. ta kolęda została wydrukowana w „Zbiorze pieśni kościelnych na cały rok” czcionkami i nakładem Karola Prochaski¹⁾. Autorowi niniejszej notatki

nie udało się dotrzeć do tego tekstu. Dysponuje natomiast tekstem zaledwie dwa lata młodszym.

„Kolędę Kaszubów” (trzydzieści zwrotek) pod numerem 137 znajdujemy w zbiorze pt. „Pieśni na Boże Narodzenie z dodatkami pieśni nowych i Nowenny do tegoż Bożego Narodzenia”. Całość ukazała się w Krakowie w 1868 r. Miejsce wydania drukiem okazuje się odległe od miejsca powstania. Warto przytoczyć pełny tekst sprzed ponad stu lat.

KOLĘDA KASZUBÓW

Witaj Jezuniu! Witaj kochanie,
O pożądany od wieków Panie:

Z Kaszub w szopie stajem, pokłon ci oddajem,
Przed tobą czołem bijewa społem.

Lecz czemu tak leżysz, czemu w żłóbeczku?
Czemu tak przystoi, nie na łódeczku?

W stajence zrodzony, na sianku złożony:
Czemu z bydlęty, a nie z panięty?

Gdybyś w Kaszubach był narodzony,
Nie na sianeczku byłbyś złożony:

Dałbym ci sienniczek, i pod cię pierzniczek,
Parę poduszek, piernat jak puszek.

Odzież miałbyś nie ładajaką,
Z siwym barankiem czapkę bogatą:

Suknię z modrego sukna kaszubskiego,
A pas choć z siebie dałbym dla Ciebie.

Bekieszkę miałbyś futrem podszytą,
Pętelki u niej z tasiemką litą:

Czerwone buciki, pod niemi gwoździki;
Puszyłbyś sobie, nie tak jak w żłobie.

Gdybyś się w naszych Kaszubach rodził,
Nie takbyś się był Jezuniu głodził:

Na każde śniadanie, miałbyś przysmarzane
Z masłem bułeczkę, wódki szklaneczkę,

Na obiad miałbyś kaszę jęczmienną,
Rosółem żółtym tłusto podlaną:

Z soporem gęsinę, i z sperką jarzynę
Z imbirem flaki, zleż to przysmaki?

I jajecznicę z tłustą kielbasą,
Miałbyś maluchny nie liczą paszą:

Piwa Tucholskiego, albo Gostyńskiego,
Miałbyś po uszy, tu piłbyś z duszy.

A na wieczerzę z naleśnikami,
Byłby kiszki wraz z pierogami:

Byłby groch ze słoniną, rzepa z baraniną,
I wytuczony ptaszki pieczone.

U nas zwierzyna Jezu stołowa,
Byłaby dla cię zawdy gotowa:

Kuropateweczki i inne ptaszeczki,
Tłuste gołąbki, tuczne jarząbki.

Tu zaś niemasz nic cobyś jadł smaczno,
U nas wszystkiego dostałbyś łacno.

Do picia, jedzenia, z kim się zabawienia,
Z prokuratorem siadłbyś za stołem.

A tu w Betleem Żydzi boruchy,
Wszystko w bachorów swych pchają brzuchy:

Tobie by kruszyny nie dali zwierzyny,
Choćbyś był z młodu umarł od głodu.

Lecz to opatrzenie stało się Panie,
Nasze życzenie za dar niech stanie:

Serca na ofiary, dajemy ci za dary,
Nie garźdże niemi, choć ubogiem²⁾.

Za Barbarą Jabłońską zauważyć można, że ten utwór oprowadza nas po pewnej spiżarni polskiej i odkrywa nam sekrety kuchenne naszych pra-pra-babek³⁾. „Kolęda Kaszubska” odkrywa sekrety kuchni kaszubskiej, a nadto mówi także o specyfice ubioru ludzi tego regionu, ale przede wszystkim o ich uznaniu i czci dla narodzonego Dzieciątka. To bowiem co naprawdę mogą dać Dzieciątku wyrażają słowami:

Serca na ofiary, dajem ci za dary,
Nie garźdże niemi, choć ubogiem⁴⁾.

Zygmunt Gloger wydał w 1892 r. w Krakowie zbiór „Pieśni Ludu”, w którym zamieścił zebrane w latach 1861-1891 pieśni ludowe. Znajdujemy w nim znany nam tekst pn. „Kolęda Kaszubów” (z Pomorza bałtyckiego) bez jednej zwrotki, dwunastozwrotkową kolędę. Zbyt zaskakujący śmiałością poczęstunek Dzieciątka szklaneczką wódki zastąpiono szklaneczką miodu.

Omawiana kolęda znajduje się także w zbiorze pt. „Pastorałki i kolędy czyli Piosnki wesołe ludu w

czasie świąt Bożego Narodzenia po domach śpiewane, a przez ks. M. M. zebrane oraz Szopka dla małych dzieci". W egzemplarzu brak roku wydania, ale data reimprimatur kurii krakowskiej wskazuje na 22 sierpnia 1908 roku. „Kolęda Kaszubów” nosi numer 167 i liczy trzynaście zwrotek. Tekst jest zasadniczo identyczny z poprzednio przedstawionym.

W 1927 roku, urodzony w Rydze Werner Bergengruen (1892-1964), napisał w ośmiu zwrotekach tę samą kolędę na podstawie opowiadań służącej swoich rodziców, Kaszubki i włączył ją później do tomiku poezji „Die verbotene Frucht” (Zakazany owoc; Berlin 1938) pod tytułem: „Kaschubisches Weihnachtslied”⁴). W okresie powojennym tę kolędę nagrał płytowy producent Fidula w Boppard nad Renem. Melodię napisał Fr. Motzer, a na chór i instrumenty rozpiął ją H. Poser. Jako utwór pochodzący od Bergengruena potraktował go Stanisław Jerzy Lec. Tekst „Kaszubskiej kolędy” z własnoręcznym podpisem S.J. Leca, przetłumaczony przez niego w 1947 r., znajduje się w zbiorach Biblioteki Narodowej⁵). „Tygodnik Powszechny” opublikował „Kaszubską kolędę” jako utwór Bergengruena, jedynie tłumaczony przez Leca, w bożonarodzeniowym numerze 1970 r.

Wersja bergengruenowska oddaje klimat znanego nam już tekstu. Wprowadziła jednak nowe elementy, negatywny obraz Kaszubów. Widocznie Kaszubka, narratorka Bergengruena, miała tak przykre wspomnienia z rodzinnej miejscowości, że autor wersji niemieckiej umieścił następującą zwrotkę:

„Stodół już nie byłoby płonących,
Ibów pijackich skrwawionych w niedzielę

Gdybyś się dzieciątko na Kaszubach,
Gdybyś się tam u nas urodziło”⁶).

1. Ilustrowany Kurier Polski 283 (1976)

2. Pieśni na Boże Narodzenie z dodatkiem Pieśni Nowych i Nowenny do tegoz Bożego Narodzenia. Za pozwoleniem cenzury duchownej i rządowej, Kraków 1868, kolęda nr 137

3. Barbara Jabłońska, O kolędach i pastorałkach polskich, Nasza Rodzina 12/1978/20-23

4. Ferdinand Neureiter, Historia literatury kaszubskiej, Gdańsk 1982, s. 165

5. Ilustrowany...

6. Tygodnik Powszechny 51-52 (1970)

7. Neureiter, dz. cyt., 165

8. Andrzej Bukowski, Zwyczaj kaszubskie w czasie Bożego Narodzenia, Kaszuby, R.1; 12 (1936)

9. Bernard Grzędzicki, Chmielno, Gdańsk 1980, 166-168

10. Władysław Kirstein, Kaszëbsczi kolëdë ë godowé spiëwë, Gdańsk, 1982, 64-66

Dzięki Bergengruenowi zrobiła ta kolęda karierę europejską.

W 1929 r. ukazała się w ilustrowanym piśmie tygodniowym „Tęcza” w języku polskim. Kompozytorem melodii jest Feliks Nowowiejski, a słowa przypisał ks. Pawłowi Nagórskiemu. Kolęda liczy jedynie trzy zwrotki.

W 1930 r. Alojzy Budzisz opublikował w kalendarzu „Wierni Naszinc” (Kartuzy 1930) „Kaszëbskô pje-snjô godowô”⁷). Oparł się na polskim tekście kolędy, nazywanej „Kolędą kaszubską” lub „Kolędą Kaszubów”. Odtąd rozpoczęły się dzieje nowego wcielenia dawnej pieśni bożonarodzeniowej.

W 1936 roku Andrzej Bukowski zapewnił, że po wieczery wigilijnej następowała chwila zapalenia choinki i śpiew radosnych melodii kolęd, a wśród nich oryginalnej kolędy, w której Kaszubi się użalają, że „Pon Jezus” narodził się w takiej nędzy⁸).

Do Chmielna „Kolęda Kaszubów” w języku polskim dotarła po pierwszej wojnie światowej, za pośrednictwem biblioteki Towarzystwa Czytelnia Ludowych i szkoły. Informuje nas o tym Bernard Grzędzicki. W monografii „Chmielno” podał tekst kolędy za „Skarbem Strzeczy Naszej”, zaznaczając, że autor i wydawca nie są znani. Uwzględnił jedynie jedenaście zwrotek. Zostały nadto zmienione wyrazy „wódki szklaneczke” na „miodu szklaneczke”, a zakończenie brzmi: „Nie gardźcie nami — z Kaszub służkami”⁹).

Tekst kolędy w języku kaszubskim pojawił się ponownie w 1936 roku w zbiorze „Kaszuby. Pieśni ludowe kaszubskie zebrał Marian Kuhn. Głos 2 i 3 opracował Karol Hławiczka”. Zostały one wydane w Biblioteczce Pieśni Regionalnych (numer 3) pod redakcją Karola Hławiczki. Całość ukazała się nakładem i drukiem Księgarni i Drukarni Katolickiej w Katowicach.

Prawie pięćdziesiąt lat później tekst kaszubski znalazł się w opracowaniu „Kaszëbsczi kolëdë ë godowé spiëwë”. Zebrał je i wstępnie opracował Władysław Kirstein. Zbiór ukazał się w 1982 roku w Gdańsku. Zwrotki 1 i 2 podał wydawca za M. Kuhnem. Odnosnie do dalszych zwrotek (3-13) informuje, że ich autorem jest Stefan Bieszk. U Bieszki jest również inna wersja trzeciej zwrotki¹⁰). Trzeba podkreślić, że ta kolejna wersja omawianej kolędy oddycha głębiej kaszubską rzeczywistością nie tylko ze względu na język kaszubski, jakkolwiek nie jest pierwotną relacją z 1868 r. o tym, z czym Dzieciątko Jezus byłoby się spotkało, gdyby się urodziło na Kaszubach. Melodia jest identyczna z ową z 1936 roku. Uchodzi za pochodzącą z byłego powiatu morskiego.

Istnienie aż trzech wersji omawianej kolędy wskazuje na ciągle interesującą oryginalność.

Obrazki na szkle

Aż ścichnie ból...

Henryka Dobosz

Obrazki są jasne, „przenikliwe”. Czujesz czystość powietrza, zapach wilgotnej trawy wczesnym rankiem, skrzypienie śniegu pod nogą dziecka, w zimowy dzień, miękki dotyk ziemi przy kopaniu ziemniaków, chłód od pola. Lecz jest w nich także cicha mgiełka, ledwo uchwytna, jak wczesny zmierzch, czy raczej ta przejściowa zwiwna chwila między pełnym

dniem a zmierzchem, zaczajona w głębi lękliwa szarość.

...

Z domu jestem Zielke, Anna Zielke, Basmann po mężu. Mąż przyszedł do nas z Łebcza, wzenił się,

jak to mówią. Gnieźdźewo ma tysiąc pięćset mieszkańców, w tym może trzecia część Zielków. Matka z rodziny Kuchnowskich, drugi stary miejscowy ród. Oboje z ojcem tutaj urodzeni, tak samo jak i ich rodzice. Czyli jestem tutejsza z dziada pradziada, z połową wsi spokojniejszą, ze strony ojca albo matki, czasem z obydwu stron, tak tu w Gnieźdźewie jest, jedna krewność. Ale maluję we wsi tylko ja jedna, ja i moje córki. Jeszcze Bizewski robił różne ładne rzeczy z rogu, słynne kaszubskie tabakierki, on już nie żyje. Widocznie Pan Bóg tak podzielił zdolności między ludzi, że każdy dostał co innego, a od czasu do czasu, na przykład jeden na tysiąc otrzymuje taki dodatek, że umie śpiewać, malować albo układać wiersze, robić coś, co innym się wydaje nieważne i musi w tym być jakiś sens.

Na obrazku siwe, jesienne pole, rozległe aż po horyzont. Na pierwszym planie mężczyźni i kobiety klęczą rzędem w bruzdach. Nie widać zindywidualizowanych twarzy, tylko ten znojnny przgięty ludzki szereg. Z tyłu dwie postacie przy kopcach, wóz z końmi, kot, małe, ledwo zaznaczone figurki ludzi i zwierząt, jakby wessane w tę szarą barwę.

Nie byliśmy zamożni, raczej odwrotnie. Dziadek Kuchnowski był ranny w I wojnie światowej i potem umarł młodo, babka została sama z ośmiorgiem dzieci. Dzieci tutaj ludzie zawsze mieli dużo, ziemi mało, większy zagon ciągle był dzielony na mniejsze kawałki. Drugi dziadek, Zielke, ojciec ojca, zajmował się murarstwem, miał uprawnienia mistrzowskie. Budował osiedle rybackie na Helu, a mój ojciec mu pomagał. Widać budowali porządnie, bo te domki stoją jeszcze dziś. Ojciec od szesnastego roku życia płacił pieniądze do cechu, a tak jakoś wyszło, że nie ma nawet renty na stare lata. Rządy się zmieniły, ale przecież jego pot wsiąkał w tę ziemię, tu gdzieś jest zapisana jego praca. Po ojcu zaczął murarzyć mój mąż. Tak więc moja rodzina muruje domy w tych okolicach już w trzecim pokoleniu. Ziemiśmy przed wojną nie mieli i tęskniliśmy żeby mieć. W moim domu rodzinnym było nas sześcioro rodzeństwa, ale jedną siostrą umarła mała, druga jako dziewiętnastoletnia panna na zapalenie opon mózgowych, ta była uzdolniona muzycznie, jaki instrument wzięła do ręki na tym grała, na akordeonie, organkach, gitarze, pewnie odziedziczyła to po swoim ojcu chrzestnym, który na weselach grywał. Zostałam się z trzema braćmi. Kiedy skończyłam jedenaście lat, zaczęłam jako najstarsza w domu wyrabiać się u gospodarzy. Najcięższe były żniwa, ale jakie wesołe. Jak się skończyło kosić, plotło się wianek i niosło na grabiach. Namalowałam niedawno taki obrazek „Wieńcowe”. Jak maluję te obrazki, to widzę siebie młodą, widzę jak idę i śpiewam: „Plon wionku plon, naszym panom w dom. Mesme dzise dograbile, beccka piwa zarobile. Plon wionku plon”. Lubiłam śpiewać, to mi zostało. Kiedyś przyjechał wóz transmisyjny i mnie nagrali do radia, okazało się, że zajęłam I miejsce jako solistka w pieśni kaszubskiej. Teraz też chodzę i śpiewam, przeważnie pieśni kościelne.

„Podwórko” — najpiękniejszy z obrazków, cały skąpany w cichym świetle. Był na wystawie w Wojewódzkim Ośrodku Kultury w Gdańsku podczas Jarmarku Dominikańskiego. Każdy się przed nim zatrzymał i nawet nie wiadomo dlaczego. Najzwyczajniejsze wiejskie podwórko, koń, krowa, koza, owca, królik, kury jedzą z koryta, gęsi gęgają, z boku suną kaczęta, kot się przeciąga w słońcu, pies rozgląda się przy budzie leniwie, kobieta doi krowę, chłopiec siedzi na progu domu i je kromkę chleba. A nad tą gromadą ludzi i zwierząt, zmieszanych w jedno, unosi się coś, co nie nazwane, jakieś światło życia.

Wesoła jestem, żartowna. To może widać w obrazkach. Takie już usposobienie szczęśliwe, mało nerwowe. Po co się denerwować. Z synową się nie kłócimy nigdy. Przyszła młoda, nie nie umiała, nauczyłam ją gotować, piec, szyć, teraz pierwszorzędną gospodyni. Niech nie wspomina źle, jak umrę. Bo co po nas zostaje? Trochę tego uczucia. Tyle ile się ludziom od siebie dało. Dzieciom przeważnie, wnukom. Wnuków mam na razie dziesięcioro, najmłodsze to Manuelka, córka mojej najstarszej, Trudzi. — Spij Manuelciu, spij, coś ty taka grymasna, a to się dziecko zawzięło, jak się będziesz zawzięła, babcia da klapsa. — Widzi pani, pomogło. Dzieci się kocha i one muszą to czuć, ale dzieciom nie można pozwolić na wszystko, bo wejdą nam na plecy. Tak chowałam swoje. I wszystkie kochać jednakowo. Jeżeli prezent, to każdemu w podobnej cenie. Tak samo posag. Wszystkim dzieciom się pomagało. A moje własne dzieciństwo? Czy ono było takie wesołe? Gęsi pasłam, zbierałam dla nich osot po polach, wyganiałam krowę. Krowa dobre stworzenie, nieraz ogrzała w zimny dzień. Krowa chyba ma jakąś duszę. Jak idziesz zabić cielaka do obory, on to czuje, padnie na kolana i płacze. Wydzierżawiliśmy z mężem ziemię od gminy, potem kupiliśmy na własność sześć i pół hektara. Chowaliśmy trzy krowy, dwie zawsze dojne, najlepszą zabrali za Bieruta jako zagroźliwą, gorsze zostawili. Te ładne dojne sztuki oddawano podobno na Żuławy do pegeerów.

„Wesele kaszubskie”. Młoda para jedzie karetą. Pan młody w kapeluszu, wyprostowany z godnością na siedzeniu, Panna młoda lekko skulona, jak zwinęta w kłębek. Woźnica, także ubrany ceremonialnie, ochoczo strzela z bicia, spieszy mu się. Konie niosą cwałem. Dokąd niosą te konie, w jakie życie? Rysunek postaci jak zwykle uproszczony. Ważniejsza jest ta biała otwarta droga, po której jadą, niepokalany zagadkowy szlak. I drzewa przy drodze, spokojne, monumentalne, odwieczne, niemi świadkowie ludzkiego losu.

Jo, to jest dalekie wspomnienie mojego własnego wesela. Od ślubu jechaliśmy takim właśnie powozem. Karetą była opleciona wiankiem z kwiatów i świerku. Kwiaty we wianku wyobrażają życie, świerk grób. „Że cię nie opuszczę aż do śmierci”. Straszne jest wymawiać takie słowa, gdy się jeszcze wcale nie zna życia.

Pobraliśmy się w 1948 i małżeństwo, jak to małżeństwo. Dzieci rodziły się po kolei. Jerzy, Trudzia, Wacek, Renia, Danusia, Ela. Sześcioro. Mąż ciężko pracował przy murarce, więc w polu ja jemu we wszystkim pomagałam, sama wozila torf furmanką na ogrzewanie domu (namalowałam potem taki obrazek „Kopanie torfu”, łąki są tutaj torfiaste, ale teraz już się nie kopie, zabronione), mąż nie przepił, odkładał, dusił pieniądze, na życie dorabiałam szyciem, haftami, malowaniem szarf na pogrzeby. Od 1958 roku zaczęłam robić te obrazki na szkle, choć nieduży, wszystko przeznaczałam na wyprawę dla dziewcząt. Ile razy siałem malować, mąż wołał: kury głodne, dzieci krzyczą, wynajdźcie mi robotę. Oczywiście miałam dobre, malowałam po nocach. Jakoś nam szło. Pobudowaliśmy dom, który niedawno trzeba było rozebrać, choć jeszcze nie stary, bo pod spodem są żyły wodne, wilgoć była taka, że gnily meble, ja nie mogłam w nocy spać, kręciło mnie, trzęsło, myślałam, że od telewizora, a to od tych żył, sprowadziliśmy ródźkarza, trochę pomógł, w końcu zaczęliśmy burzyć ściany po kawałku, zakładać izolację i budować na nowo, na tym samym miejscu, bo innego nie było, wąska ta nasza starkowizna. Wybudowaliśmy się razem z synem Wackiem, przy którym chcemy zostać. Wcześniej mąż postawił trzy domy we Władysławowie dla córek, oddzielnie dla Trudzi, ona wyszła za Kaszubę z Redy, wspólny

dla Reni i Danusi, bo obie są za braćmi (Korzeniowscy), całkiem z innych stron, ale też porządni ludzie, wywodzą się z Mazurów, mówią, że przyszedł do Gnieźdźewa krew kaszubską mieszać, żeby się całkiem nie zastąpiła, a niech się miesza) i ostatni dla Eli, jak wyjdzie za żonę, będzie miała, jak znalazł. Dwadzieścia lat temu, kiedy się ta najmłodsza urodziła, kupiliśmy duży plac we Władysławowie, z planem, żeby wszystkie dzieci pobudować, bo dom to podstawa, korzenie, których łatwo nie wyrwiesz. Pojechałam do RFN do brata, namawiają: zostań. Nie, nigdy, choć tam dobrze. Ale własne domy mają tylko milionerzy, inni u nich wynajmują, a ja bym nigdy nie chciała mieszkać w wynajętym domu. Zresztą brat też chce tu wracać na stare lata, kości złożyć koło matki, ojca, widać nie go tam nie trzyma. A Gnieźdźewo? Same prywatne domy, ładne, solidnie wymurowane, podwórka ogrodzone starannie, ogródki. Kto nas stąd ruszy?

„Babcia przedzie wełnę, dziadek miele tabakę”. We wnętrzu wiejskiej chaty dwie ludzkie figurki, on i ona, bardzo starzy oboje. Czujesz spowolnienie ich ruchów. Ale od czerwonego, ręcznie tkanego pasiaka na podłodze płynie domowe ciepło. Nad całością dominuje niebieski kolor ukojenia. Taki musi mieć nastrój pogodny wieczór ludzkiego życia.

Doczekaliśmy się z mężem w tym roku srebrnego wesela. Czerdzięści lat minęło. To zdjęcie z tej uroczystości. Ja w srebrnej, brokatowej sukni według obecnej mody. A ta zwiewna młoda osóbką w welonie to też ja, pani nie poznaje? Pani myślała, że córka? Zdjęcie sprzed czterdziestu laty. A tu jeszcze większa ceremonia, diamentowe gody moich rodziców. Oni oboje w środku. Ojciec skończył osiemdziesiąt osiem lat, jeszcze wejdziesz po drabinie na jablek na dach komin naprawić. Mama siedemdziesiąt dziewięć, a też nie wygląda na swoje lata. Bracia z żonami. Stefan, ten z Niemiec, z Marią. On często przyjeżdża. Działa tam w polskim związku „Zgoda”, u nich się mówi po polsku albo po kaszubsku, jak wchodzisz do pokoju, zaraz widzisz białego orla. Brat Andrzej z Gdańska z Ksenią. Jest przy przeładunku w porcie, on się napracuje, ma złą odznakę „Zasłużony pracownik morza”. Edmund z Ireną z Władysławowa. I ja bez męża, który w tym czasie gdzieś wyleciał z remizy, jak było robione zdjęcie. Weseliliśmy się całą noc. Kwiatów pełno, naznoscili ludzie ze wsi, bo tu dawno nie było diamentowych godów. Każdy niósł prezent. W Gnieźdźewie my z nikim nie jesteśmy w złości.

„Król Herod”, „Krowy ustrojone na wigilię św. Jana”, „Kaszubskie Sobótki”, „Śmingus-dyngus”, „Wydzwanianie drzewek w Sylwestra”, „Przebierańcy”. Zanikający świat wiejskiego obyczaju, bogatej kaszubskiej kultury ludowej. Obrzędy świąteczne. Święto miało ceremonialną, zabawową obrzędowość, z optymistyczną myślą przewodnią. Dobro jest silniejsze od zła, życie od śmierci. Przyroda zasypia, utoja się, ale nie umiera, budzi się w wiosnę. Człowiek jest elementem natury, wplecionym w rytm wschodów i zachodów słońca, w powtarzalność pór roku, w z góry ułożony, nieubłagalnie logiczny kalendarz wszechświata. Pozostaje mu wciąż ten nieodgadniony wyższy plan, porządek natury, zamysł boży. W prostocie tego wniosku zamknięta jest mądrość pokoleń, które odeszły, wiekowe doświadczenie ludzkiej wspólnoty. Najgłębsze prawdy są proste. Człowiekowi, który szuka intensywnie swojej drogi, ponoć najbardziej opłaca się pytać o nią albo bardzo wybitnych mędrców, albo ludzi prostych.

Anna Basmann z wielką skromnością utrwała wiernie to, co jest jej znajome w kaszubskim obyczaju. W przyszłości, gdy cywilizacja telewizyjna pochłonie ten autentyczny, tak zindywidualizowany w

formie ludzki świat, jej obrazki mogą być czymś w rodzaju pomocy naukowej dla etnografa, badacza kultur ludowych. Od siebie dodaje nastrój, koloryt uczuciowy, z jakim to zdarzenia z życia najbliższej rodzinnej okolicy zrosły się w jej pamięci. Przebierańcy są nieco nierzeczywiści, surrealistyczni, tak odbierała ich wyobraźnia przestraszonego dziecka. Niedźwiedź, baran, małpa, dziad, baba gra na akordeonie, co za różnorodność i pomieszanie postaci. No i oczywiście diabeł i śmierć. Król Herod wstrętnie wykrzywiony, uosobienie szatańskich zamiarów wobec Syna-Boga. Naiwnie odczytane. Pozna, co piekło. W Sobótki dziewczęta i chłopcy zapalają za wsią beczkę po smole, śpiewają i tańczą. Jest fioletowa noc bez gwiazd, na niebie wąski kosmyk księżyca. W taką noc każdy mógłby może szukać swego przeznaczenia zwanego kwiatem paproci. Ale oni są tutaj razem przy tej płonącej żagwi. Dzieci i starzy obok, stoją i patrzą, jak młodzi tańczą. Inna noc, Sylwestrowa, wybielone śniegiem podwórce, przepelnione cichym światłem. W środku senne drzewka. Biegają dzieci z dzwonekami, skradają się, dzwonią, budzą je z zimowego snu.

Kiedy ja zaczęłam malować? Malowałam zawsze, kiedyś na dykie, na brystolu, kwiaty, postacie świętych. W 1958 roku zetknęłam się z panią Skurówą, żoną tego sławnego gdańskiego metaloplasty, zajmowała się sztuką ludową, objeżdżała wsi. Podpowiedziała mi, żeby spróbować na szkłe, okazało się, że to mój gatunek. Od tego momentu to liczę, jako coś dla mnie ważnego, nieustannie towarzyszącemu mojemu światu. W tym roku wypada więc dwadzieścia pięć lat tego malowania. Pani Szałaśna, etnograf z Wojewódzkiego Ośrodka Kultury, opisała to wszystko i posłała do Ministerstwa Kultury i Sztuki, niedawno przyszła wiadomość, że mam dostać emeryturę dla zasłużonych twórców ludowych. Mąż mówi: nie uwierz, dopóki nie zobaczę. On nigdy całkiem nie wierzył, że to na poważnie. Podobnie jak tutejsi ludzie. W Gnieźdźewie moim malarstwem nikt się specjalnie nie interesuje, oni wiedzą to samo, co i ja wiem, pewnie sądzą, że maluję rzeczy mało ciekawe, może dopiero ich dzieci docenią, gdy ta wieś z moich obrazków do reszty zginie. Najwięcej kupują ode mnie miastowi i turyści zagraniczni. Jak WOK zaczął te starania o emeryturę, wynikły kłopoty z dokumentacją. Pani widzi, że ja nie mam w domu żadnych swoich prac, tylko te dwie co leżą na szafie. Wszystko poszło w ludzi. Kto przyjechał, zdejmował ze ściany. Wojciech Siemion był, kupił dwa obrazki, on ma podobno wspaniałą kolekcję sztuki ludowej. Z Siemionem wynikło śmiesznie, przywiózł go redaktor Rafałowski z Gdańska, trafili nie do mnie, a po sąsiedzku do mojej matki. Mama wychyla się przez płot i woła po kaszubsku: Anka przywieźli semena. Zrozumiałam, że nasiona. Brandys wziął dwa na wystawie w Starej Kordegardzie. Który Brandys? Jest Marian i Kazimierz? Nie wiem który. Mam tu gdzieś jego adres w papierach.

Czy mi nie żal, że one tak przepadają bez śladu? Nie, dlaczego, niech ludzi cieszą, jest mi nawet przyjemniej, jak pomyślę, że tak sobie krążą po świecie, są tam, gdzie mnie nie ma, gdzie ja może nigdy nie będę, w Montrealu, w RFN, Francji, Szwecji, Holandii, Szwajcarii. W Polsce są w różnych muzeach. Ktoś przychodzi popatrzeć, widocznie mu się podoba. Niech dobrze idzie w ludzi. Może te obrazki są tym, co ja mam najlepszego.

Kiedyś malowałam bardzo dużo, naprzód próbowałam farbą olejną, a po wierzchu lakierem, rozmazywało się, nie było tej lekkości, potem przeszłam na temperę. Teraz oczy mam już gorsze, ale jeszcze zrobię te sto sztuk rocznie. Był czas, że malowały ze mną wszystkie córki, był nawet o nas film w telewizji, niby taka ciekawostka. Ela, najmłodsza, zaczęła, jak jej było sześć lat, ukończyła w tym roku średnią szkołę plastyczną, uczy w podstawówce we Władysławowie. Wszystkie brały udział w konkursach młodych talentów w Łączyńskiej Hucie. Poza tym razem ze mną haftowały, Trudzia nawet tkala. Chyba to są zdolności dziedziczne, które się przeno-

szą w nerwach albo we krwi, bo i wnuki mają ciąg do rysunków, na przykład Monika, córka Wacka. Ale starszym córkom przeszło, jak ręką odjął, kiedy powychodziły za mąż. Teraz rodzą, wychowują, żyją, życie też sztuka, najtrudniejsza. Jak przeżyją to najważniejsze, mogą znowu zatęsknić do malowania. Choć ja nie mogłam nigdy przestać. Widać te obrazki były mi potrzebne i w weselu, i w smutku. I jak Jerzyk zginął...

„Orka i pieczenie ziemniaków”. Chłop orze pod lasem. Człowiek i koń złączeni w jedno przez monotonny, miarowy rytm ich pracy. Przed nimi wielka przestrzeń pola. Nad nimi otwarte niebo, cisza. Na pierwszym planie mali chłopcy pieką kartofle w ognisku. Ognisko i dzieci ocieplają surowy, jesienny pejzaż. „Pastuszek grający na fujarce”. Na wystruganym przez siebie z drzewa najprostszym instrumencie samotnie gra chłopiec. Krowy popodnoszą głowy. Żują czy słuchają? Czuje się ciepłe lato, słodki zapach łąki. W górze zawisł, zatrzymał się w locie na tle niebieskiego obłoku szary ptaszek, skowronek. Obydwa i ptak, i dziecko, chwala piękno letniego dnia, śpiewają jakby to samo. Jest w tym radość i nostalgia.

W pogodnych pejzażach Anny Basmann jest jakaś odrobina nostalgii, która budzi skurcz serca.

Ja właściwie nie opowiedziałam pani tego, co najważniejsze. O wojnie. I o Jerzyku.

Jak się zaczęła wojna, miałam piętnaście lat, od dwu miesięcy uczylałam się szycia. Dziewczęta takie jak ja wywożono od nas na Żuławy na roboty do Niemców. Mój ojciec się tego przestraszył, dał mnie na Hel do bawienia dzieci, naprzód do takich Grunwaldów, dosyć dobrzy byli ludzie, chociaż rajchsdojcze, dawali mi dodatkowo rybę, bo nam na kartę „P” nie starczało w domu żywności, mimo że ojciec chował po kryjomu jedną nie zapisaną świnię, obszywałam po kolei ich wszystkich krewnych, utonął po wojnie na „Gustlafie”. Potem byłam u Polaków Michalskich, na Helu spędziłam dwa lata. Jak zaczęły się bombardowania, naloty, wróciłam do Gnieźdźewa. Dziadkowi zabrano gospodarstwo, dwu wujków było w lagrze w Potulicach. Dał nam III grupę, wszyscy przyjęli, tylko ciotka z Gdyni i wujek do końca nosili naszywkę „P” na rękawie. Baliśmy się. W domu choinka polska, koledy, mówiło się po kaszubsku. Ale taka wieś, gdzie się schować, jak się obrócić. Dla prostego człowieka jedna jest droga, przyciąga się. Matkę ciągną do Frauenschaftu, kryje się po kątach, wykreca, jakoś zostawili. Ojciec chodził do pracy, murował, trzeba było żyć. W żadnych organizacjach niemieckich nie byliśmy. Ja nie lubię wspominać tamtych lat. W czterdziestym trzecim Stefana, najstarszego brata, wzięli do Wehrmachtu, na wybrzeżu francuskim dostał się do amerykańskiej niewoli. Stamtąd pojechał do Niemiec i został. I takżeśmy się rozdzielili. Ożenił się z Kaszubką, też z Gnieźdźewa, mówiłam już, że chcą na starość wracać. Tutaj losy ludzkie są mocno pokręcone, wielu stąd ma rodzinę w RFN, ludzie lekko sądzą, najsprawiedliwej Bóg osądzi. W czterdziestym piątym stacjonujący w szkole oddział SS uciekł przed frontem. Baliśmy się ich, ale poszli bez walki. Potem znowuśmy się bali. Te wszystkie wsie zostały rozpedzone, zresztą pomińmy szczegóły. Puck się został, bo tam był tyfus, zatrzymaliśmy się w Pucku, w szpitalu leżeli pokotem uwolnieni więźniowie ze Stutthofu chore Żydówki. Ojciec najął się do szpitala pompować wodę. Wynosił te trupy po tyfusie. Ale w domu nikt się nie zaraził, przeżyliśmy. Przeżyło się dużo.

Wojny nie malowałam nigdy, bo wojna jest wbrew naturze. Od tamtych czasów ja mam wstręt do wszelkich organizacji. Do niczego nie należałam i nie należę, tylko raz i to krótko, do Komitetu Rodzicielskiego. Pani się chyba nie podobą to, co ja mówię. Jak człowiek jest osaczony, jak naród jest w takim położeniu jak nasz, to kto nam pomoże? Brat

z Gdańska powiedział mi, że przed 31 sierpnia pokazały się w mieście jakieś ulotki, dlatego nie pojechałam na zamknięcie mojej wystawy. Ja wierzę w dom, w rodzinę. Szanuj ojca i matkę swoją. I mówię ojców. I nie zapieraj się tego, czego oni cię nauczili, a nie wyrzekniesz się siebie. „Twierdzą nam będzie każdy próg, tak nam dopomóż Bóg”. Jo.

Cykl obrazków rybackich. Sino-niebieskie morze, żółty piasek plaży, sieci suszą się przy brzegu. W dali jest rozkołtowany falą żywioł, raczej przecucie rozszalałego żywiołu. Ale to nie jest dla niej temat pierwszoplanowy, morze przejmuje lekko, ona maluje cichy brzeg.

Niedaleko za wsią już się zaczyna Zatoka Pucka. Pójdiesz brzegiem na północ, dojdiesz do Władysławowa, Chałup, Jastarni, aż na Hel, dojdiesz do wielkiej wody. Morze jest przejmuje, utajone jak ludzki los. Patrzysz w nie, jakbyś patrzył w nieskończoność. Ci z półwyspu, rybacy, oni to chyba lubią, trochę inny gatunek ludzi, niespokojni ryzykanci. Poznałam ich przez te dwa lata wojny. Tu tejsi na odwrót, przypięci tysiącami korzeniami do łądu. Dzieci podobnie jak ojcie. Choć dzieci ptaki, muszą wyfruwać z gniazd. Zostaje jedno. U nas syn Wacek. Odpisaliśmy mu pięć i pół hektara ziemi, jak należy, sądownie, nie przez gminę. Dlatego nie dostaniemy za ziemię renty. Gdyby przez gminę, to by dali. Więc może jest w tym jakaś kombinacja? Może kiedyś gmina, jak się jej zechce, będzie mogła tę ziemię ludziom odebrać? No jeżeli tak, to trudno. Wacek zresztą dobry syn, pracowity gospodarz, nie pali, nie pije, ramki mi robi do obrazów. Tu się przeważnie żyje z rolnictwa, sieje i orze. Kiedyś jeszcze sami piekliśmy chleb. Zrobiłam taki obrazek „Pieczenie chleba”, piec chlebowy pośrodku podwórza. U nas takiego nie było, widziałam w Werblinie, ale przed oczami miałam swoją matkę. Bierze ciasto w omoczone wodą ręce, kładzie wilgotne na czystym, białym płótnie na desce, potem wsuwa w środek żaru, opieka na jedną stronę, wyjmuje i przewraca na drugą. A dla dzieci robi na końcu z tego chlebowego ciasta kuchni, bułki z jabłkiem w środku. Chleb był pachnący i biedny. Ludziom z półwyspu zawsze się powodziło lepiej niż nam, morze gwałtowniej zabierało, ale dawało więcej niż ziemia. Rybaczki z Chłapowa i Chałup chodziły z korznięmi, takimi dużymi koszami na plecach, od wsi do wsi i sprzedawały rybę na mendle, miały z tego świeży grosz. U nas rybaczył tylko jeden Klewa, miał łódź przed wojną, ale też nie wiem, łowił zawodowo, czy tylko dorabiał do ziemi. Namalowałam te rybaczki, tak mi jakoś utkwiły w głowie, powtarzałam ten motyw nawet parę razy. Często maluję na nowo te same motywy, ale za każdym razem jednak inaczej. Bo i myśli przecież człowiek o tym samym, o swoim życiu, ojców, matce, dzieciństwie, o własnych dzieciach, jakie są, jakie będą, o ludziach, których spotkał, obrazach, jakie zapamiętał. Tylko co ciekawe? Ta sama myśl nigdy nie jest taka sama, raz przejrzysta, lekka, drugi raz cięża jak kamień.

„Matka Boska Bolesna z Chrystusem zdjętym z krzyża”. Grubokoścista jak wieśniaczka, nieco sztywna, wyprostowana, z martwym synem na padołku, bezradnie wpatrzona w jeden punkt, wiejska pieta. Pięte namalowała Anna Basmann po raz pierwszy niedawno, mówi, że wcześniej nie mogła się jakoś na to zdobyć, że to przekracza granice jej talentu, nie miała odwagi.

Jerzyk miałby dzisiaj trzydzieści dziewięć lat, był moim najstarszym, wtedy skończył jedenaście. W 1955 roku niewypał rozerwał go na kawałki. Tak

zdradziecko w dziesięć lat po wojnie wróciła do mnie wojna. Dobrze było dziecko, duży, silny chłopak, a dziwnie łagodny. Wacek, choć młodszy, zadziara, popchnie go, uderzy, tamten stoi, nie odda. Z moich dzieci najbardziej może uzdolniony plastycznie, lepił z gliny takie pocieszne zwierzątka i malował każde na inny kolor. Został po nim szkolny rysunek „Uczniowie Spartakusa”, ilustracja do lektury, piękny, nauczycielka obniżyła mu stopień, myślała, że to ja namalowałam. Po śmierci Jerzyka dostałam zaników pamięci. Gdzieś zajdę, nie wiem po co, coś kładę, szukam, nie znajduję. Tak w kółko. Pojechałam po farby do Gdańska, zapłaciłam, wróciłam bez farb. Bo i wtedy malowałam. Wtedy nawet więcej. Dom śpi, mąż zmęczony, małe dzieci w łóżkach, ręce i nogi bolą po całym dniu, ale czuję, że nie zasnę, serce pęka. Boże, dlaczego? Za co? Rozkładałam szkło i tempere, i maluję. Aż ścichnie ból.

Potem jeszcze Renia była pod samochodem, z dziurą w głowie wielkości włoskiego orzecha. Przeszło bez śladu, Bóg uratował.

A ból po Jerzyku przysiął. Wszystko, nawet ból przemija. I to też boli, to przemijanie. Tylko jak się dzieci żenią po kolei, ja po nim płaczę. Wszyscy są, a ciebie, synu, nie ma. I zawsze na wigilię stawiam jemu talerz.

„Święty Marcin”, „Święty Antoni z Dzieciątkiem”, „Matka Boska Swarzewska”, ten obraz ceni najwyżej, dwa tysiące złotych. Za inne, nawet większe, bierze po tysiąc, tysiąc pięćset. Kiedyś brała po osiemdziesiąt złotych, ale to dawne czasy, kilka lat temu. Matka Boska jest w lekkich czerwieniach, godna i hieratyczna, aksamitnie wyłożona. Tło niebieskie. W dolnym rogu zarys kościółka. W górnym orzeł biały.

Jakby co, to my jeszcze mamy wiarę. Dziś był odpust w Swarzewie, to jest nasza parafia. Pielgrzymki szły przez dwa dni, tysiące ludzi, w deszczu. Od Gdyni, Redy, Wejherowa, Luzina, Bolszewa, naliczyłam dziewiętnaście feretronów w czasie procesji. A swarzewskie chorągwie na przedzie. W tym cztery moje, sama wyhaftowałam, za darmo, na chwałę bożą.

Matka Boska Swarzewska cudami jest słynąca. Podobno figurkę rzeźbił artysta z Holandii, wieziona była statkiem, na statek napadli piraci, Matka Najświętsza była z lipowego drzewa, lekko kołysała się na wodzie, wyłowili ją rybacy, zawieźli na Hel. Jak na Helu nastał luteranizm, trafiła do Pucka. A potem objawiła się w tej samej postaci w Swarzewie nad studnią. Jest nawet pieśń: „Bolesna Matko Zbawiciela Pana, w cudownym obrazie ukoronowana, nad studnią swarzewską jesteś objawiona i w całej Polsce jesteś rozślawiona”. Figurkę przeniesiono z Pucka. Rozbitkowie z jakiegoś statku, cudownie uratowani, postawili jej kościół, styl gotycki, tyle wiem z kursu. Przez trzy dni mówili nam o gotyku, renesansie. Kiedyś byłam najlepszą uczennicą w klasie, ale pamięć słabnie z wiekiem. Nie, nigdy już nie pojmę tylu skomplikowanych spraw tego świata.

W Gnieździe sami katolicy. Ateistów nie ma. Partyjni? No, jakże, są, ale co to ma do rzeczy? Z wiarą w Boga? Tu się w tej sprawie nie popuszczają nawet w okupację, a co mówić teraz. Bo czego my byśmy się mieli trzymać?

Ostatnio się we wsi pojawiło dwu Jehowitów, próbowali nawracać. Ale ludzie powiedzieli im twardo, że to nie nie da. Nikt im się do ich wiary nie wtrąca i oni niech nie próbują. Przyszli do mnie: idziemy z ważną nowiną. — Tak, czyli coś dobrego. A co to takiego? Mówią, że niedługo będzie koniec świata. A to ci nowina. — Czy pani nie chce poczytać biblii? — Ja mam biblię w domu. I Ewangelię, i przeważnie to czytam, na nic innego nie mam czasu. Czy wam lżej — pytam — żyć w waszej wierze, że odstąpiłcie od naszej? Nie? No widzicie. To już zostanmy każdy przy swojej. My mamy dobrą wiarę, taką jaką nam potrzebna. Ona nam daje nadzieję.

Rodzina Anny Basmann wróciła z kościoła i siada do świątecznego obiadu. Są wszystkie córki poza Danusią, która pojechała na wycieczkę do Łańcuta, zięciowie w komplecie, wnuki. Ela suszy przy piecu spodnicę i długie włosy, cała przemokła na deszczu. Dzieciaki ciągle biegają po schodach, z parteru na piętro i z powrotem. Wesoły harmider. Dom duży, wygodny. Posadzka w łazience. Budował mąż pani Anny. Sam zakładał instalacje, zaciągał wodę. Dobry fachowiec wszystko potrafi. Młody gospodarz Wacław Basmann prosi mnie do stołu: Skoro pani chce wiedzieć, jak Kaszubi żyją... Ale żeby wiedzieć prawdę, trzeba zjeść razem beczkę soli. Jemy obiad, wystawny. Cielęcina, kurczaki, rosół. Z dziesięć rodzajów ciasta, z pięć deserów dla dzieci. Żona Wacka co chwilę zmienia talerz. Pierwszorzędną gospodynię. — Głodem nas na wsi nikt nie weźmie. Kto ma głowę na karku, zawsze świniaka dla siebie uchowa. — Rozmowy. O życiu. O tym, że dzieci pod jesień zaczynają się przeziebiać. O pracy. Wszyscy ciężko pracują. Mąż Trudy w porcie we Władysławowie, Renin jako kierownik, Danusin — kierownik w Zakładach Drzewnych „Zatoka”. Wacek, wiadomo, rolnik, w rolnictwie nie ma urlopów. Radio gra nowe przeboje. Ładna niedziela, choć deszczowa. O matczynych obrazkach też się mówi. Ze ich nie ma w domu, a może warto by mieć. Córki też nie nie mają, nawet na pamiątkę. Jeszcze mama namaluje.

Zegnam się z Anną Basmann. Odprowadza mnie do furtki.

Słońce przed zachodem kładzie na deszczowych chmurach czerwony odblask. — Jeszcze jutro będzie padało i może być wietrznie. Widzi pani to niebo takie zmącone. Na pogodę jest szerokie, otwarte. Gęsi schodzą ze stawu, chłodno im, wrześnieowy chłód ciągnie od wody. Jesień.

Autobusy do Gdańska przepełnione dziś po brzegi, przejeżdżają drogą, nie zatrzymując się. Niech jadą. Nie chce mi się opuszczać tego świata prawd prostych, niewzruszonych jak skała, świata obrazków Anny Basmann.

— Tak sobie czasem wyjdę przed dom — mówi — i patrzę, patrzę. I zdaje mi się, że stąd jest bliżej do Boga.

Kazimierz Nowosielski

GDAŃSK PRZEDWIECZORNY

W OLIWIE

Może to być opowieść o zrównaniu dnia
z nocą
albo morenowe kolory schodzące
z horyzontu
zwilżone usta wschodów i zachodów
rozśpiewane od jezior kaszubskich
po zatokę wylegającą się na oleistym piasku
również głośne przekleństwa nocnych
włóczęgów
i twardy sen żołnierzy pod nawą
św. Jakuba
dalekie dzielnice zajęte obcym milczeniem
katedra niby z mroku wypłoszony motyl
— tu gdzie powoli zadomowiają się moje
sny
jak szczekanie psa
szukające nocy bezpiecznej

DALEJ

W mieście o czuwających wieżach
rozwłóczonym przez przymorski wiatr
idę pełen lęku
jakbym spowiadał się bez wiary w Boga
i zapisywał życie
na wydartej kartce powietrza
Mijam cię miasto
i was którzy mnie mijacie
w rutynie codziennych skrzyżowań
zapomniany przez siebie
jakby zawiódł mnie zmysł ocalenia
choć chłopcy już w południe
krzyczą w przejściach kolejki podmiejskiej
„Więcióór!” „Więcióór!”

Odpyływają dzielnice w blaskach
bezdolnego gwaru
czas w ludzkiej mowie kreśli znaki tajemne
w obcą stronę kieruje lunatyczne okręty
które zamieniają w ómy albo też w syreny
malarz Don Kichotów i poeta bez ręki
Isaak van den Block schodzi z alegorii
skrzypią w krążgankach schody z niepamięci
diabeł skrobie kopytkiem dołki na asfalcie
pluje na strony świata i znika w piwnicy
gdy wywraca się panienka w swoim
super-aucie
Jeszcze świecą mosty przestrzelonym
skrzydłem
wiatr niesie echo grudnia na ciemnym
obłoku
w katowni brzęczą muchy nad pniakiem
dębowym
myli się z nocą to co jest tu życiem
Śmiech kołysze się z knajpy jak balon
szalonych
tajniak kładzie rękę na łbie sfinksa z progu
ulica zarzuca gwar dzielnic na plecy
unoszą na północ zrzucą w czarną wodę

PIĘKNO

Piękno — czym jest
Może dziewczyną biegnącą po deszczu
której sukienka przyłgnęła do ud
że wygląda jak Kora
płynąca nad eleuzyńską łąką
a może kojącym lamentem
jesiennej Demeter
gdy schodzi wolno po kaszubskich zboczach
przemienia kolory modrzewi i wrzosów
że traci głowę
student filologii

Listy z nieba

Jerzy Samp

Istnieje taka sfera w kulturze duchowej człowieka, która wymyka się wszelkim racjonalnym ocenom, jednoznacznym interpretacjom, naukowym osądom i klasyfikacjom. Oficjalna nauka niezbyt zresztą chętnie podejmowała na jej temat dyskusję, a jeśli już zabierała głos, to z reguły po to, by zepchnąć rzecz całą do poziomu przesądów lub zabobonów, w najlepszym zaś razie — parapsychologii. Chodzi o profetyzm, a więc prorocze wizje przyszłych losów świata czy kraju, w najrozmaitszych ich wydaniach. Przepowiednie bowiem przenikały do świadomości ludu nie tylko za pośrednictwem wielkich dzieł naszej literatury (Kochanowski, Mickiewicz, Słowacki, Krasiński i in.), ale również, a właściwie przede wszystkim, kanałami tzw. literatury nieoficjalnej; druków ulotnych, jarmarcznych, pism, zwanych brukowymi, twórczości jarmarcznej (kramarskiej), wreszcie funkcjonowały w obiegu ustnym, ciesząc się przez dziesiątki lat ogromnym i niesłabnącym powodzeniem.

W atmosferze tajemniczości przekazywano sobie z pokolenia na pokolenie sprawdzające się ponoć z biegiem lat prorocstwa królowej Saby, Sybilli, treści „listów z nieba” oraz przestrogi nawiedzonych proroczą misją kaznodziejów i wizjonerów. Ich nasilenie obserwowano szczególnie w momentach historycznie ważnych, przełomowych, w chwilach dla narodu decydujących. Wiele z przepowiedni krążących wśród warstw niższych posiadało nawet pewne walory artystyczne, bądź to ze względu na ich swobodną formę literacką (pisane wierszem), bądź też z uwagi na ich charakter meliczny. Nic też dziwnego, że z czasem stały się one obiektem zainteresowania ze strony badaczy folkloru.

Ich zawila, pełna zamierzonych wieloznaczności treść wciąż intrygowała skłaniając do wielorakich spekulacji. O poczynności owych pism i przekazów, którym z reguły towarzyszyła aura niezwykłości i sensacji decydował zasadniczo jeden istotny czynnik. Była nim sprawdzalność zapowiadanych faktów i wydarzeń. Możliwość weryfikacji oraz aktualizowania sytuacji przewidywanych — jak wierzone — na wiele dziesiątków a nawet setek lat naprzód.

Do najpopularniejszych tedy należały utwory o mających nastąpić niebawem kataklizmach dziejowych, krwawych wojnach o końcu świata i zwiastujących go znakach. Poczytnością, której rozmiarów nie sposób określić cieszyły się wszelkie „zgrozo-krwawe” pisma, nie szczędzące czytelnikowi dresczy przerażenia, pełne makabry opisy nieuchronnej kary grożącej złemu światu.

Podobny charakter miały odnotowane wielokrotnie przez Oskara Kolberga w jego „Ludzie” utwory w rodzaju „Pieśń do Matki Bożej w utrapieniu, o odsieczy wiedeńskiej”, czy też anonimowe pieśni XVII-wieczne, należące do nurtu tzw. epiki dzia-dowskiej.

Jawi się w nich, głównie jako narratorka, mitologiczna wieszczka Sybilla, ale prawdziwy renesans przeżywają teksty sybillańskie, i to nie tylko u nas,

ale np. w Niemczech, dopiero po wybuchu pierwszej wojny światowej.

Chcąc lepiej zrozumieć genezę tych utworów musimy najpierw przyjrzeć się nieco bliżej dziejom legendarnej wieszczki, bowiem mimo iż imię jej znane jest dość powszechnie, pozostaje ona wciąż istotą bliżej nieokreśloną. Dla jednych jest to postać jakiejś pogańskiej bogini, inni gotowi są uznać ją za jedną z licznych dziewic świata chrześcijańskiego, a jeszcze inni pragną w niej widzieć wróżkę, która zdołała spisać swoje wizje w formie tajemniczych ksiąg.

W rzeczywistości chodzi tu natomiast o nazwę kapłanek Apollina, które od swego boga czerpały siłę i dar przewidywania przyszłości. Do ogólnych wyobrażeń dotyczących Sybilli przeniknęły więc cechy antycznej wieszczki Kasandry uzupełnione szeregiem wariantów lokalnych. Co ciekawsze — o ile początkowo mówiło się tylko o jednej Sybilli, to z czasem pojawiło się ich aż dwanaście, z których największej sławy dostąpiły Sybille: Babilońska, Frygijska, Egipska, Erytrejska i oczywiście Delfijska.

W Italii szczególnie popularna była Sybilla Kanaejska. Na temat tej ostatniej, która to właśnie wyposażać miała wybierającego się w czełuscie Hadesu Eneasza w złotą różdżkę, zachowało się w podaniach bodaj najwięcej szczegółów. To ona bowiem proponować miała rzymskiemu królowi Tarkwiniuszowi II kupno zbioru dziewięciu świętych zwojów proroczych, żądając za nie ogromnej zapłaty. Władca dwukrotnie odmawiał uiszczenia tak znacznej sumy i po dwakroć wieszczka wrzucała w ogień po trzy kolejne zwoje. Gdy wreszcie trawiony niepokojem i ciekawością król zdecydował się na kupno, pozostały już tylko trzy ostatnie księgi, za które i tak zapłacić musiał pierwotną cenę.

Owe „Libri Sibillini” — przechowywano z największą starannością w rzymskiej świątyni Jowisza na Kapitolu jako świętość. Wolno było do nich zglądać wyłącznie za zgodą Senatu, i to w wyjątkowych okolicznościach. Jednak i te spłonąć miały wraz z całym przybytkiem kultu w 83 roku p.n.e.

Ponoć dokonane potajemnie odpisy krążyły jeszcze przez jakiś czas po Azji Mniejszej, by w końcu znów trafić do Rzymu. Tym razem uznane za wiarygodne szczątki znalazły schronienie w świątyni Apollina na Palatynie, ale i te nakazano w piątym stuleciu po Chrystusie wrzucić na stos i zniweczyć. Już w drugim wieku n.e. niektórzy pisarze powoływali się na treść zawartych tam przepowiedni. Wspominali o 12, czasem nawet 14 listach pochodzących z różnych okresów i zawierających zarówno motywy chrześcijańskie, jak i żydowskie. Owe listy sibillańskie pisane były greką.

Zdaniem Juliana Krzyżanowskiego to właśnie „Oracula sybillina” — uzupełniane i wciąż na nowo odpisywane wprowadziły postać Sybilli do kultury chrześcijańskiej, powodując m.in., że już w średniowiecznym hymnie „Dies Irae”, jako świadek sądu ostatecznego występuje obok Dawida również autentyczna Sybilla.

I mię Sybilli, lub królowej Saby pojawiać się będzie na gruncie polskim aż do wieku XX włącznie, choć w różnym natężeniu i z różną częstotliwością. Jak już wspominałem występuje ono najczęściej w tekstach przepowiedni, prorocztw i w tytułach pieśni. Wybitny znawca dziejów książki kramarskiej i brukowej — Janusz Dunin⁴⁾ ustalił, iż najwcześniejsze z wydanych w Polsce drukiem prorocztw pochodzą z połowy XIX wieku. Są to „Prorocztwa Michaldy Sybilli 13 królowej ze Saby albo mądra rozmowa królowej Saby z królem Salomonem, około roku 875 przed Narodzeniem Chrystusa Pana”. (Mikołów). Jego zdaniem „Prorocztwo Sybilli” miało u nas co najmniej 23 wydania, nieco mniej miała „Mądra rozmowa królowej Saby”. Jakkolwiek publikacje tego rodzaju posiadały liczne przedruki, to jednak kolejni wydawcy dokonywali szeregu przeróbek i uzupełnień.

Nie sposób w tym miejscu pominąć akcentów pomorskich. Oto do grona gorliwych wydawców literatury profetycznej dla ludu należał m. in. wielce zasłużony drukarz i wydawca chełmiński, wybitny księgarz i bibliofil — pochodzący z Chwarzna pod Starą Kiszewą — Walenty Fiałek (1852-1932). To z jego drukarni wyszło „Prorocztwo królowej Saby, czyli mniemana jej rozmowa z królem Salomonem około roku 1000 przed Narodzeniem Chrystusa Pana”.

W środowisku, do którego docierały książki Walentego Fiałka lekturze tych druków towarzyszyły emocje, które porównać można jedynie chyba do przeżyć natury religijnej. Takie świadectwo znajdujemy choćby w powieści Aleksandra Majkowskiego „Żecé i przigodé Remusa”. Przypomnijmy, iż tytułowy bohater tego arcydzieła prozy kaszubskiej, to przede wszystkim sprzedawca książek pochodzących właśnie z oficyny chełmińskiego drukarza. Nie można zrozumieć mechanizmów funkcjonowania ich treści w społeczeństwie bez znajomości przynajmniej najbardziej typowych fragmentów. Zatem przytoczmy tu wyjątek zaczerpnięty z początku trzeciej książki „Prorocztw królowej Saby”:

„Gdy trzeciego dnia przysłała Sybilla do Salomona i zaczęli wspólnie rozmawiać o przyszłych czasach, rzekła do niego:

„Królu, powołaj tu swego pisarza, aby spisał to wszystko, co będę mówiła o przyszłych czasach i sprawach i te to księgi niech będą zachowane aż do skończenia świata, a od wielu niech są czytane, a zali w nich jaka nieprawda znajdować się będzie(...)”

Potem Sybilla tak dalej mówiła: (...) Niewiasty będą miały głowy jak sowy przystrojone, tak że im nawet oczu nie widać będzie. Połowę zaś swego ciała przykrywać będą, aby się tym więcej miłośnikom przypodobać. Będą nosiły szaty męskie i kapelusze na głowie; później zaś nawet włosy strzyc będą. Trudno też odróżnić będzie można pana od służki, panią zaś od służebnicy, bo wszyscy prawie równe szaty nosić będą. Gdy w jednej stronie świata jaka nowa moda nastanie, w kilka tygodni już się po świecie całym rozniesie, a im głupsza i nieprzyzwoitsza będzie, tym więcej znajdzie zwolenników i zwolenniczek; rzadko zaś która moda dłużej nad jeden rok trwać będzie. Słowem ile tego złego jest na świecie, wszystkim tym ludzi będą przejęci (...). Dlatego będą częste i wielkie wojny, na które ojcu jego ostatniego syna zabiorą, bo co kto dziś straci, to jutro będzie chciał na powrót odebrać. Będą narzędzia i maszyny wojenne, które ludzi setkami zabijać będą, a nie będzie nikogo do ich pochowania. Nastaną też niesłychane podatki i daniny na wojsko, a kto ich płacić nie będzie mógł, wzięty będzie do więzienia, albo biciem będzie karany. Od wszystkiego, co w usta albo w rękę kto weźmie, trzeba będzie płacić podatek. Bez opłacenia podatku ani nikt jeść, ani ubrać się nie będzie mógł. Skargi biednego ludu na niesłychane podatki nie odniosą najmniejszego skutku, lecz tym cięższe ciężary nań nałożą⁵⁾.

Jedną z najpopularniejszych wersji tejże przepowiedni były „Słowa królowej Sybilli” — ujęte w pieśń, na którą składało się trzydzieści zwrotek. Oto katastroficzna wizja przyszłych losów świata, którą przytaczam tu z odpisu maszynowego:

Posłuchajże wierny ludu!
Oczyszcz dusze z grzechów brudu.
Bo nadchodzą ciężkie czasy
I nastanie koniec świata.

2.
Sybilla nam mówi święta,
Żyć będziemy jak zwierzęta.
O Bogu też zapomnimy,
Swoje dusze potępimy.

4.
Weźmy sobie do pamięci,
Czy nie wszystko nam się święci:
Różne mody i wybryki,
Maszyny, różne techniki.

5.
Panny w stroju brzydkiej mody,
Kosmetyki dla urody,
Że grzech, to się nie przejmują,
Grzeszne ciało pokazują.

10.
Posłuchajcie chrześcijanie,
Co się za to nam dostanie.
Bo nastaną ciężkie czasy
I nadejdzie koniec świata.

23.
Oj, jak Bóg nas ciężko skarże,
Gdzie się ruszym, to cmentarze!
Ziemia zaślana trupami.
I zorana pociskami.

24.
Brat się z bratem nie poznają,
Jedni na drugich strzelają.
Syn swego ojca zabije,
Bagnetem mu pierś przebije.

28.
Brat za bratem gonić będzie
I po świecie szukać wszędzie.
Wtenczas będą się szanować
I ślady stóp całować⁶⁾.

Dziewiętnastowieczne, a tym samym i wcześniejsze teksty sybillańskie nie zawierały treści antyreligijnych, co więcej — były one niejako „nieurzędowym” rozwinięciem przykazań Bożych, często ich egzemplifikacją. Niekiedy aż nadto dosadną. Toteż Kościół, jak się wydaje, nie zwalczał tego rodzaju twórczości.

Książd dr Bernard Sychta w swoich kaszubskich dramatach zwanych historycznymi często sam sięgał po motywy związane z tą najbardziej ludową gałęzią profetyzmu. Dość wspomnieć o jego „Ostatniej gwiazdce Mestwina”. To tu właśnie Sybilla kaszebsko zapisuje w swych księgach nowe czasy, a książę Mestwin prosi ją:

„Sybillo, ludowi mojemu oddaj zopisaną ksęgę prorocztw. Błogosławieni, chto zachowje ji słowa. W tim nigdę nie wegesnie nódzeja”.

To ona w „Przebudzeniu” wdmuchuje ożywcze płomienie w popioły dusz wątpiących, a w „Śpiącym wojsku” uprzedza, że oto nadchodzi czas wielkiej wojny, którą Niemcy przegrają.

Charakterystyczne, że w okresie międzywojennym na Kaszubach znane były przepowiednie właśnie o zbliżającej się wojnie. Niebawem niepokojące słowa Sybilli miały się spełnić. Gruntowało to tylko wiarygodność źródeł tego rodzaju.

Nikt nie lekceważył sobie tych prorocztw, nie drwił z ich treści. Prawdopodobieństwo ich spełniania się było dla wielu czynnikiem znacznie podnoszącym rangę owych prościutkich druków wydawanych z myślą o odbiorcy ludowym.

Opowiadano więc sobie na Kaszubach „o bliżej nie określonych ognistych piecach — późniejszych krematoriach, o tym, że podczas mającej nastąpić drugiej wojny światowej — diabeł będzie latał w powietrzu (samoloty bombardujące), że po ziemi będą chodziły ogromne piece ogniste, w których będą piec (smażyć) ludzi⁷⁾”.

Jak się wydaje, mogło to mieć pewien związek z

treścią popularnych w swoim czasie tzw. „listów z nieba”. Najdawniejsza u nas o nich wzmianka pochodzi z roku 1521, kiedy to poznański kleryk Michał z Królina dokonał odpisu jednego z nich. Listy z nieba zaopatrzone były zawsze w odpowiedni komentarz dotyczący okoliczności ich znalezienia, oraz proroctwo. I tak np. jeden z zachowanych w Muzeum Etnograficznym w Krakowie egzemplarzy podaje, iż list ten „zesłany został Janowi papieżowi, który posłał go bratu swemu przeciw nieprzyjacielowi jego”⁴⁾, a inny, że znaleziony został w rzymskim kościele Bożego Ciała, a żaden człowiek nie wiedział skąd i czyją był ręką pisany. W tym drugim czytamy m.in.:

„Odwróć od was oblicze moje na wieki, ptaki czarne, które w powietrzu latają, pożerać was będą, powietrze szkodliwe trwać będzie”⁵⁾. Podobny w swej treści „list z nieba” zachował się także wśród mazurskich druków dziewiętnastowiecznych. Zatem trudno przypuszczać by teksty takie nie były drukowane i kolportowane również na Pomorzu.

Większość krążących, tak w oryginale, jak i w odpisach, proroctw pozbawiona jest metryk wydawniczych, nie mówiąc już o ścisłym ich datowaniu. To też przytaczając poniżej kolejne, najbardziej ich charakterystyczne fragmenty musimy się ograniczać do podania tytułów i przybliżonego czasu ich wydania.

Zapewne z okresu międzywojennego pochodzi przedruk proroctw „Sybilly Kanejskiej”. Donosi ona o rychłej perspektywie kolejnej wielkiej wojny: „która wyjdzie z narodu pobitego, lecz nie rozbrojonego. Z narodu zawsze niezadowolonego, który ma na sumieniu miliony ze szczepów na wschód od niego”.

W przemówieniu, które w roku 1825 (!) wygłosił miał we Francji ojciec Benedykt (franciszkanin) paś miał następujące zdanie: „Naród, który rozpętał tę wojnę ten dozna klęski i podpisze na gruzach Paderbooru pokój na wieki. Wódz narodu, którego imię i nazwisko z 11 liter się składa, panować będzie do czterdziestego roku. Naród ten będzie nosił znak krzyża z rozpiętymi ramionami.”

Wiele zamieszania wywołała w swoim czasie tzw. „Przepowiednia Tęgoborska”. Jej wierszowany tekst składający się z 72 linijek (18 zwrotek) opublikował ostatnio we wstępie do książki „Czterdziesty czwarty” Zbigniew Żalusi. Autor podaje, iż zaczerpnął go z „Ilustrowanego Kuriera Polskiego”, który zamieścił przepowiednię w marcu 1939 roku (nr 86). Z kolei z komentarza, w jaki zaopatrzono ją w „IKP” wynika, że przepowiednia ta powstała już w roku 1893 (!) podczas seansu spirytystycznego, który urządził hrabia Władysław Wielogłowski w Tęgoborze. Dodano przy tym, iż przed „Ilustrowanym Kurierem Polskim” tekst ten drukowała już prasa pomorska (!) Jest to bardzo prawdopodobne, chociażby z uwagi na znajdujące się tam akcenty pomorskie.

2.
Polska powstanie ze świata pożogi.
Dwa orły padną rozbite!
Lecz długo jeszcze los jej jest złowrogi,
Marzenia ciągle jeszcze niezbyte.

3.
Gdy lat trzydzieści we łzach i rozterce
Trwać będą cierpienia ludu,
Na koniec przyjdzie jedno wielkie serce
I samo dokona cudu.

6.
Krzyż splugawiony razem z młotem padnie,
Zaborcom nic nie zostanie,
Mazurska ziemia Polsce znów przypadnie,
A w Gdańsku port nasz powstanie!

15.
Trzy rzeki świata dadzą trzy korony
Pomazańcowi z Krakowa,
Cztery na krańcach sojusznice strony
Przysięgi złożą mu słowa.

Ostatnia z cytowanych zwrotek to oczywiście zapowiedź Polaka na tronie Piotrowym. Trzy korony to przecież nic innego jak tiara papieska. Zgadza się

również ściśle określenie miejsca skąd przybędzie. „Pomazaniec z Krakowa” — Karol Wojtyła.

Nie jest to pierwszy i jedyny dokument tego rodzaju. Oto w lutowym numerze „Tęczy” z 1938 r. Witold Lutosławski opublikował artykuł zatytułowany „Dawne jasnowidzenia bliskiej przyszłości”. Jest tam mowa o książce niejakiego Brata Markiewicza „Bój bezkrwawy”, w której anioł Polski powiada:

„Wy Polacy przez ucisk niniejszy oczyszczeni i miłością wspólną silni, nie tylko będziecie się wzajemnie wspomagać, ale ponadto poniesiecie ratunek innym narodom i ludom, nawet wam niegdyś wrogim. I tym sposobem wprowadzicie dotąd niewidziane braterstwo ludów. Bóg wleje na nas wielkie łaski i dary, wzbudzi między wami ludzi świętych i mądrych, oraz wielkich mistrzów, którzy zajmą poczesne stanowiska na kuli ziemskiej. Języka waszego uczyc się będą w uczelniach na całym świecie (...) Najwyżej zaś Pan Bóg was wyniesie, kiedy dacie światu Wielkiego Papieża”.

Pomyślną przyszłość Polski zapowiadały wierszowane „Przepowiednie Wernihory” krążące w licznych odręcznych i maszynowych odpisach. Ostatnia zwrotka tego tekstu brzmi:

„I Polska powstanie wielką i wspaniałą,
Potężną i straszną dla wroga.
I naród jej cały otoczy się chwałą
I będzie „wybranym od Boga”.

Do mniej znanych tekstów zaliczyć należy interesujący zapis „Przepowiedni O. Dominika T.J. — wypowiedzianej na kazaniu podczas odpustu w Częstochowie Pomorskiej — w Piasecznie, w roku 1933”. Oto niektóre jego fragmenty:

„Pomorzenie! Katolicy! Rodacy!

Pomorze jest najbardziej zagrożone ze wszystkich ziem Polski. Pomorze to ostoja Polski. Pomorze to obrona chrześcijaństwa! Jeśli wy legniecie w gruzach swej wolności, to legnie i z wami Polska cała. Któż będzie wówczas przedmurzem chrześcijaństwa?

Ja, małopolski misjonarz, błagam was przejmijcie ducha Sobieskich! Wydajcie z siebie spadkobiercę króla Jana, żeby on ratował was, a przez was Ojczyznę naszą Polskę i całe chrześcijaństwo! (...)

Nowe posłannictwo Polski z Was wyjdzie... Zakwitnie wówczas miłość i pokój!”

Charakter ustnej wypowiedzi profetycznej miały przepowiednie kaszubskiego rybaka Kąkół z Jastarni. Zanotowano je w roku 1933⁶⁾. Autor relacji powiada, iż gdy Kąkół wydobywał ze swej pamięci prozocze obrazy na temat najbliższej przyszłości rysy jego twarzy stawały się bardzo ostre, wzrok przenikał bezkresy fal, a każde słowo wymawiał z głębokim namaszczeniem. Oto na zakończenie niniejszych rozważań przytaczamy kilka wizji rodzimego „proroka” z półwyspu:

„Pomorzu i jego ludności wyprosił św. Wojciech jedną łaskę, że do końca świata zostaną polskie. Tu skała wiary, tu skała polskości. Przez nasze czuwanie i modlenie się Polska będzie po raz trzeci cudem wolna (...) Między nami powoła Bóg kogoś, który wypełni wolę Boga (...) Walczyć on będzie do końca życia. Ludzie, którzy zagubili cel swego życia, będą jego od wszystkiego odwozić. On pomny swej odpowiedzialności, będzie prostował ścieżki pańskie według woli Bożej. Powstanie Polska na nowo do swej chwały, gdy już wszyscy zwątpią. On i garść wiernych Bogu nie zwątpią i będą trwali jak prawdziwi żołnierze na modlitwie i pracy. Chwała Polski będzie przechodziła wszelkie marzenia...”

1. J. Dunin: Papierowy bandyta. Łódź 1974.

2. podaję za J. Duninem, ibidem, s. 184-185.

3. zob. R. Kukier; Kaszubi bytowscy. Gdynia 1968, s. 310.

4. T. Seweryn: Ikonografia etnograficzna. „Lud” 1952, s. 313.

5. J. Dunin, ibidem, s. 180.

6. podaję według maszynopisu pochodzącego ze zbiorów K. Ciechanowskiego.

Przez dziewięć garbów

Zbigniew Gach

Był tu czas niedawny, gdy zastanawiano się, czy w okoliczną gęstwę średniowiecznych grodów nie wpasować elektrowni jądrowej. Miał to być ostatni (!) krzyk mody. Potem sprawa ucichła, ale wtedy ktoś podniósł nieśmiało sprawę dzielnicy Rybaki, która do dzisiaj nie ma wodociągu, ktoś inny rozdmuchał sprawę braku dróg dojazdowych do nowych osiedli. Znaleźli się i tacy, co wskazali na niszczące bez zabezpieczenia XIII-wieczne mury obronne, na brak publicznej komunikacji, na zrujnowane renesansowe kamieniczki i ślimaczącą się przez lata całe restaurację niewielkiego w końcu ratusza. Miejscowe władze do dzisiaj zdają się nie rozumieć tych imperywności:

— Obchodzimy 750-lecie, nasze miasto to przecież siedziba..., to kolebka..., jak więc można...?

Ano są tacy, co uważają, że wręcz trzeba. Chełmno jest perłą urbanistyki pomorskiej, jedynym w tej części Polski zachowanym niemal w całości średniowiecznym zespołem miejskim. Niegdyś stolica państwa krzyżackiego, później miasto, które dało nazwę województwu i diecezji, wreszcie powiat i na końcu gmina — oto spadek gospodarczego i politycznego znaczenia prężnego niegdyś grodu. Znaczenie jednak swoją drogą, architektura swoją. Nazywano już Chełmno polskim Carcassonne, choć tutaj ostały się mury i budowle oryginalne, a tam, we Francji, w dużej mierze rekonstruowane i „poprawiane” w imię „czystości” stylu. Okres największego rozkwitu przeżyło Chełmno na przełomie XIII/XIV wieku, dlatego pewnie z tego okresu pochodzą najcenniejsze zabytki. Pisząc o dzisiejszym Chełmnie, nie sposób jednak również pomijać przeszłość. Przeplata się ona najciszej ze współczesnością, przypomina o sobie, każe pamiętać. Na prawie chełmińskim lokowano wszak 224 miasta, w tym Gdańsk, Warszawę, Wadowice...

Wjeżdżając do Chełmna od strony Świecia, przez wybudowany w 1963 r. most drogowy na Wiśle, widzi każdy, kto wzrok ma bystry, niepowtarzalną sylwetkę miasta na wzgórzu. Jeśli to mglisty poranek, kościoły, wieże i baszty zlewają się w olbrzymią panoramyczną wycinankę; gdy świeci słońce, odbłaski z dachów kraszą brunatną czerwień budowli opasanych zielenią. Efekt burzy dopiero usytuowane od północy osiedle pudełkowych bloków. Jest w nich woda, gaz i światło; nie ma ducha.

Mury są wspaniałe — i nie przeszkadzają temu wrażeniu nawet izolatory po przewodach elektrycznych, tkwiące tu bezsensownie od kilku lat, po „skalowaniu” miasta. Gdybyż jeszcze nie owe coraz liczniejsze spekanki cegieł, gdyby nie zaułki zamienione w publiczne szalety... Kilkaset lat temu za niszczenie murów groziła kara obcięcia ucha; dziś przy takich rygorach połowa chełminian chodziłaby bez uszu (i znaleźliby się w tej grupie także przedstawiciele władz). Mury chełmińskie są bodaj najdłuższe w Polsce — ciągną się łącznie na odcinku 2270 metrów.

Z 33 baszt zachowało się 17. W niektórych miejscach tkwią między cegłami kamienne kule szwedzkie. Właściwie jedyny fragment, który został rozebrany (ze względu na niebezpieczeństwo runięcia) to obecna uliczka Stare Planty, zdobna kasztanami i klonami. Stąd rozpościera się widok na liściasty kłęb nadwiślańskiego lasu, zwany Ostrowem Panieńskim, za którym dymy w oddali Kombinat Celulozowo-Papierniczy w Świeciu.

Dokument lokacyjny dla Chełmna, wystawiony 28 grudnia 1233 roku przez wielkiego mistrza krzyżackiego Hermanna von Salza i mistrza pruskiego Hermana Balka, nie pozwala historykom określić dokładnie położenia miasta. Istnieją trzy możliwości: tereny obecnej wsi Kałdus, obecnej wsi Starogród lub obecnego Starego Miasta w Chełmnie. Tak czy owak, Chełmno rozwinęło się potem na skraju porzniętej jarami wysoczyzny, ograniczonej od południa doliną rzeczki Browiny (dziś będącej kanałem odprowadzającym ścieki ze 100-letniej cukrowni w Chełmży), od zachodu i północy skarpą wiślaną, a od wschodu rynną polodowcową. Stało się zatem miasto na wzgórzu, które łączy się w poziomie z resztą wysoczyzny tylko wąskim paskiem łąd. Obecnie biegnie tamtędy pierwsze pół kilometra 17-kilometrowej linii kolejowej do Kornatowa.

Krzyżacy nie byli ani pierwszymi władcami, ani tym bardziej mieszkańcami tej ziemi. Jest prawie pewne, że tereny nazwane później ziemią chełmińską wchodziły już w skład monarchii rządzonej przez Mieszka I, stanowiąc pogranicze z posiadłościami bałtyckich Prusów, spokrewnionych z Litwinami i Łotyszami. Z ziemi chełmińskiej rozpoczynały się zwykłe tak zwane akcje misyjne w głąb obszarów zamieszkiwanych przez Prusów; w rzeczywistości były to wyprawy grabieżcze, mające także na celu podporządkowanie licznych plemion pruskich książętom słowiańskim, głównie mazowieckim. Akcje te wywoływały odwetowe wyprawy Prusów, którzy kilkakrotnie złupili i spalili między innymi gród w Chełmnie. Najstraszliwszego spustoczenia dokonali na początku XIII wieku. Po tym najeździe osada przez szereg lat nie mogła się podźwignąć i świeciła pustkami. Dopiero po 1222 roku, kiedy to Chełmno zostało nadane Christianowi, biskupowi „misyjnemu” Prus, gród odbudowano.

Ponieważ napady Prusów nie ustały, książę mazowiecki Konrad postanowił sprowadzić dla obrony przed nimi Krzyżaków, wypędzonych właśnie z Siedmiogrodu (dzisiejsza Rumunia) za próby tworzenia własnego państwa. Dokumentem z 1228 roku przekazał Konrad Zakonowi prywatną własność książęcą, nie rezygnując jednak z praw zwierzchnich wobec niej, a także z ewentualnych późniejszych zdobyczy terytorialnych w Prusach. Krzyżacy, znani z przebiegłości, uzyskali wszakże od cesarza niemieckiego potwierdzenie nadania całej ziemi chełmińskiej i Prus z pominięciem zwierzchnictwa polskiego. Dzięki fałszerstwu znanemu pod nazwą przywileju kruszwickiego wyłudziła także niebawem od papieża bullę potwierdzającą taki stan rzeczy. Pierwsze hufce krzyżackie

pod wodzą landmistrza Hermana Balka przybyły na ziemię chełmińską w 1230 r. i w ciągu dwóch lat opanowały ją całkowicie. W 1232 roku Herman Balk zbudował zamek i miasto Chełmno, a w 1233 r. władze zakonne nadały Chełmnu i Toruniowi ulepszone prawo magdeburskie (wzbogacone o elementy flamandzkie i węgierskie, a także o doświadczenia miast śląskich, m.in. Złotoryi), zwane odtąd chełmińskim. W późniejszym okresie prawo chełmińskie uzupełniały postanowienia tzw. sądu wyższego, z siedzibą w Chełmnie. Sąd wyższy prawa chełmińskiego działał przez ponad 200 lat, do roku 1458.

Z murami w Chełmnie wiąże się dwa podania. Pierwsze mówi o tym, jak to pewnego dnia znikł z chełmińskiego kościoła farnego obraz Matki Boskiej, który odnaleziono w pobliżu Bramy Grudziądzkiej. Sądząc, że to robota bezbożnika, sprowadzono obraz uroczyście na powrót do świątyni. Gdy jednak zdziwienie takie powtórzyło się trzykrotnie, uznano to za wyraz woli Najśw. Marii Panny, aby ją czcić w kapliczce przy bramie miejskiej (Grudziądzkiej). Zostawiono więc obraz na murze, a w późniejszym czasie, konkretnie w 1694 r. zbudowano w niszy bramy kapliczkę, która istnieje do dziś. Drugie podanie mówi o tym, jak to w czasie oblegania Chełmna przez Szwedów, w czasie potopu, chełminianie strzelali z murów pieczywem, pokazując, że mają jeszcze duże zapasy żywności (podczas, gdy właśnie jej zabrakło), przez co Szwedzi stracili ochotę na oblężenie. Kiedy jednak zechcieli zdobyć miasto szturmem, na murach pojawiła się Matka Boska, która wpierw odganiała kule szwedzkie, a potem sprowadziła ulewny deszcz, uniemożliwiając atak.

I dzisiaj Chełmno jest miastem uważającym się za bardzo pobożne — ze szczególnie rozwiniętym kultem maryjnym. Na 20 tysięcy mieszkańców istnieje aż 9 obiektów sakralnych (wszystkie w obrębie murów), z czego, co prawda, tylko 4 są w codziennym użytkowaniu.

Stały element pejzażu miasta stanowią siostry miłosierdzia, zwane szarytkami (od franc. *charité* — miłosierdzie), prowadzące sierocińce oraz domy dla ludzi potrzebujących opieki. Obecnie prowincja chełmińska liczy ponad 500 sióstr w 45 placówkach; w Chełmnie znajduje się dom centralny i nowicjat. Jest tu także, jedyny tego typu w Polsce, Specjalny Dom Małego Dziecka, dysponujący 76 miejscami. Szarytki są samowystarczalne, mają między innymi własną chlewnię i 3-hektarowy warzywnik koło Ostrowa Panieńskiego. Niektóre z sióstr wyjeżdżają co jakiś czas na tereny misyjne do Afryki (Kamerun, Zair), a także do Turcji, Boliwii i Dominikany. Warto wiedzieć, że szarytki przebywają w Chełmnie dopiero od XIX w. Przedtem, prawdopodobnie już w połowie XIII w., osiadły tu cysterki (potem benedyktynki), do których zgromadzenia należały na przełomie XV/XVI w. siostra Kopernika, Barbara, oraz jego ciotka Katarzyna Peckau, będąca tu przełożoną.

Nie zawsze jednak było w Chełmnie dobrze z pobożnością, przynajmniej w rozumieniu katolickim. Kiedy po wittenberskim wystąpieniu Marcina Lutra w całej Europie poczęła się szerzyć reformacja, Chełmno — w dużej mierze zniemczone — również ochoczo przyjęło nowinki religijne. W ciągu następnych kilkudziesięciu lat wielu mieszczan chełmińskich przeszło na protestantyzm, doprowadzając tym do rozpaczy rezydujących podówczas w Chełmży biskupów chełmińskich. Wreszcie w 1580 roku biskup Piotr Kostka nakazał w specjalnym rozporządzeniu, by wszyscy protestanci przeszli na katolicyzm albo opuścili miasto. Burmistrz, rada miejska i całe pospólstwo zostali pod karą zobowiązani chodzić do kościoła katolickiego. Tym samym, wraz ze zwycięstwem katolicyzmu, bezwiedną przewagę zdobył element polski, a także imigranci szkoccy. Protestanci, w większości Niemcy, opuścili miasto. Akta i księgi miejskie zaczęto prowadzić po polsku i Chełmno stało się od końca XVII w. jednym z najbardziej spolonizowanych ośrodków ziemi chełmińskiej. Okiełznany żywioł pruski, aktywny jeszcze pod koniec XVI wieku (kazania w języku pruskim), w ciągu następnego stulecia również uległ polonizacji. Na skutek tego język pruski

nie przechował się do czasów nowszych nawet w szczątkowej formie.

P ośrodku chełmińskiego rynku, zbudowanego zwyczajem średniowiecznym w ten sposób, że z każdego rogu odchodzą dwie prostopadłe ulice, stoi restaurowany przez 7 lat i wreszcie oddany na ostatnią chwilę ratusz. Na ostatnią chwilę dlatego, że 3 czerwca br. o godzinie 11.00 rozpoczęły się całoroczne obchody 750-lecia miasta i władzom wojewódzkim w rowieśnym Toruniu nie wypadało zostawiać w centrum Chełmna tak rozbabranego obiektu. Obecnie w ratuszu znajduje się Muzeum Ziemi Chełmińskiej, które przez poprzednich 19 lat gnieździło się jako punkt muzealny w Baszcie Prochowej. Dyrektorem muzeum jest mgr Jerzy Kałdowski — wielki chwalca ziemi chełmińskiej.

Do muzeum w ratuszu dokwaterowano niedawno „Pałac Ślubów”. Doprawdy, mówiąc delikatnie, trudno przyklasnąć tej inicjatywie, chociaż stoi za nią sam naczelnik Chełmna. Pan naczelnik ma zresztą „na sumieniu” inną jeszcze sprawę związaną z ratuszem. Oto w roku ubiegłym odnaleziono w Chełmnie metalowego orła z 1929 roku, którego we wrześniu 1939 roku hitlerowcy utracili z ratusza. Orła tego potajemnie zabrali dwaj chełmińscy strażacy i zamurowali w znanej tylko sobie skrytce. Odkryto go przypadkowo podczas jakiegoś remontu i wtedy pojawił się poważny problem, czy orła na powrót zamontować na ratuszu, czy też wyeksponować w innym miejscu. Chodziło bowiem o taką „wstydliwą” kwestię, że orzeł ma koronę. Ostatecznie radni przegłosowali umieszczenie orła na starym miejscu, naczelnik jednak uznał, że lepiej wystawić go w gablocie.

Na tylnej części ratusza znajduje się przytwierdzona do zewnętrznej ściany gruba żelazna sztaba z podziałkami. Jest to słynny pręt chełmiński (4,35 m), który wraz z grzywną chełmińską (180 g srebra), korcem chełmińskim (ok. 40 kg) i łańcem chełmińskim (16,8 ha) stał się podstawą sprawnego funkcjonowania prawa chełmińskiego. Obecnie w rynku stoją malowane na dykie podobizny dawnych rajców, kupców, kramarzy i straganiarzy. Podstawą znaczenia i sławy Chełmna był przecież w wiekach średnich wielki handel tranzytowy z Polską. Trwał wówczas skup zboża, drewna, bydła, olkuskiego ołowiu; transportowano także Wisłą miedź i wino z Węgier, a korzenie i futra z Rusi. Na miejscu handlowało się suknem, solą, śledziami (liczne posty), żelazem z Anglii i Szwecji, tkaninami z Flandrii... W XV wieku, podczas wojen polsko-krzyżackich, zaczęło Chełmno podupadać. Z czasem miasto zostało zepchnięte na drugi plan przez Toruń, a potem również przez Grudziądz i Nieszawę.

N a ulicach dzisiejszego Chełmna widać stosunkowo mało młodości. Jak twierdzą niektórzy, społeczeństwo miasta grozi rychłe zestarzenie się; już obecnie jedna piąta mieszkańców to emeryci. Powód? przede wszystkim zastój w budownictwie mieszkaniowym. Na własne locum czeka obecnie ponad 2500 chełmińskich rodzin, podczas gdy do końca 1990 r. planuje się oddanie ledwie 600 mieszkań. W bieżącym roku nie zbudowano ani jednego mieszkania w budynkach wielorodzinnych, a jedynie 20 domków jednorodzinnych. Nie sprzyja to stabilizacji życiowej młodych pokoleń. A przecie trudno wyobrazić sobie Chełmno bez wrzaskliwych tabunów z tarcami szkolnymi na rękawach, bez nastolatków próbujących kurzyć pierwsze papierosy, bez narzeczonych przesiadujących na plantach, wreszcie nawet bez hałaburdów urzędujących w knajpie nazywającej się dumnie kawiarnią „Piast”.

Zastopowanie budownictwa mieszkaniowego to między innymi wynik ulokowania trzech głównych zakładów przemysłowych (Zakładów Przemysłu Mechanicznego, Fabryki Urządzeń Szpitalnych i Fabryki Akcesoriów Meblowych) w centrum miasta, które praktycznie — ze względu na okoliczne stromizny i jary — nie ma się gdzie rozwijać. W bezpośrednim sąsiedztwie murów spotyka się wciąż „pracujące” kotliny, jak np. parów za budynkiem Urzędu Miejskiego czy parów zwany Wyrwą Kaszubską — w pół-

nocno-wschodniej części miasta. Inne parowy na razie zamary, ale mają po kilkadziesiąt metrów głębokości. Na rozwój jarów, ich pogłębianie się i wydłużanie mają wpływ wody: opadowe, roztopowe i częściowo gruntowe. Jest to przyczyna wielkich zmartwień miasta, które skazane jest chyba w związku z tym na budowę osiedli satelitarnych, łączonych z centrum odpowiednią siecią mostów. Osobną śpiwkę stanowią tu jednak słynne w całym kraju „braki mocy przerobowych”. W ubiegłym roku Chełmno nie dało rady wydatkować całego swego budżetu, wynoszącego blisko 130 milionów złotych.

A jednak chełmianie zawsze dbali o swą młodzież. Już 9 lutego 1386 roku papież Urban VI wystawił w Genui przywilej zezwalający na założenie w Chełmnie szkoły wyższej, tzn. *studium generale*, dla której wzorem miał być Uniwersytet w Bolonii. Do realizacji przywileju jednak wtedy nie doszło, podobnie zresztą jak w 48 lat później, kiedy to na prośbę mieszczan chełmińskich cesarz niemiecki Zygmunt Luksemburski ponownie wystawił przywilej zezwalający na utworzenie *studium generale*. Ostatecznie dopiero w 1756 roku istniejące od blisko 300 lat gimnazjum chełmińskie (*studium particulare*), zwące się trochę na wyrost Akademią Chełmińską, zostało organizacyjnie i naukowo podporządkowane Uniwersytetowi Jagiellońskiemu jako jego 31 kolonia akademicka. Działała ona tylko do 1779 r., kiedy to została zlikwidowana przez zaborców pruskich, którzy już trzy lata wcześniej powołali w Chełmnie korpus kadetów, mający na celu germanizowanie polskiej młodzieży szlacheckiej.

Polscy patrioci w Chełmnie wielokrotnie zabiegali o wskrzeszenie Akademii Chełmińskiej, ale ich starania nie odnosiły skutku. Dopiero w 1837 r. udało się wyjednać u władz pruskich zgodę na utworzenie w Chełmnie gimnazjum. W latach 1844—1882, gdy dyrektorem był dr Wojciech Łożyński, stało się ono gniazdem polskości, w którym działały dwa koła filomatów: „Zan” i „Mickiewicz”. Była to jedyna szkoła średnia w XIX-wiecznych Prusach, gdzie uczniowie wywalczyli sobie prawo uczenia się języka polskiego.

Absolwentami chełmińskiego gimnazjum było wielu późniejszych działaczy polskich na Pomorzu. Część z nich mogła ukończyć szkołę dzięki finansowemu wsparciu Towarzystwa Pomocy Naukowej. Zostało ono założone w 1848 roku przez Łukasza Ślaskiego z Trzebcza na ziemi chełmińskiej i Teodora Donimirskego z Buchwaldu na ziemi malborskiej. Towarzystwo oparło się na wzorcu wielkopolskim z 1841 r., a swoje cele sformułowało w sposób następujący:

„Oto tysiące dzieci ubogich, którym Bóg dał wielkie zdolności, nadzwyczajny może talent, rosną, starzeją się i umierają bez nauki i wykształcenia, a więc w zaniedbania i nie rozwijawszy, nie używając należycie nie przysłużywszy się temi swymi zdolnościami bliżnim i społeczeństwu swojemu. Dla mizernych kilku groszy dziennie, których nie dostawało takiemu utalentowanemu dziecku, zmarniał może jaki rzadki talent, który Bóg nie często daje, a który byłby mógł przysłużyć się narodowi i świecić mu, i światło wśród niego szerzyć, i być chlubą narodu po całym świecie.

Postanowili więc obmyślić środki i sposoby, iżby młodzież uboga, zdolna, pilna i dobrze się prowadząca, a zatem młodzież, z której się spodziewać można pociechy i pożytku dla narodu, iżby młodzież taka dla braku środków nie zmarniała, ale iżby jej dana była pomoc, któraby niedostatek rodziców zastąpiła i ukończenie szkół uczyniła biednemu młodzieńcowi podobnym.”

Jednym ze „stypendyatów” (stypendystów) Towarzystwa Pomocy Naukowej był urodzony w Duszynie pod Grudziądem Ludwik Rydygier (1850—1920), późniejszy profesor chirurgii w Krakowie i Lwowie. Po gimnazjum chełmińskim ukończył on studia medyczne w Niemczech, a w 1880 roku jako pierwszy w Polsce, drugi zaś na świecie dokonał operacji wycięcia odźwiernika żołądka z powodu raka. W 1881 roku pierwszy w świecie dokonał częściowej resekcji żołądka z powodu wrzodu. W 1884 r. wykonał pierwszą operację zespolenia żołądkowo-jelitowego z powodu owrzodzenia dwunastnicy. W 1889 r. zainicjował i zorganizował w Krakowie pierwszy Zjazd Chirurgów Polskich. Wydał około 200 publikacji naukowych. Dzisiaj w Chełmnie przy ul. Rynkowej 9, gdzie Rydygier założył prywatną klinikę (przedtem praktykował w szpitalu szarytek), znajduje się tablica pamiątkowa z czerwonego granitu. Ufundowało ją jednak nie miasto, lecz Towarzystwo Chirurgów Polskich.

Wędrując po nowym i starym Chełmnie, napotyka się co krok ślady pamięci o ważnych dawniejszych wydarzeniach, o wybitnych tutejszych działaczach. Jeśli nie jest to pomnik, może być tablica pamiątkowa albo nazwa ulicy. Może być wreszcie piękny grobowiec na chełmińskim cmentarzu. Spoczywa tam w małej „alei zasłużonych” wielu chełminian, o których niezmiennie trwa pamięć. Oto grobowiec księdza Juliusza Poblóckiego, historyka i patrioty, opiekuna konspiracyjnych kół młodzieży polskiej pod zaborem pruskim. Oto grób Bronisławy Giesberg, przełożonej siostr miłosierdzia i szpitala w Chełmnie, za której zwierzchnictwa Prusacy nazwali klasztor szarytek wyłęgarnią polskości. Oto mogiła Walentego Fialka, Kaszuby z Chwarzna, wydawcy druków polskich na Pomorzu, bibliofila i drukarza...

Groby pozostałych, może jeszcze bardziej zasłużonych działaczy chełmińskich rozsiane są po innych miastach. Wymienić by tu trzeba co najmniej jeszcze kilku spośród nich, przede wszystkim zaś „ojca prasy polskiej na Pomorzu” Józefa Gólkowskiego, a także dwóch jego późniejszych współpracowników i zięciów: Józefa Chociszewskiego oraz Ignacego Danielewskiego. Ten ostatni jest autorem pieśni „Wisło moja”, rozlegającej się w południe z ratusza od maja bieżącego roku. Swoją pieśń ułożył Danielewski w twierdzy w Wisłoujściu, gdzie więziony był przez dwa lata, podobnie zresztą jak szwagier, za „przestępstwa prasowe”. Pieśń „Wisło moja” znana jest niemal każdemu chełmińskiemu dziecku:

Wisło moja, Wisło stara,
Co tak smutno płynieś?
Skąd tej wody nazbierałaś? —
Mów nim w morzu zginiesz.
(..)
Krakowianka łzą obłana
Rzuciła mi wianki,
Potem strumień łez męczeńskich
Wlały warszawianki.

I tak płynę dniem i nocą,
Wkoło mnie tak smutno,
Dawniej śpiewy brzmiały ciągle,
Dzisiaj tak okrutno.

Spojrzeć, oczy zapłakane,
Na rękę kajdany,
Wszędy skargi, jęki ciężkie,
A na sercu rany.

Uchowało się w Chełmnie trochę zwyczajowych nazw, którymi mieszkańcy obdarzają znane sobie miejsca. Taki Ostrów Panieński na przykład dopiero od niedawna jest nazwą oficjalną. A pozostało wiele innych: Fryba — zamiast oficjalnej Browiny; „Zydowa” — w miejsce bezimiennego topieliska; „Hajradka” — zamiast ul. Płk. Jerzego Jastrzebskiego. A propos: pułkownik Jastrzebski to świetlana postać w najnowszych dziejach Chełmna. Dowodził on od 1931 r. tutejszym 8. pułkiem strzelców konnych, który we wrześniu 1939 r. wstąpił się walkami pod Grucznem, Łęczycą, w Puszczy Kampinoskiej i wreszcie w stolicy. Sam pułkownik przedostał się po kapitulacji Warszawy na Zachód i walczył pod Monte Cassino, gdzie poległ. Pośmiertnie awansowano go do stopnia generała brygady.

Pisząc o mieście, pisze się zwykle o ludziach — tych współcześnie żyjących. Z Chełmnom jest sprawa trochę inna. Tu nie można kogoś wypreparować, wywieźć poza mury i kazać opowiadać o sobie. Tu każdy wartościowy obywatel chce być wpasowany gdzieś między mury i kościoły, między epitafia i średniowieczne ozdoby, między ratusz a kamieniczki. Chełmno jest dzisiaj trochę ospałe, ale o, parado-

ksie — rumieńców dodaje mu właśnie przeszłość.

Są jednak tacy chełmianie, którym należy się wyróżnienie z bezimiennego tłumu. Należą do nich z pewnością: historyk Stefan Rafiński, dyrektor domu kultury Piotr Karecki, mecenas Wacław Zarzycki, szalenie zakochany w Chełmnie tutejszy przewodnik PTTK Edmund Hennig (potomek osadników szkockich) oraz jego koleżanka po przewodnickim fachu Małgorzata Kowalska. Do tego skromnego wykazu dodać by trzeba pewnie jeszcze trochę nazwisk, np. panią Kubińską (dyr. biblioteki), panów: Boldta (działacz turystyki kajakowej), Szmaltera (entuzjasta chełmińskiego sportu), Ławickiego (korespondent „Gazety Toruńskiej”)... Wszystkich jednak i tak się nie ujmie, nie będąc chełminianinem.

Jednym z najstarszych mieszkańców Chełmna jest 92-letni lekarz Franciszek Wasilewski — aktywny działacz chełmińskiego gniazda „Sokoła” przed wojną, a także ówczesnego Towarzystwa Śpiewaczego „Harmonia” w tym mieście. Miał już 31 lat, gdy 22 stycznia 1920 roku generał Haller wjeżdżał na białym koniu do Chełmna, obejmując je w posiadanie polskie. Oto krótki fragment wspomnień doktora Wasilewskiego dotyczący tamtego okresu — pierwszych miesięcy polskich po 148 latach buty pruskiej:

„Inteligencję chełmińską trudno dokładniej określić. Wyżywała się w sprawach polityczno-społecznych, nieporozumieniach i lekceważącej niechęci między przybyszami z Małopolski i „tubylcami”. Wypominała Małopolanom ich hołdowniczy stosunek do cesarza austriackiego. Sam uważałem to za mało poważne. Małopolanie byli po prostu wdzięczni, że w Austrii mieli tyle wolności i swobody odnośnie do wyznania,

języka polskiego, nauki, udziału w urzędach. A nasi im chyba tego zazdrościli. Uparty Pomorzak twarzą ich krytykował za służalczość i chwalenie się tytułami i stopniami służbowymi. A ci znowu ganili nas, chyba słusznie, za skażoną polską mowę, za naszą nieufność, kanciaste obejście. Ani jedni, ani drudzy nie mieli w czymkolwiek winy czy zasługi, boć to wszystko było następstwem rozgrabienia kiedyś Polski przez sąsiadów.”

W Chełmnie są do dzisiaj telefony na korbkę. Jak mawiają ze śmiechem chełminianie, drut musi się rozgrzać do czerwoności, żeby można uzyskać połączenie ze światem. Ponieważ nie ma także w mieście odpowiednich tras komunikacyjnych, nie istnieje publiczny transport osobowy (wyjąwszy taksówki). — A może to i lepiej — powiadają lokalni patrioci. Człowiek więcej obcuje z przyrodą. Może sobie pójść na przykład szlakiem rezerwatów, oddychając wśród zbiorowisk lęgowych Ostrowa Panińskiego i Kępy Ostromeckiej, wśród roślinności stepowej na Zboczach Płutowskich... Może przemaszewować szlak martyrologii, zadumawszy się nad zbrodnią hitlerowców w Klamrach, gdzie zamordowano 2,5 tysiąca Polaków z ziemi chełmińskiej. Może wreszcie pójść szlakiem panoramy Chełmna, podziwiając wciąż na nowo urodę rodzinnego miasta.

Chełmno ma w herbie 9 pagórków, na których ponoć leży (o dwa więcej niż Rzym — podpowiadają zaraz chełminianie). Kolejne etapy dziejowe w historii miasta to jakby ciągle wdrapywanie się i spadanie z kolejnych pagórków (zresztą chyba coraz niższych). Czy było ich już dziewięć?

Cësk czasu

Z Eugeniuszem Gołąbkim rozmawia Edmund Szczesiak

— Krążą o panu legendy. Mówią, że ima się pan różnych zajęć. Ktoś mi powiedział, że gra pan w cyrku na trąbce. Potem dowiedziałem się, że nie w cyrku, ale na weselach. Jeszcze od kogoś innego słyszałem, że w zespole jazzowym. Gdzie pan właściwie pracuje?

— W podziemi.

— ...?

— No tak, w robocie to ja w piwnicy siedzę. Pracuję w Sanepidzie w warsztacie, który jest poniżej parteru, a ja tam siedzę na niskim stołku elektryka. Ale potrafić potrafię wszystko, jak każdy gospodarz na wsi, podzelać buty też.

— Z tym cyrkiem to nieprawda?

— Chcieli mnie przyjąć, ale się rozmyśliłem. Wolę mieszkać w domu na fundamentach niż na kółkach. Teraz pan pewnie spyta, czy gram na weselach? Gram, właśnie dzisiaj rano wróciłem z wesela i dlatego mówię wolniej niż zwykle. I nie palę, bo się przepaliłem. A jazzu raczej słucham niż gram.

— W pracy wiedzą, że pan pisze?

— Dowodów popularności nie mam za dużo, nie oglądają się za mną na korytarzu. Kiedyś chciałem się wymigać od jakiejś roboty i powiedziałem, że nie potrafię jej wykonać. Wezwał mnie kierownik i wjechał mi na ambicję: słyszałem, że jak trzeba to pan potrafi i książkę napisać.

— A koledzy z podziemia?

— Jeden jest Kaszubą i czyta wszystko, co napiszę. Lubi śmieszne kawałki, wyłapuje każdy żart. Najchętniej czyta jednak o sensacjach, a ja, niestety, piszę prozą życia — szarą.

— Okazją do tej rozmowy jest przyznanie panu nagrody, ufundowanej przez p. Romana Wróblewskiego z Warszawy — nagrody dla młodego twórcy piszącego po kaszubsku. Przyznam, że przez jakiś czas, zanim nie wyprowadzono mnie z błędu, wyobrażałem sobie autora opowiadań i felietonów drukowanych w „Pomeranii” jako...

— ... starężka?

— Tak. Skąd pan wie?

— Bo już to słyszałem, od pana Bądkowskiego. Gdy mnie zobaczył, bardzo się zdziwił. Pan jest Gołąbek? Myślałem, że to stary dziad.

— Zastanawiałem się, skąd to przeświadczenie?

— Piszę widocznie w staroświeckim stylu i na niemodne tematy.

— Ani jedno, ani drugie. Doszedłem do wniosku, że pewnie z powodu biegłości, z jaką pan posługuje się kaszubszczyzną. Taką biegłość, zasób słów zdobywa się na ogół latami.

— U nas w Osowej piętnastoletni chłopcy mówią po kaszubsku tak, że aż furczy.

— Miałem na myśli pisanie po kaszubsku. Co innego mówić, co innego pisać, tej umiejętności nie wynosi się z domu.

— Zdziwi się pan, ale ja do osiemnastego roku życia nawet nie umiałem mówić po kaszubsku.

— Pana rodzice nie są Kaszubami?

— Są, ale zwracali się do mnie wyłącznie „z wysoka” i nie zachęcali do mówienia po kaszubsku, chociaż nie mogą powiedzieć, żeby mi zakazali. Gdy dzisiaj rozmawiamy na ten temat twierdzą, że to ja nie chciałem mówić. Sąsiedzi dziwili się, bo byłem pod tym względem kimś osobliwym, jeden taki w całej wsi, taki „aparty”, brzydkie kaczątko. Równieśnicy z tego powodu zaczęli nawet ode mnie stronić, uważali, że zadzieram nosa. Pewnie była w tym i przekora, jestem już taki opaczny od urodzenia. Musiałem jednak polszczyznę uznawać za coś lepszego, skoro wołałem cierpieć niż nauczyć się po kaszubsku. Zabrakło jakiegoś silniejszego impulsu, żeby postawić pierwszy krok.

— Co było tym impulsem?

— „Historia Kaszubów” Aleksandra Majkowskiego. Natrafiłem na tę książkę przypadkowo u naszego szkolnego pana Racy. Stała u niego w domu na półce. Zaciekawilem się, co to takiego jest. Pożyczyłem ją i jak zacząłem czytać to do ostatniej strony. Majkowski wiedział do czego służy historia i jak ją podać, żeby w pobratymcach coś obudzić. Inaczej spojrziałem na Kaszuby i mowę kaszubską. A ponieważ byłem z nią osłuchany, szybko nauczyłem się mówić. Inny przypadek sprawił, że zetknąłem się z utworami pisanymi po kaszubsku. Siostra przysłała kiedyś ze szkoły i powiedziała, że w naszej wiosce mieszka człowiek, który pisze książki. Pomyślałem sobie, że jeśli jest u nas taki ciekawy człowiek, muszę go poznać. Dowiedziałem się, że nazywa się Bolesław Hajduk. Pewnej niedzieli zaszedłem do niego. Okazało się, że przygotowuje książkę o polityce celnej w Wolnym Mieście Gdańsku, wcześniej zajmował się historią zachodnich Pomorz, zasięgiem słowiańszczyzny. Ciekawie o tym opowiadał. Dał mi do przeczytania biuletyn „Pomeranii” z kilku lat. Dostałem też od niego zaproszenie na jakieś spotkanie organizowane przez Zrzeszenie Kaszubsko-Pomorskie. W biuletynach najbardziej zainteresowały mnie utwory napisane po kaszubsku. Dużo tego drukowano. Zafascynował mnie sam fakt, że są tacy, którzy piszą po kaszubsku, że tak wiele można wyrazić w tej mowie, której ja długo nie doceniałem.

— I pomyślał pan, że warto byłoby samemu spróbować?

— Wtedy jeszcze nie, byłem przecież dopiero na etapie ucznia szkoły powszechnej, takiego opóźnionego w rozwoju: uczyłem się czytać. Kupowałem wszystko, co wydawało Zrzeszenie Kaszubsko-Pomorskie. Poszedłem na to spotkanie, na które dał mi zaproszenie pan Hajduk, a potem na następne. Zapisalem się do Zrzeszenia, ale kontakty niebawem się urwały, gdyż wyjechałem do Czechosłowacji, do pracy na budowie.

— Imał się pan jednak różnych zajęć...

— Cały czas pracuję jako elektryk. Wyuczyłem się i muszę to robić, nawet gdybym nie chciał. Zakładałem też tak znowu wiele nie obszedłem. Po technikum pracowałem przy budowie trakcji elektrycznej, potem na kolei, a później w Teatrze Lalki „Miniatura”. To była taka ciekawsza robota, bo mogłem popatrzeć na teatr od tyłu. Siedziałem w kabinie i oglądałem jak się robi coś z niczego. Wyrzucili mnie, bo przepaliłem bezpieczniki we wzmacniaczach.

— Za bardzo zapatrzył się pan na scenę...

— Coś w tym rodzaju. Poszedłem następnie do „Spelwaru”, gdzie pracował długie lata mój ojciec. Miał dobrą opinię i mnie z tego też coś kapnęło: po trzech miesiącach wyjechałem do Czechosłowacji. Byłem tam siedem lat.

— Ten okres to przerwa w pana zainteresowaniach kaszubszczyzną?

— Dopiero tam dobrałem się solidnie do tej kaszubskiej żyły złota. Zabrałem z sobą dużo książek, z każdego pobytu w kraju przywoziłem kolejną porcję. Po robocie czytałem, studiowałem. Nie tylko literaturę piękną, ale i historię Pomorza, lingwistykę. Akurat zaczął ukazywać się słownik Sychty. W Cze-

chach poznałem pewnego księdza, fanatyka słowiańszczyzny, „natrzaselca” pod tym względem. Szukał kogoś, kto by mu przetłumaczył na kaszubski fragment psalmu. Miał ten fragment we wszystkich mowach słowiańskich, brakowało mu tylko przekładu na kaszubski. Poznał jednego z inżynierów z naszej firmy, ten zawiózł mnie do niego. Ow ksiądz o Kaszubach wiedział niewiele. Przeczytał w jakiejś książce, że są tacy — jak on mówił — „kaszubanie”. posługujący się ciekawą mową, w której zachowały się pewne cechy archaiczne, prasłowiańskie. Przywożłem mu potem trochę materiałów z językoznawstwa, on z kolei opowiedział mi ciekawe rzeczy o Drzewianach, którymi się szczególnie zajmował. Spotkaliśmy się wielokrotnie, sporo z tych rozmów wyniosłem na temat grup etnicznych słowiańskich, zwłaszcza tych zamierających. Przetłumaczyłem mu fragment psalmu, nawet w trzech różnych pisowniach. Poszło mi dość gładko, okazało się, że jeśli dużo czyta się po kaszubsku to i pisanie nie sprawia większych trudności.

— To pana ośmieliło, zaczął pan pisać po kaszubsku?

— Listy. Takie — powiedzmy — literackie listy, okolicznościowe, z okazji świąt. Wysłałem je do rodziny, do jednego z kolegów. Takie trochę śmieszne, w stylu Guczowego Macka, którego felietony w tym czasie czytałem.

— Pierwszy tekst wydrukował pan w „Pomeranii” w 1978 roku. Po polsku...

— Po powrocie z Czech wpadła mi w ręce broszurka z referatami wygłoszonymi we Wdzydzach, na spotkaniach twórców literatury kaszubskiej. Coś tam przeczytałem, co mnie rozżłościło; coś co powiedział Lech Bądkowski. Nie wiedziałem dobrze kto to jest, wydawało mi się, że ktoś nieżyczliwie nastawiony do mowy kaszubskiej. Wysmażyłem straszny list, chyba sam diabeł mi podsuwał słowa. Bądkowski odpisał grzecznie: nic pan nie rozumiem, jak chce pan się dowiedzieć, proszę mnie odwiedzić. Pojechałem do niego, pogadaliśmy, wyjaśniło się, że źle zrozumiałem jego wypowiedź we Wdzydzach. I on mi wówczas powiedział: pan zdaje się potrafi pisać, niech pan coś napisze, obojętnie na jaki temat i niech pan mi to przyśle. Napisałem trzy krótkie teksty, takie krytyczne omówienia utworów kaszubskich. Posłałem Bądkowskiemu, on zaniósł do „Pomeranii”...

— „Zwierzenia czytelnika” — pierwszy i ostatni jak dotąd pana tekst napisany w literackiej polszczyźnie. Czy tak?

— Do pisania po kaszubsku zachęcił mnie również Bądkowski. W „Zwierzeniach” potraktowałem dość surowo „Dykteryjki i historyjki z Kaszub” Ropla. Za to, że zbyt spolonizował niektóre zwroty kaszubskie, jakby uważając, że taka kaszubszczyzna jest wyższej próby od codziennej, „żarnowej”. Bądkowski mi wtedy przygadał: krytykuje pan innych, dlaczego pan sam nie spróbuje pisać po kaszubsku? Przesiedziałem kilka nocy i napisałem — opowiadanie „Ksantypa”; o artyście ludowym, który rzeźbił figurki, a żona mu wytykała, że traci czas. Taką tradycyjną powiastkę, nic w tym nie było. Ale rozkręciłem się i z rozpędu napisałem jeszcze dwie inne. Z jednej, z „Odpustu” byłem nawet zadowolony. Posłałem Trepczykowi. On mi dwa, trzy słowa podpowiedział, za bardzo jednak nie grzebał w tekście, uważał, że każdy powinien pisać swoimi słowami.

— Opowiadanie ukazało się w „Pomeranii”. Bardzo piękne opowiadanie, dojrzałe, ze świetną puentą: Matka Boska przemówiła z obrazu nie jak zawsze po polsku, ale po kaszubsku. Próbował pan potem różnych form, napisał pan i opublikował kilka wierszy, ale ulubionym gatunkiem, jak się wydaje, jest felieton.

— Wiersze Puzdrowski obtałkował, że są do piadu.

— Zraziło to pana do poezji?

— Puzdrowskiemu podobno Tadeusz Bolduan też raz kiedyś odesłał wiersze. Miary filologiczne są z gumy. Jednemu się podoba, innemu nie. Jestem takim niedzielnym poetą, który mniej dba o artystycz-

na doskonałość, bardziej zależy mi, żeby przelać na papier co go gnębi, mierzi.

— I właśnie dlatego wybrał pan felieton, gatunek, który pozwala mówić bardziej wprost, o tym co wokół?

— Wiele rzeczy jest wartych opisania. Mnie nie bawi tworzenie abstrakcji, gdy tyle dzieje się dookoła, rozgrywają się prawdziwe dramaty, giną ludzie, ginie świat pewnej kultury. Czasy są gorące i gorejące, że aż parzą, a ja tu będę pisał o kwiatkach i motylach?

— Literatura nie musi przemawiać wprost, można o tym wszystkim, o czym pan mówi, pisać w sposób mniej dosłowny, co nie znaczy oderwany od niepokojów, które są udziałem współczesnych.

— Może abstrakcja i coś komuś podpowiada, uświadamia, ale często bywa to abstrakcja dla abstrakcji. Nie przeczę, że nieraz krótki wiersz o kwiatkach więcej dostarcza doznań i daje do myślenia niż długie wywody i pouczenia. Ale to tak, jakby mieć pretensję do szewca, że nie piecze bułek.

— Felieton jest także formą literacką, zwłaszcza taki, jaki pan uprawia: peten skojarzeń, dygresji, aforizmów, ironii i autoironii. Pana felietony to właściwie gawędy. „Gawęda była stałą komponentą naszej literatury nieomal od jej zarania i zasługuje, aby ją wziąć na warsztat nowoczesnej techniki” — twierdził Wańkowicz, który ten gatunek ulubił. Pisał, że gawęda to „ogród nie plewiony. Ale w tym ogrodzie!... — ziela a zieleń!... Pachnącego a pachnącego! A i frukta przednie się trafia. A witamin też a witamin, Boże ty mój!”. Wańkowicz czerpał z kultury szlacheckiej, w której wyrósł, ale uważał, że równie, a może nawet i bardziej soczysta i pożywna jest kultura ludowa. Te kultury się zresztą przenikały, oddziaływały na siebie. Gawędziarzy ludowych, obdarzonych poczuciem humoru, często finezyjnym, na Kaszubach nie brakowało, tyle że rzadko pisali. Pan nawiązał do tego nurtu, ale użył gawędy nie do bajania — do mówienia na tematy na wskroś współczesne.

— Gdy coś takiego słyszę od razu rośnie. Prawdę mówiąc piszę bardziej intuicyjnie niż świadomie.

— Niektórzy uważają — żeby nie było za słodko — że pan niepotrzebnie wdaje się w rozmaite potyczki, polemiki, a to z Drzeżdżonem, że nie pisze po kaszubsku, a to z jakimś „lojalnym felietonistą”. Ze za bardzo stara się pan nadążyć za tym, co „niesie dzień”. Nazwał pan to w jednym z felietonów „cześnie czasu”. Dla jednych taka pasja polemiczna jest walorem, dla innych niepotrzebnym rozdrabnianiem się. Wolą opowieści w rodzaju „Piełgrzymkowania”.

— Mnie redaktor Wojciech Kiedrowski ciągle namawia, żebym pisał powiastki, bo niby mam do tego talent. Może Bóg da, że napiszę ich cały mendel. Póki co lubię sobie popisać o tym i owym, dobrać się do jakiegoś kawałka rzeczywistości. Codziennosc jest też ciekawa, chociaż może nie tak atrakcyjna od strony literackiej. Staram się ją skubać, po trochu, na tyle, na ile potrafię.

— Dlaczego więc pisze pan po kaszubsku, jeśli chce pan swoje obserwacje i niepokoje przekazać innym? Zauważa pan sobie w ten sposób krąg odbiorców.

— Tych, co piszą w literackiej polszczyźnie, też można by spytać, dlaczego nie piszą po angielsku, skoro to język bardziej światowy niż nasz. Piszę dla swoich, dla Kaszubów.

— Przeczytałiby Kaszubi i inni. Pokazałem niedawno jeden z pana felietonów znajomemu, a właściwie przeczytałam mu fragment w brzmieniu spolszczonym. Powiedział mi: jaka szkoda, że ten Gołąbek pisze po kaszubsku... Wyobrażam sobie, jaki byłby rezonans takiego felietonu, jak „Abo róż na wiosło”. Weźmy choćby ten fragment, który pozwoliłem sobie nieudolnie przetłumaczyć: „Widzę, że popadam w styl jednego pleciugi z popularnej na Pomorzu gazety, który od czasu kiedy zaczął pisać swoje lojalne felietony, ciągle grzebie w wewnętrznych śmieciach (wrony i gołąbki muszą teraz zastępować orły). Ten niby orzeł orze jak może. Ciągłe się spowiada ile

dostał listów z pogrozkami od nieznanych miłośników swego talentu, a ile z pochwałami od podobnych jak on zjadaczy łaskawego kotacza”. Ten felietonista, który z braku tematów przepisuje już nie tylko listy, ale fragmenty książek (a czytelnicy mają zgadnąć, skąd on to wziął), przecież tylko czeka na takiego kuksańca. Dobrały się do pana, zyskały pan rozgłos, a i „Pomerania” przy okazji. A tak — cisza.

— Mnie nie zależy na rozgłosie, ani na orderach. Mnie wystarczy, że ktoś w wiosce przeczyta i powie, że mi się podobało albo nie podobało. Piszę, jak mówiłem, dla swoich. A jak napiszę coś naprawdę wielkiego to mnie przetłumaczą na polski i japoński.

— Zartował pan w jednym z felietonów, że widząc iż tak mało jest chętnych do pisania po kaszubsku, zasiadł pan nieproszony do stołu, zajmując miejsce być może zarezerwowane dla jakiegoś wielkiego pisarza kaszubskiego i teraz robi pan wszystko, żeby nikt nie spostrzegł małości. A tak na poważnie to pan napisał, że twórców kaszubskich goni umiłowanie „domocześnie” (swojszczyzny) i lęk o nią, lęk o zaginięcie tego świata, którego — jak pan to ujął metaforycznie — każdy twórca jest dzieckiem, ale i ojcem. Jest więc w tym i poczucie pewnej misji?

— Piszących w literackiej polszczyźnie jest wielu, ktoś musi się zapracować do tego woza z kaszubską furą, żeby wóz nie stał w miejscu.

— Obawia się pan, że kaszubszczyźnie grozi zagłada?

— Optymiści uważają, że kaszëbizna będzie zawsze. Mówiono już dwadzieścia i sto lat temu, że zniknie, a ona trwa i będzie trwać do końca świata. Inni twierdzą, że mowa jest tylko jedną z form kultury, którą można odstawić do archiwum, podobnie jak wiele form już zostało odstawionych. Mowa może zginąć, a Kaszubi będą nadal istnieć. Mowa nie jest w ich mniemaniu najważniejsza. Co jest ważne? Poczucie, że jesteśmy stąd. Mnie się wydaje, że to za słaby punkt oparcia. Mowa to coś więcej niż tylko jeden z wielu elementów kultury, to coś co człowieka przenika i co wiąże emocjonalnie z jego miejscem na ziemi. To coś więcej niż tylko środek porozumiewania się. Jest jednocześnie tym, co Kaszubów wyróżnia. Budynki są już dzisiaj wszędzie takie same, ubiory te same, zwyczajnie też ulegają upodobnieniu. Pozostała mowa, a w niej żyje nadal cały świat kaszubski, także to, co w postaci materialnej już nie istnieje. Mowa jest wciąż żywa. U nas we wsi, chociaż Osowa to dziś właściwie przedmieście Gdańska, masa ludzi mówi na co dzień po kaszubsku, nie tylko nieliczni staruszkowie, jak to napisał pewien pseudonim w tygodniku „Za wolność i lud” — o całych Kaszubach. Czasem przystaje przy kościele i słucham, jak młodzi chłopcy rozmawiają po kaszubsku. Trochę w ich mowie jest „gitowszczyzny”, ale to tylko świadczą, że dialekt żyje. Ale czy tak będzie zawsze?

— Literatura ma pomagać w utrzymaniu się kaszubszczyzny?

— Też, chociaż znowu takiego aż wielkiego wpływu na życie nie ma. Na pewno podnosi prestiż kaszubszczyzny. A Kaszubi nie mają poczucia wartości w nadmiarze. Byłem niedawno u jednego z sąsiadów. Rozmawialiśmy po kaszubsku. Zauważyłem, że do dzieci ten sąsiad zwraca się wyłącznie po polsku. Spytałem dlaczego? Na to on zawołał dziesięcioletniego syna i mówi do niego: Jasiu, powiedz panu coś po kaszubsku. Zwrócił się do syna... po polsku. O ile wiem, ten Jasiu z rówieśnikami rozmawia po kaszubsku, ale rodzice jakby mimowolnie utwierdzają go, że mowa ta jest czymś gorszym. Pamiętam, jak w szkole tłumaczono nam, że kaszubski jest ubogi, bo na przykład „przeszedł” i „przyszedł” to jeden wyraz, co jest nieprawdą: pomiędzy „przeszedł”, a „przėszedł” jest różnica, tylko ktoś, komu słoń nadeptało na ucho, jej nie wychwyli. Istnieniu gwar nie sprzyja właściwie wszystko, a jednak się utrzymują. Dla kogoś, kto od kilku pokoleń wychował się na ogólnej, literackiej polszczyźnie, może się to wydawać niezrozumiałe, wręcz irracjonalne. Muszą tkwić w lokalnych dialektach walory, których nie ma język ogólny. Może jest tym czymś większą intymność, swojskość, może jeszcze co innego.

— Gospodarka planowa nie należy do najmocniejszych. Dlatego ja za dużo nie planuję. Jak mi coś

Dziękuję panu za rozmowę.

W swych wędrówkach, zarówno tych w przestrzeni, nade wszystko jednak w rozmyślaniach przedsiębranych, nierzadko zdarzyło mi się pomyśleć o książce jednej i drugiej, obracających się choćby w zgoła niepomorskich rewirach tematycznych, przemieszczając je w myślach, przykrawając, dostosowując do realiów właśnie kaszubskich, właśnie pomorskich i właśnie przymorskich. Żałowałem wówczas niejednokrotnie, iż właśnie takiej książki czy utworu nie uświadczysz na kaszubskim gruncie. Kubek w kubek takiej właśnie, czy choćby w czymś do tej podobnej. Bo niby dlaczego nie u nas? rodziło się natychmiastowe pytanie. Co sprawia, iż nie posiadamy rzeczy takiej właśnie? Materii niby nie brakuje a książki

Zrodziła się ta impresja przy lekturze bodaj „Księgi Tatr” Jalu Kurka. Jakby to dobrze było, pomyślałem wówczas, gdyby to u nas, na Kaszubach, zaistnieć mogła taka, choćby i bliźniacza, „Księga Kaszub”. Zdarzyło się bowiem, iż Góral przeniesiony życiem niemal całym w inne, bo krakowskie rewiry,

przecie pewnością wspomnień, wyobraźni z krainą swego pochodzenia jest związany. Zdobył się na spojrzenie z lekkiego jakby dystansu, na moment choćby nie przestając tkwić tam skąd był wyszedł i którym to stronom siebie samego zawdzięcza.

Na uniwersyteckich zajęciach z etnografii przyjemność miałem niemałą kilkakrotnych rozmów, zgola nie akademickich, z prof. Kutrzaba-Pojnarową. Znałem już wówczas fundamentalną pracę pani profesor, kilkutomową „Puszcę Zieloną”. W jej naukowym opracowaniu rzecz o Kurpiach. O kulturze materialnej i duchowej tego regionu Polski, o obyczajach, obyczajach itp. Pracę solenną, dokumentną. Nie znalazłem podówczas jeszcze dociekań pani profesor w kwestii kaszubskiej, bo skądżeby... Po latach wielu, docieklszy zainteresowań pomorskich mojej ówczesnej interlokutorki, żalować począłem, iż praca o etnografii Kaszub, na wzór tamtej o Kurpiach, przecie nie powstała. Całościowa, kompetentna, choćby zbiorowa, ale pretendująca do wyczerpania tematu, w żadnym szczególe nie przyczynkarska. Tytuł tej „naszej” pracy nie mógłby zostać odwzorowany wprost, bowiem tak Bory Tucholskie, jak i Puszcza Darżłubska nie ważą w identycznym co Puszcza Zielona stopniu na tradycji kaszubskiej ziemi. Mniejsza wszak o tytuł.

Czekają też ciągle Kaszuby na swego Andrzeja Banacha. A więc na kogoś kto obdarzony talentem plastycznym, redaktorskim, pisarskim, nadto zamiłowaniem do podróży, niczym ów pierwowzór, w dwa tygodnie po swym powrocie z Japonii, Holandii czy Hiszpanii pisałby, komponował, wypieszczał te swoje książkowe cacka, w tytułach których byłaby zawarta informacja w rodzaju: „Dwa tygodnie u kanadyjskich Kaszubów”. A wewnątrz te ich twarze, kręgi rodzinne, zagrody, całe wsie udrapowane na podpućką czy podkościerną modłę. Broń Boże nie żywić pretensji do Jasia Drzeżdżona, iż takiej książeczki nie był ze swego za oceanem pobytu napisał. I tak już nazbyt wiele cierni liczy ta jego własnoręcznie na swą głowę nałożona korona. Cóż, przyznajemy z tej okazji, zbyt mało nas do pieczenia kaszubskiego chleba.

Książki nie napisane lub napisane nie przez nas, nie o nas i nie dla nas także. Utwory samym swym kształtem czy formą zatracające o nasze dzieje, z tym że te pospólne, uniwersalne, nie zawsze, jakże rzadko, uniwersalne przez i dzięki swej kaszubskości. Niejednokrotnie, dla przykładu, dywagowałem czyż takie jak to bronowickie wesele nie miało miejsca na Kaszubach i czy choćby w przybliżeniu atmosfery odpowiadającej tamtej podkrakowskiej „szalonej chacie” nie dałoby się i u nas piórem odmalować.

Pewnie nie, skoro póki co ni Sychcie, ni Dercowi, ni Fikusowi to się nie udało. A próby repliki czy parafrazy były, a jakże. Rzecz w tym, iż parafrazy właśnie. Gdy akurat nie tędy droga. Choć, kto to wie, może i względy pozaartystyczne grają tu swą rolę? Kto to wiedzieć raczy, na czym zasadza się jaźń niedoszłego artysty, na jakich impulsach się ona wspiera, jakich bodźców potrzebuje by takie lub inne weselisko wpisać, nowymi zgola realiami się posiłkując, w uniwersalizm kaszubskiej sprawy na dzień dzisiejszy, z wszystkimi jej kompleksami, fobiami i ansami, których przecie nie brakuje. Bo że ognistej, Dziennikarza czy Poety tam często nie braknie ogólnie wiadomą to jest rzeczą. Jedną Rachel z Kartuz też już sobie upatrzyłem. Żyda podmienić by mógł jaki zwolennik króla Jagielly. Złoty róg zagrać by mógł... No mniejsza z tym.

A owo kaszubskie „Muzeum Ziemi Ojczystej” — jak się dziś tłumaczy to z gruntu nieprzetłumaczalne „Heimattmuseum” Siegfrieda Lenza, też pozostaje do nierychłego napisania. Czytam właśnie w szkicu Andrzeja Staniszewskiego o Lenzu tę myśl, iż pisarze mazurscy powojnia — Henryk Panas, Erwin Kruk — przegrywają w rywalizacji pisarskiej z urodzonym w Elku — choć zgola inne podówczas nosiło miano to miasto. Bo to i głębia spojrzenia inna, i bogactwo odnośników myślowych i tym podobne sprawy. Skąd my to znamy, chciałoby się powiedzieć...

Nostalgii, wewnętrznego dramatu, tych efektów nie uzyska się z prostego oglądu rzeczywistości. A swoją drogą aż dziw bierze, iż z Kluk i ich słowińskiego obrzeża, na tej kanwie, nikt takiego muzeum ziemi ojczystej jak dotąd nie wykreował. Słyszę, iż szykowane w Słupsku seminarium w szyldzie ma mieć wypisane słowa o martyrologii Słowińców. A książki o niej, póki co, nie uświadczy. Czyżby tylko względy pozapisarskie to sprawiły.

Zgoda, iż Edward Redliński ze swą „Konopielką” jest niepowtarzalny. Bo to i język jury, mięsisty, giętki jak diabli. Lecz czy tylko ta okoliczność sprawia, iż na Kaszubach taka „Konopielka” (o Derdowskim i Guczowym Macku pamiętam jak najbardziej) nie powstała. A może onegdajsze Kaszubów poczucie humoru, to czyste, z siebie samych, bodaj najbardziej z rodzajów humoru wykwiłtne, zanikło lub jest w uwiadzie? Może jest tak, iż staliśmy się nagle śmiertelnie serio, wobec czego niemożliwością czystą jest spisanie książki takiej lub w czymś choćby do tamtej podobnej? Gdy mi się pomyśli o Kaziuku kaszubskim, który miewa „stosunki z ziemią”, zrazu pot mi na czoło występuje. Toż by to było świętokradztwo i obrazoburstwo. A kysz!

„Gryf” nie zawsze znaczy TOW „Gryf Pomorski”, a nazwa Tuchola nie zawsze oznacza miasto Tuchola na Pomorzu

W drugim zeszycie XXXIII tomu (1968 r.) kwartalnika „Zapiski Historyczne” s. 61—65 w dziale „Źródła i materiały” opublikowany został artykuł Ludwika Gomołca z Poznania „Kontakty poznańsko-pomorskiego ruchu oporu w okresie okupacji”. Artykuł stanowi raczej komentarz do cytowanego w nim dokumentu. We wstępie autor stwierdza, że w latach okupacji istniały ożywione kontakty i współpraca między pomorskim i poznańskim ruchem oporu. Wydaje się, że w tym stwierdzeniu na pozór słusznym jest sztuczne wyodrębnienie dwóch, jakby samodzielnych ośrodków ruchu oporu, co faktycznie nie miało miejsca. Trzeba bowiem pamiętać, że na Pomorzu, jak i w Poznaniu działało kilkanaście różnych organizacji o zasięgu lokalnym i ogólnopolskim. Ogólnopolska organizacja, np. Armia Krajowa, w każdym z tych regionów, zgodnie z przyjętą strukturą organizacyjną, miała lokalne kierownictwo podporządkowane wspólnemu dowództwu. W tym przy-

padku komendzie Obszaru Zachodniego, która decydowała o zakresie i powiązaniach tych dwóch terenowych ośrodków. Natomiast lokalne organizacje konspiracyjne, nie obejmujące swym zasięgiem całego kraju, o ile nawiązały kontakt poza swym regionem ze zbliżoną ideowo inną organizacją, po prostu współdziałały z sobą. Nie można więc współpracy pojedynczych organizacji rozszerzać na cały ruch oporu.

Dalej Ludwik Gomołec pisze, że między „Gryfem Pomorskim” a powstałą 12.05.1940 roku konspiracyjną organizacją „Orłów Leśnych”, która 25.06.1941 roku przekształciła się w liczniejszą organizację pod nazwą „Legion Miłośników Ojczyzny”, doszło do zawarcia „tajnej umowy o wzajemnej współpracy i podporządkowaniu się tej pierwszej organizacji komendzie „Gryfa Pomorskiego”. Dalej, że „tekst tej umowy nie dochował się do naszych czasów...” Jednak o jej istnieniu świadczy „rozkaz komendy grupy operacyjnej „Gryf-Tuchola”, określający zasady współpracy

Chwasty na poletku historii

Błędy i mity w majestacie nauki

Konrad Ciechanowski

i podporządkowania „Legionu Miłośników Ojczyzny” działającego na terenie powiatów: Czarnków, Chodzież i Piła. Od tego momentu „Legion Miłośników Ojczyzny” stał się jedną z grup wojskowych i cywilnych „Gryfa Pomorskiego”, podlegając bezpośrednio najbliższej grupie operacyjnej tej organizacji w Tucholi na Pomorzu”. Po tych wywodach albo raczej dla ich potwierdzenia przytacza treść rozkazu grupy operacyjnej „Gryf-Tuchola” z 25 VI 1941 roku. (W odnośniku, Ludwik Gomolec podaje, że odpis rozkazu „Gryfa Pomorskiego” do „Legionu Miłośników Ojczyzny” znajduje się w Archiwum Komisji Historycznej przy Zarządzie Okręgu ZBoWiD w Poznaniu sygn. 3052, a oryginał w posiadaniu Z. Grzesiaka). Rozkaz ten, bez nagłówka i oznaczenia sygnatariusza a tylko z określeniem „Tajne”, składa się z 17 paragrafów i jest podpisany „(...) Gryf. Tuchola 25 czerwca 1941”. Przytaczam jeszcze trzy fragmenty rzekomego rozkazu „Gryfa Pomorskiego” (spośród 17 „paragrafów”), które prawdopodobnie posłużyły Ludwikowi Gomolcowi do wyciągnięcia wniosku o związkach „Legionu Miłośników Ojczyzny” z „Gryfem Pomorskim”. Oto te paragrafy: „1. W porozumieniu z działaczami dawnej Komunistycznej Partii Polskiej i z grupą operacyjną „Gryf-Tuchola” na terenie Okręgu Nadnoteckiego, złożonego z powiatów: Czarnków, Chodzież, i Piła powołujemy do życia „Legion Miłośników Ojczyzny” — grupę wojskową i cywilną. 2. Grupa ta w skrócie będzie nosiła nazwę LMO i będzie podlegała pod rozkazy Dowództwa Pomorskiego”. „6. Różnego rodzaju manewry lub akcje muszą być uzgodnione z grupą operacyjną „Gryf”. Samowolnych posunięć prowadzić nie wolno, będą karane surowo”. Trudno tu jednak doszukać się potwierdzenia tezy L. Gomolca. Ale widocznie i on miał wątpliwości skoro poparł stwierdzenie fragmentem pamiętnika E. Grzesiaka (który cytował w swym artykule Henryk Drzewicki, o którego mitach pisałem w jednym z poprzednich odcinków): „Dowodami w naszej grupie, która przyjęła później nazwę „Legion Miłośników Ojczyzny” na okręg nadnotecki byli oficerowie Gryfa Pomorskiego (...) Na wiosnę 1942 roku w lasach Puszczy Nadnoteckiej często widzimy „ludzi leśnych” i to w większych grupach, mających do swej dyspozycji broń ciężką, nawet samochody. Naliczono ich 70 osób”. Nie zdołałem dociec, czy L. Gomolec przepisując ten cytat z pamiętnika zgubił jedno zero, czy Henryk Drzewicki pisząc o tym pamiętniku dołożył jedno, tworząc 700 osobowy oddział.

Z artykułem Ludwika Gomolca zapoznałem się w końcowym okresie pracy nad monografią „Ruch oporu na Pomorzu Gdańskim w latach 1939—1945”. Dlatego też publikacja bardzo mnie zainteresowała, zacząłem szukać potwierdzenia podanych w niej informacji. Niestety nie znalazłem. Wręcz odwrotnie, doszedłem do wniosku, że opublikowany rozkaz „Gryfa Pomorskiego” nie może mieć nic wspólnego z Tajną Organizacją Wojskową „Gryf Pomorski”. Ze swymi wątpliwościami podzieliłem się z redakcją „Zapisek Historycznych”, która poinformowała mnie, że mój list przekazała autorowi artykułu doc. Ludwikowi Gomolcowi i po otrzymaniu odpowiedzi, zostaną poinformowani o stanowisku autora wobec moich zastrzeżeń. Prawie po roku otrzymałem z redakcji „Zapisek Historycznych” odpowiedź L. Gomolca zawierającą cztery strony maszynopisu. Po pouczającym mnie

wstępie, iż nie uznaje napastliwej dyskusji, która nie nowego do sprawy nie wnosi, i że nie można bagatelizować, jak to ja czynię, żadnej zapiski itd, ustosunkowuje się do moich zastrzeżeń w 15 punktach. Zacytuje tu tylko dwa: „8. W rozkazie słusznie mówi się o grupie operacyjnej „Gryf-Tuchola”, a nie o TOW „Gryf Pomorski”. Tuchola nie jest miejscowością na Pomorzu Gdańskim, lecz nazwą leśniczówki w rejonie Sierakowa w Puszczy Nadnoteckiej. Omawiany rozkaz nie jest produktem „Gryfa Pomorskiego” czy „Gryfa Kaszubskiego”. Jest to zasadnicze (podkreślenie Ludwika Gomolca) w tej sprawie ustalenie. 9. Jesienią 1939 r. z Krakowa został przerzucony na tereny Okręgu Nadnoteckiego i Pomorza inż. Janusz Pałucki ps. „Gryf” w celu zakładania organizacji „Orzeł Biały”. Tak więc podpis pod omawianym dokumentem nie jest kryptonimem organizacji, lecz pseudonimem osobowym, stąd mowa o podporządkowaniu się „Dowództwu Pomorskiemu”.

Tak więc sprawa się wyjaśniła. Opublikowany na łamach „Zapisek Historycznych” dokument — rozkaz nie jest rozkazem „Gryfa Pomorskiego”, jak to podaje się w komentarzu. Nazwa Tuchola nie odnosi się do miejscowości na Pomorzu, a do leśniczówki w Puszczy Nadnoteckiej. Moje zasadnicze zastrzeżenia okazały się słuszne, ale mit czy błędna informacja został utrwalony. List bowiem, który L. Gomolec wysłał do redakcji „Zapisek Historycznych” nie został opublikowany. Artykuł ten znajduje się w niejednym biuletynie bibliograficznym, m.in. w XXXII tomie, trzecim zeszytzie „Komunikatów Bibliograficznych Centralnej Biblioteki Wojskowej”. Podałem i ja ten artykuł w wykazie literatury załączonym do monografii „Ruch oporu na Pomorzu Gdańskim...” Po prostu dlatego, aby mi nikt nie zarzucił, że nie znając tego artykułu opuściłem w opisie TOW „Gryf Pomorski” rzekome kontakty z „Legionem Miłośników Ojczyzny”. Muszę również samokrytycznie przyznać, że redakcja „Zapisek Historycznych” w przesłanym mi liście załączonym do wyjaśnień autora wyraziła gotowość opublikowania ewentualnych dalszych zastrzeżeń, pisząc: „Gdyby po wyjaśnieniach p. Gomolca zamierzał Pan jeszcze replikować, musiałoby to nastąpić w postaci artykułu recenzyjnego, który musiałby jednak uwzględnić także uzupełnienie przedstawione w liście p. Gomolca”. Nie replikowałem gdyż uważam, że to Ludwik Gomolec winien sprostować publicznie swój błąd, do którego przyznał się w liście do redakcji.

Nie zabierajmy bohaterów ani akcji „potępionym,, organizacjom

W polskim ruchu oporu w czasie okupacji prócz dwóch nurtów, lewicowego, w którym przewodnią rolę spełniała Polska Partia Robotnicza oraz drugiego nazywanego dziś często prolondyńskim, w którym przewodziła Armia Krajowa wraz z Delegaturą pol-

skiego rządu emigracyjnego, istniała jeszcze niemała grupa konspiracyjnych organizacji politycznych i wojskowych. Większość z nich to małe grupy, ale nie brakowało wśród nich również liczniejszych. Z czasem organizacje te, zwłaszcza mniejsze, włączały się do jednego z dwóch głównych nurtów. Były również i takie, które niezależnie przetrwały stosunkowo długo. Wśród tych ostatnich były trzy wyróżniające się nie tylko stosunkowo dużą żywotnością, ale także programem, który z powodu niekiedy profaszystowskich zabarwień, nie był w pełni akceptowany przez nurt prolondyński. Jednak szczególne zastrzeżenie do tych organizacji budziło podejrzenie, że są one infiltrowane lub inspirowane przez hitlerowską służbę bezpieczeństwa. W stosunku do niektórych osób z kierownictwa tych organizacji, a zwłaszcza dwóch podejrzanie stało się faktem. Toteż po wojnie niektórym członkom tych organizacji nie zostały zweryfikowane prawa kombatanckie. Ci natomiast, którzy za swą działalność w tych organizacjach zostali przez gestapo aresztowani i uwięzieni w obozach koncentracyjnych, mają prawa kombatanckie jako więźniowie obozów.

Spośród tych trzech organizacji na Pomorzu Gdańskim rozwinęły działalność dwie, tj. „Miecz i Pług” oraz „Związek Jaszczurczy”. Trzecia natomiast „Narodowe Siły Zbrojne” zdołała zorganizować swe ogniska jedynie na południowych krańcach dowojennego województwa pomorskiego. Podejrzenia, w niektórych przypadkach fakty infiltracji tych organizacji przez wroga spowodowały, że w badaniach ich działalności kierowano się przede wszystkim na udowodnienie negatywnej roli odegranej w dziejach polskiego ruchu oporu. Całkowicie pomijano rzeczywiste zasługi w walce z okupantem, a niekiedy zasługi te przypisano innym organizacjom, najczęściej Armii Krajowej. Odnosi się to szczególnie do organizacji „Miecz i Pług”. Niektórzy członkowie tej organizacji podejmowali próby częściowej chociaż jej rehabilitacji. Pierwszą był list otwarty do redaktora „Nowin Literackich” opublikowany w numerze 19 z dnia 27.7.1947. Nie odniósł jednak żadnego skutku. Tak, jak i w zasadzie pozostało bez echa pismo skierowane w tej sprawie do ministra sprawiedliwości podpisane przez Romana Bratnego, prof. Bogusława Gałęskiego, Rafała Kukulskiego, dra Jerzego Płażewskiego, Zbigniewa Stolaraka, Henryka Syske i Witolda Zalewskiego. 24 marca 1957 roku w 16 stronicowym maszynopisie w zwięzły sposób przedstawili swój pogląd na działalność „Miecza i Pługa”, jej rzeczywiste zasługi i charakter polityczny, dopominając się uznania ofiar poniesionych w walce z Niemcami. Pomimo tego w literaturze zarówno naukowej jak i publicystycznej nadal wspomniano „Miecz i Pług” jedynie w sensie ujemnym. Dopiero w przygotowanym przez Zakład Historii PAN — Centralnym Katalogu polskiej prasy konspiracyjnej, opracowanym przez Lucjana Dobroszyckiego i Wandę Kiedryńską pod kierownictwem naukowym prof. Stanisława Płoskiego (Wydawnictwo MON, Warszawa 1962), wśród tytułów prasy konspiracyjnej różnych organizacji znalazły się także gazetki konspiracyjne „Miecza i Pługa” oraz Zjednoczenia Organizacji Ruchu „Miecz i Pług”. O konieczności głębszego i obiektywniejszego zbadania działalności pomorskiej organizacji „Miecz i Pług” pisze prof. Czesław Madajczyk, podkreślając zasługi kierownika tej organizacji na Okręg Pomorski Augustyna Trągera (Czesław Madajczyk, Z zagadnień ruchu oporu na Pomorzu Gdańskim (w) *Zapiski Historyczne* Tom XXXII, r. 1967, z.4). Natomiast stosunkowo szeroko o tej organizacji pisał Adam Tokarz w artykule „Miecz i Pług” w *pertraktacjach i porozumieniach międzyorganizacyjnych* opublikowanym w 3 numerze 1969 roku kwartalnika „Dzieje Najnowsze”. Jest to dotychczas jedyne i najbardziej obiektywne opracowanie o tej organizacji, jeżeli nie liczyć przedmowy do wspomnień Tadeusza Fedorowicza pt. „Cena wolności” (działacza Zjednoczonej Organizacji Ruchu „Miecz i Pług”) napisanej przez Andrzeja Koznackiego.

Publikacje te jednak nie wpłynęły absolutnie na zmianę ocen tej organizacji przez większość historyków. Nie zmienił swej oceny również Zarząd Główny Związku Bojowników o Wolność i Demokrację, za-

równy w stosunku do całej organizacji „Miecz i Pług”, jak i jej członków. Nie wdaję się w opisy działalności tej organizacji, ale chciałbym podkreślić, że miała ona wcale niemałe wpływy na Pomorzu Gdańskim, a co najważniejsze sporo zasług w walce z okupantem. Z działalnością tej organizacji na Pomorzu Gdańskim można zapoznać się w opublikowanej przeze mnie recenzji wspomnień Tadeusza Fedorowicza (*Pomerania* nr 3, 1977) i w książkach „Życie i śmierć bohatera” (Gdańsk 1980) oraz „Ruch oporu na Pomorzu Gdańskim 1939—1945” (Warszawa, 1972).

Jeżeli w pionierskich pracach o ruchu oporu na Pomorzu Gdańskim, jakimi są prace Leona Lubckiego (*Ruch oporu na Pomorzu Gdańskim w l. 1939—1945* (w) *Gdańskie Zeszyty Humanistyczne* Nr 1—2, 1961) i Edmunda Jakubiaka (*Zarys działalności Tajnej Organizacji Wojskowej „Gryf Pomorski”* (w) *Najnowsze Dzieje Polski, Materiały i studia z okresu II wojny światowej*, Tom V, Warszawa 1961), działalność organizacji „Miecz i Pług” na Pomorzu Gdańskim jest pominięta lub naświetlona zgodnie z obowiązującymi ocenami jako organizacja „gestapowska”, nie wywołuje u mnie zdziwienia. Dziwi jednak w pracy tak wytrawnego historyka, jakim jest Włodzimierz Jastrzębski. W omawianym już rozdziale „Ruch oporu na Pomorzu Gdańskim” monografii „Okupacja hitlerowska na Pomorzu Gdańskim w latach 1939—1945” o organizacji tej, a konkretnie o Zjednoczeniu Organizacji Ruchu „Miecz i Pług” stwierdza jedynie, że miała złą reputację, ponieważ przez swoje centralne kierownictwo była infiltrowana przez gestapo. Dziwi mnie bardzo, że tylko tyle, i to z kilku względów. Po pierwsze autorzy nie rozróżniają organizacji „Miecz i Pług” od Zjednoczenia Organizacji Ruchu „Miecz i Pług”. Co prawda organizacja „Miecz i Pług” odgrywała przewodnią rolę w tym Zjednoczeniu, niemniej to jednak nie to samo. Pomimo tego, że TOW „Gryf Pomorski” w lipcu 1943 roku przystąpił do tego Zjednoczenia, to na Pomorzu Gdańskim w rejonie swego działania, nawet o ile współpracował z Pomorskim Okręgiem „Miecza i Pługa”, nie stanowił wspólnej organizacji. Poza tym, o ile ma rację W. Jastrzębski, że przystąpienie TOW „Gryf Pomorski” do Zjednoczenia Organizacji Ruchu „Miecz i Pług” ujemnie w pewnym stopniu odbiło się na tej organizacji, a zwłaszcza na jego opinii w pierwszych latach po wojnie, to nieprawdziwym jest stwierdzenie, że wynikiem przystąpienia były liczne aresztowania członków „Gryfa” jesienią 1943 r. A to dlatego, że jesienią 1943 roku nie było licznych aresztowań w „Gryfie”. Z całą pewnością można stwierdzić, że liczne aresztowania miały miejsce pomiędzy 3 a 5 maja 1943 roku, a więc jeszcze przed przystąpieniem do Zjednoczenia. Wypada nawet zaznaczyć, że spowodowały one opóźnienie w przystąpieniu do Zjednoczenia. Poza tym uważam, że należało dla uczciwości naukowej wyjaśnić, iż właśnie w celu uniknięcia ewentualnego przekazania informacji o „Gryfie” przez liderów tego Zjednoczenia do gestapo w Warszawie, zostali przez innych członków kierownictwa Zjednoczenia zastrzeleni. Przypuszczam, że celowo pominięto rolę organizacji „Miecz i Pług” w budowie ogniw ZWZ na Pomorzu. Ośmielam się tak twierdzić, gdyż nie przypuszczam, aby autorzy nie dotarli i nie zapoznali się ze wspomnianym wyżej opracowaniem Adama Tokarza, a przede wszystkim z opublikowanym przez Jana Zamojskiego protokołem z tzw. „Konferencji Belgradzkiej” (*Najnowsze Dzieje Polski — Materiały i studia z okresu II wojny światowej*, Tom X, 1966). Otóż na tej konferencji, która odbyła się od 29 maja do 2 czerwca 1940 roku w Belgradzie, przedstawicielka gen. Stefana Roweckiego — Janina Karasiówna, ps. „Bronka” pełniła obowiązki szefa łączności sztabu gen. Roweckiego, a występując na konferencji pod nazwiskiem „Rybczyńska”, informowała przedstawiciela Komendy Głównej ZWZ, że „na terenie Torunia, a częściowo i Poznańskiego działają następujące organizacje niepodległościowe t) *Miecz i Pług*, u) *Grunwald*, w) *Szare Szeregi* (harcerstwo). Wyżej wymienione trzy organizacje są w kontakcie z ZWZ”.

Zapewne zbyt nieprawdopodobne wydawało się W. Jastrzębskiemu, aby ZWZ współpracował z taką organizacją jak „Miecz i Pług”. Dlatego też, przy omawia-

niu działalności wywiadowczej polskiego ruchu oporu na Pomorzu Gdańskim, uważał również za zbyt czyste wspomnienie o takim głośnym wyczynie pomorskiego „Miecza i Pługa”, jakim było zlokalizowanie przez członków tej organizacji niemieckiego ośrodka doświadczalnego słynnych rakiet V₁ i V₂ w Peenemünde. Nie wierzę aby o tym nie słyszał. Tak jak nie wierzę aby nie słyszał o procesie sądowym po wojnie kierownika politycznego na Okrąg Pomorski „Miecza i Pługa” i członka kierownictwa Zjednoczenia Organizacji Ruchu „Miecz i Pług” — Augustyna Trągera, który został oskarżony o współpracę tej organizacji z gestapo. W czasie rozprawy oczyszczono go zresztą z tego zarzutu. Albo po prostu rozumował jak szef II rzutu Zarządu Polityczno-Wychowawczego I Armii Wojska Polskiego, który w sprawozdaniu z 12 lutego 1945 roku o sytuacji gospodarczej i politycznej w Bydgoszczy pisze m.in. że: „Do bezpieczeństwa wielu przynajmniej się do przynależności do organizacji Miecz i Pług, i skwitował to dosadnym stwierdzeniem: „Cholera wie, co robił!” (Organizacja i działania Ludowego Wojska Polskiego w latach 1943—1945. Warszawa 1963, dokument nr 261, s. 692). Jeżeli tak wypadało pisać autorowi tego sprawozdania, na pewno nie wypadało tego uczynić historykowi 34 lata później. W żadnym przypadku nie wolno było tych faktów przemilczeć.

Sprawę zaangażowania się członków pomorskiego „Miecza i Pługa” w wykrucie ośrodka doświadczalnego rakiet V₁ i V₂ inaczej potraktował Michał Woźniowski w swej książce pt. „Akcja V.V.” (Warszawa 1970). Podaje uciążliwe nazwiska niektórych działaczy „Miecza i Pługa” uczestniczących w akcji rozpracowania omawianego ośrodka doświadczalnego, nie podając jednak nazwy macierzystej organizacji ludzi, tj. „Miecza i Pługa”. Tak więc nieorientowany czytelnik może domniamać, że byli to członkowie Armii Krajowej. Dlaczego pozbawiać i tak już potępionej organizacji zasług? Czyżby Michał Woźniowski chciał wzbogacić zasługi AK? Chyba nie, ponieważ Armia Krajowa i bez tego ma przecież wiele niebagatelnych zasług w rozszyfrowaniu niemieckich ośrodków doświadczalnych z bronią rakietową. Dlaczego więc nie nadać faktu przynależności Augustyna i Romana Trą-

gerów oraz ich współpracowników do „Miecza i Pługa”? Mnie trudno na to odpowiedzieć. Tak jak i trudno odpowiedzieć dlaczego W. Jastrzębski we wspomnianym już kilkakrotnie rozdziale o ruchu oporu w monografii „Okupacja hitlerowska na Pomorzu Gdańskim w latach 1939—1945” (str. 287) stwierdza, że Stefan Hensel z Gdyni działał w grupie wywiadu ZWZ na Wybrzeżu. Tymczasem z całą pewnością należał do organizacji „Związek Jaszczurczy” i kierował dużym i aktywnym ośrodkiem wywiadu tej organizacji w Gdyni. Przeniesienie Stefana Hensla ze „Związku Jaszczurczego” (również potępionej organizacji jako faszystowskiej) jest tym bardziej dziwne, że jak wynika z załączonego do monografii wykazu źródeł, znany jest autorowi artykuł Leona Teresińskiego, opublikowany w 24 Biuletynie Główniej Komisji Badania Zbrodni Hitlerowskich w Polsce, pt. „Działalność Sądu Wojennego Rzeszy w okresie II wojny światowej”, w którym omawia między innymi, co prawda pobieżnie, działalność „Związku Jaszczurczego” na podstawie sentencji wyroków tego sądu w sprawie aresztowanych, lub ściślej sądzonych 59 członków tej organizacji. Spośród nich 40 otrzymało wyroki śmierci, w tym z Gdyni: Stefan Hensel, jego matka Helena (która zdołała jednak uniknąć śmierci), Czesław Kałek, Marian Sauer. Dlatego dziwi mnie przypisanie Stefana Hensla do ZWZ, tym bardziej, że autor wspomina o działalności „Związku Jaszczurczego” na Pomorzu Gdańskim. Pisze nawet o wspomnianym wyżej procesie i skazaniu 40 członków na karę śmierci, nie wymienia jednak ani jednego nazwiska. Dlaczego?

Podobnych przykładów można by znaleźć więcej. Członkowie „Związku Jaszczurczego” i „Miecza i Pługa” działali w szeregach swoich organizacji i jako członkowie tych organizacji byli sądzeni, gineli pod gilotyną, w obozach oraz na „polach ich walki”. Pozwólmy im pozostać również po śmierci przy ich przynależności organizacyjnej. Złożyli największą ofiarę za wolność ojczyzny — o którą wszyscy walczyli, bez różnicy na przynależność organizacyjną — swe młode zazwyczaj życie. Niech pozostaną takimi w naszej pamięci.

Jaromira Labudda

czyj dostonę w darěniku witrzěsi dżę
przērōczę wszęczi usmięwe na szklana

polarwę

Niech spłōsą sę lěstě
w parze drzewa
niech szamatō sę poszadzā
oslėpionē słuńcem
czyj dostonę w darěniku witrzěsi dżę
wėdwignę zemi troczęc zōrna piōsku
i będę sę modlęc
o żęcznōtę stopę

Nie wōrto nōparto stōwac przed sobā
czyj słuńce otmikō niebo na nibē
a szamat sę pogubi w lěfc
Dzērznā sę wātē
jak rōczā zdroku zabēti obrōzē
a ręcē sę zniżā pod stopē
Bo uwierzęc w niebnē słōwa
je wieczērā modlētwe
z rachama wspanitima o niwęc

czernidłēm nieba runimē wierztē
spōdajā na papiōr zmachconē lētrē
— zděsōnē wātē
obzērōmē kwiate od spōdku
hōchnym zapēzglenim korzēniōw
— spētōnēc rachōw
to nic że chadōmē sztērka boso
po smiotach cėsku
rozmiōc hērlēkē

Mój dom⁽²²⁾

Anna Łajming

Jednego dnia, kiedy spiesznie sprzątałam mieszkanie, bo aż kipiałam, by czym prędzej wyjść do ogródka, ktoś zadzwonił do drzwi. Otworzyłam i zdumiałam się. W drzwiach stał Wowa Gretman z Torunia. Byłam też zaskoczona jego zaniedbanym wyglądem. Co się zrobiło z tym przystojnym i eleganckim człowiekiem teraz, kiedy się ożenił? — pomyślałam.

— Rzadko piszę, ale za to przyjechałem — powiedział uśmiechnięty, nieco sepleniąc z powodu braku przedniego zęba. — Byłem w Gdyni i tym razem nie mogłem was pominąć.

— Kolek będzie niezmiernie rad z twojego przyjazdu, Wowa kochany — rzekłam, myśląc jednocześnie, gdzie mogłam podziąć marszrutę objazdu męża, aby szybciej po niego zadzwonić. Nie wiedziałam też co podać do stołu, bo nigdy nie byłam pomyslową kucharką. Ze dworu zawałowałam dzieci, które mu przedstawiłam i pobiegłam do telefonu. Mąż przyjechał po paru godzinach, niewymownie szczęśliwy z tak rzadkiego gościa długo trzymał go w objęciach.

— A spieszyłem do domu na łeb na szyję, bo byłem zaniepokojony o dom, kiedy zawiadomiono mnie o telefonie — powiedział mąż z ulgą. — Dzisiaj jest dwudziesty siódmy, a jest do data dla nas bardzo nieszczęśliwa. Tego dnia poległ na wojnie mój ojciec i w tym dniu wyszedłem z domu i nie powróciłem... Ileż to już lat minęło, prawie dwadzieścia...

— Tak. A życie toczy się dalej jak nigdy nic... — mówił gość, kiwając głową i łyżeczką mieszał cukier w herbatce. Mąż szukał w bufecie butelkę, którą przestawiłam na inne miejsce, bo mnie drażniła. Znalazł ją i sięgnął po kieliszki do wódki.

— A jak tam nasze sprawy związkowe? — zapytał mąż. — Zawsze myślę, że ty, młody człowiek, przejmiesz pałeczkę po Torłopowie. Oddział Związku Emigrantów Rosyjskich powinien być w Toruniu, bo tam jest Rosjan więcej niż w Bydgoszczy.

Wowa najpierw chrząknął i łyknął herbatę, którą się zachłysnął, jakby chciał odwlec odpowiedź. Wreszcie odrzekł:

— Torłopow ma pracę dorywczą i nadal prowadzić może nasz oddział, bo któż z nas ma na to czas? Ja, projektant etykietek, mam coraz mniej zamówień, dlatego jeżdżę tu, tam, nie dojem, nie dośpię, bo coś to za wypoczynek na dworcach z głową na stole, byleby utrzymać w ręku ten kawałek chleba...

— Hm... — mruknął mąż i zamyślił się na moment. Nagle zapytał: — A co byś powiedział o Tatjanie Nikolajewnie? To jest kobieta pełna życia!

— To jest narwana kobieta — odrzekł Wowa. — Do pracy społecznej ona się nie nadaje. Owszem, na naszych wieczorkach bardzo chętnie śpiewa i ogląda się za odpowiednią dla siebie partią. — Tu Wowa się roześmiał i dodał: — Mówię ci, Kolk, niedawno temu pobiło się o nią dwóch młodzieniaszków, Polaków, którzy u niej mieszkali. Byliby się posiekali na śmierć, gdyby nie rozsądny Głuszkow, który do nich przemówił: Chłopcy, puście starą babę kantem! Czy nie macie tu dość młodszych dziewczątek odpowiednich dla was?

Wowa tak się śmiał, że aż wyjął chusteczkę i przytknął do szczerbatych ust. Skoro jednak spostrzegł, że nas to nie bawi, spoważniał i podziwiał nasze mieszkanie.

— Mam tylko jeden pokój na poddaszu, na ul.

Bydgoskiej, który zostawili mi rodzice. Sami zaś wyprowadzili się do Radziwiłowa, bo w takiej ciasnocie nie moglibyśmy mieszkać razem.

— Więc na ciebie nie ma co liczyć — od nowa zaczął mąż.

— Działaczem trzeba się urodzić, to raz. A po drugie, ja nie mam odwagi chodzić i żebrać o składki, kiedy nikt nie może się zdobyć na wydanie tych paru złotych. Dokładałbym z swoich, bo pieniądze do Warszawy odprowadzić muszę.

— No, jak my takie będziemy mieli wymówki...

— Kolk, kochany! A co nam da to, że redaktorzy „Ze Swobody” jeszcze bardziej podburzą nas będą na bolszewików i to za nasze pieniądze? — Tu nachylił się do ucha męża, jakby to co powie było tajemnicą, i ścisłym głosem powiedział: Przestaliśmy już myśleć o powrocie do Rosji.

— Jednym słowem nie wierzyście w oswobodzenie Rosji? — zapytał mąż rozgoryczony.

Wowa znowu odchrząknął i rzekł:

— Ty absolutnie nie orientujesz się, co się teraz u nas nie robi dla tego marnego kawałka chleba. Rosjanki wychodzą za Polaków, żeby mieć obywatelstwo polskie i zapewniony byt. A Smietanowa ty już w cerkwi nie zobaczysz, a w kościele katolickim Afiszuje się tam, żegna się święconą wodą i łąsi do wszystkich, aby tylko nie utracić tej pracy.

— Usz, kanalie! Żeby utracić nadzieję na powrót do Rosji? Mnie tej wiary nikt nie odbierze.

— Sama wiara w powrót do kraju jeść nam nie da. A życie jest krótkie. Nie ma się co dziwić, bo gdyby jeszcze ten powrót odbył się bez rozlewu krwi, ale ja tego wszystkiego po raz drugi przeżywać nie chcę.

— Nie będzie nas, będą przecież inni. Mrówka też buduje od początku kopiec jeśli jej ktoś zburzy.

— Mrówka tak — odrzekł gość smętnie zamyślony i zaraz dodał: — Ale my tej swobody, jeśli ona w ogóle nastąpi, nie doczekamy. A nasze dzieci, tu urodzone, nie będą chciały tam wracać. Zrozum, na razie bezpiecznie siedzimy w kraju „białych” i o coś nam chodzi?

Mąż zaciągnął się papierosem i wypuścił kłębek dymu. A że była pauza zapytałam gościa:

— Chcesz Wowa zobaczyć nasz ogródek?

— Madam, proszę cię, zostaw ten ogródek — warknął mąż rozdrażniony.

— Mnie też nie interesuje ogródek, Aniu — powiedział do mnie gość. — Ale mieszkanie macie śliczne, okna w samych kwiatach, tylko widok z okien jest smutny, na same gołe pola...

— Nie gołe pola, bo przecież pszenica dojrzewa. A w dali, przy cukrówce, spaceruje rządca tych pól.

— Ja rozumiem, że Ukraińcy wtulają łby, ale my, Rosjanie? — znowu mówił mąż.

Wyszedł do kuchni. Zeszedł też do ogródka, żeby choć trochę popielić grządki. Dzieci bawiły się przed domem. Po pewnym czasie mąż otworzył okno i kiwnął do mnie.

Wróciłam na górę. Obaj byli markotni i zmęczeni ostrą dyskusją. Mąż poprosił mnie na stronę.

— Idź do „Bazaru” i kup dla ich córeczki jakąś zabawkę — rzekł i zaraz dodał: — Nie jest to już ten sam Wowa co kiedyś. Przy tej ryzykier żonie jest strasznie zaniedbany. Nawet jego chusteczka wygląda jak szmata.

— Ale człowiek ten sam. Nie wiadomo jak radzą sobie finansowo. Wróć lepiej do niego.

— Człowiek niby ten sam, ale kieliszka nie wypije, bo takie dał żonie słowo. Pantoflarz! Sam mam pić? Nie umiem rozmawiać bez wódki.

Przy posiłku Wowa, spoglądając na nasze dzieci, zaczął mówić o swojej córce, co męża bardzo nuziło. Gość spostrzegł i zapytał:

— Widzę, że masz na palcu sygnet z herbem rodowym?

— Mam. Ale tu zrobiony. Hanka będzie miała ten od mojej babuszki z Mentonu, jeśli go otrzymamy.

Dalsza rozmowa nie kleiła się.

Kiedy Wowa się żegnał i w przedpokoju wkładał płaszcz, rzekł:

— Jak tylko Hitler w Niemczech doszedł do władzy, ludzie wciąż mówią o wojnie. „Biada Polsce przy Pomorscu” przepowiadają Polacy w Toruniu. Myślę, że tu mogą być straszne bitwy. W razie wojny uciekniemy do Radziwiłłowa — dodał życzliwie — Koło Brodów Niemiec nas nie osiągnie.

Mąż tylko głośno westchnął i obaj wyszli na dworzec.

Nadszedł wreszcie list od moich rodziców. Tym razem mama donosiła o samych niedobrych wydarzeniach. Pisała: „Marta Rekościch, co się tak lekko ożeniła i ju dwoje dzeci miała, umarła. Le niedowno w Swornegacach był pogrzeb. Teru Rekosko wewtorzo i pomstuje i gorzko płacze, bo nie wie, jako macocha będzie te małe dzece po głowie tłuc i poniewierac. Bo chłop się ożeni jak drut.

Potem tu przechoł ten rebok Daleccy i opowiodoł, że tacci Voigt, Niemiec, co te graniczne jeziora mu się noleżało, zabił swoigo reboka, Guzińskiego, Poloka. To był u nas sądny dzień, bo każdy był na tego Niemca rozjuszony. A za co go zabił, tego jesz nicht genau nie wie. Le tyle wieme, że nopierwi ten Guziński jemu pokryjomu bez granicę z Betowa to radio przewiózł. A potem w niego z flinte panknoł. Teru Niemc sedzy w przye. Co się nie robi na tym swiecie!

A zema znowu się zbliży, bo mesze z pola ju wandrują do dom. Zebe abe nie była tako ostro jak ta ostatno. To była czesto Syberia, bo aż chójczy w lese trzeszczało. Tede to Rekościm zdziñoł ten kot i każdy le się domyszo, że mógł go ktos czapnąć dlo głuchygo Teodorka, na ten jego pelc.

Jo też wiedno chciałam isc bez granicę do tech Somin, do Marte Kłopków, zebe nareszce odwiedzec grobe starich Heringów, Ide i Hermana. Mój Boże! Wiele to ju lot oni nie żyją. Jedno bez tę granicę przelesc kosztowało be wiele turbacji i strachu. Z Mutkowa jo bem się w noce przesliznoła, ale jak nazód? Agata be wiedzoła, ale ona nie żyje. A tata, choc nigde się nie mortwioł, co będzie naprzodek, teru ani rusz ani war nie chce mnie puscec, że to nibe za Hitlera na niemiecocy stronie bardzo uwożają. Ale Guziński le przeloł i to z radjem pod pachu. W Sominach be mnie Marta Heringów do granicę zaprowadzoła, ale jak be nos obie razem czapnęły, co tede?

Janek pisoł, że ni może zaboczeć, jak fejn wa mieszkota i to jesz pisoł, że się żeni. A dej mu Boże, jaknolepi, zebe też miół swój ką i też tak dobrze mu szło jak tobie”.

— Jak nie ma Adeli to skarpety są dziurawe! — wołał mąż z sypialni. Czasem podnosił głos, denerwowały go dzieci. Akurat z mężem się pogniewałam o to, że jak był w mieście, w sklepie żelaza u Kiedrowskiego, ni stąd ni z owąd, kupił dla mnie rewolwer. I to od razu nabity. Byłam zdumiona i oburzona zapytałam:

— Po co? Nie wystarczy ci jeden, którym drzesz kieszenie?

— Kiedy jesteś sama może cię ktoś napaść i musisz mieć broń. I tyle się mówi o wojnie...

Dziwiłam się, że czasami jest taki oszczędny, a innym razem ma takie dziwne pomysły i zachcianki. Desperacko zapytałam:

— Powiedz przynajmniej, gdzie ma leżeć, skoro nasz mały wszędzie zagłada i po wszystkim sięga?

— Niech leży u góry na szafie i musisz uważać, żeby po niego nie sięgnął — odrzekł i otworzył okno.

— Podejdź tu bliżej, a pokażę ci jak się strzela.

Roztrzęsiona popatrzyłam na męża, czy nie stracił zmysłów. Dla oszczędności przecież chodziliśmy po tytoń za most, do Lisewa, bo w Wolnym Mieście był tańszy. Potrzebne nam były pieniądze na opał, obuwie dla dzieci, na ślubny prezent dla Janka, a on ostatnie grosze wydaje na strzelbę. Stanowczo zażądałam, aby wrócił do sklepu i rewolwer oddał. Do miasta poszedł, bo w domu usiedzieć nie potrafił, ale broni nie zabrał.

W tym dniu kolacja była biedna, kluski z kartofli i kakao. A męża wciąż nie było. Nagle wpadł do domu obładowany pakunkami, mocno podniecony. Na stole położył paczkę pachnących i cienkich jak makaron parówek oraz krajankę przeróżnych wędlin. Powiedział:

— Zaraz po tenisie będą u nas na kolacji państwo Starzeńscy. Podamy zielony groszek z szynką. Pomidory i ogórki mamy własne.

I pośpiesznie mył ręce. Patrzyłam jak szybko sięgał po talerze i półmiski, jak o czajnik sparzył sobie palec i prędko przyłożył do ucha, bo taki był zwyczaj w Rosji. A więc potrzebni mu byli tylko goście, by być zupełnie innym człowiekiem. Nawet przyznał mi rację, że niepotrzebnie kupił tę broń, bylebym już więcej o niej nie mówiła. Z gośćmi potrafił dyskutować godzinami, był zresztą bardzo lubiany w towarzystwie. Przeglądałam się, jak rozmawiał, nadszakiwał i krzątał się, a jego ruchy i uprzejmość po latach przypominał mi zawsze nieżyjący już dziś aktor Kazimierz Rudzki.

Jednego dnia w skrytce znalazłam list z Paryża. Nadawcą był Georgii Pawłowicz Łajming. W dniu przyjazdu męża położyłam go pod talerz drugiego dania, aby go zauważył dopiero po spożyciu posiłku, inaczej by z radosnego wrażenia nie jadł. List był od stryja, który tak nieostrożnie powiadomił babcię w Mentonie o swoim rozwodzie. Do nas także o tym napisał, również i o swoich dwóch córkach, które już dawno są zamężne. Wspominał dawne czasy. Dopytywał się o nasze dzieci i o mnie. Był ciekawy jak wyglądam, jakie mam oczy i prosił o naszą fotografię. Wysłuchałam wszystkiego i poszłam do ogródka, by przekopać grządkę pod truskawki. Zjawił się tam z pola Tchórzewski i oboje śmiejąc się, rozmawialiśmy wesoło. Mąż ujrzał go z okien, natychmiast wyskoczył z domu i przyszedł do nas, naturalnie z listem w rękę i oznajmił, że krewniak znalazł go przez Czerwony Krzyż i oczywiście list przeczytał. Kiedy przeczytał fragment o mnie powiedziałam:

— Odpiszesz mu, że postać mam niezgrabną, niską, oczy niebieskie, ręce czerwone, nogi grube.

I oparta na szpadlu zaśmiewałam się razem z Tchórzewskim, jak niegdyś w Gorzędzieju.

Mąż, który uważał mnie za najładniejszą kobietę, obrażony, włożył list do kieszeni i powiedział:

— Kiedy ty nabierzesz powagi? I po cóż te niedorzeczne słowa i śmiech? I po co machasz szpadlem dziś, kiedy ja jestem w domu?

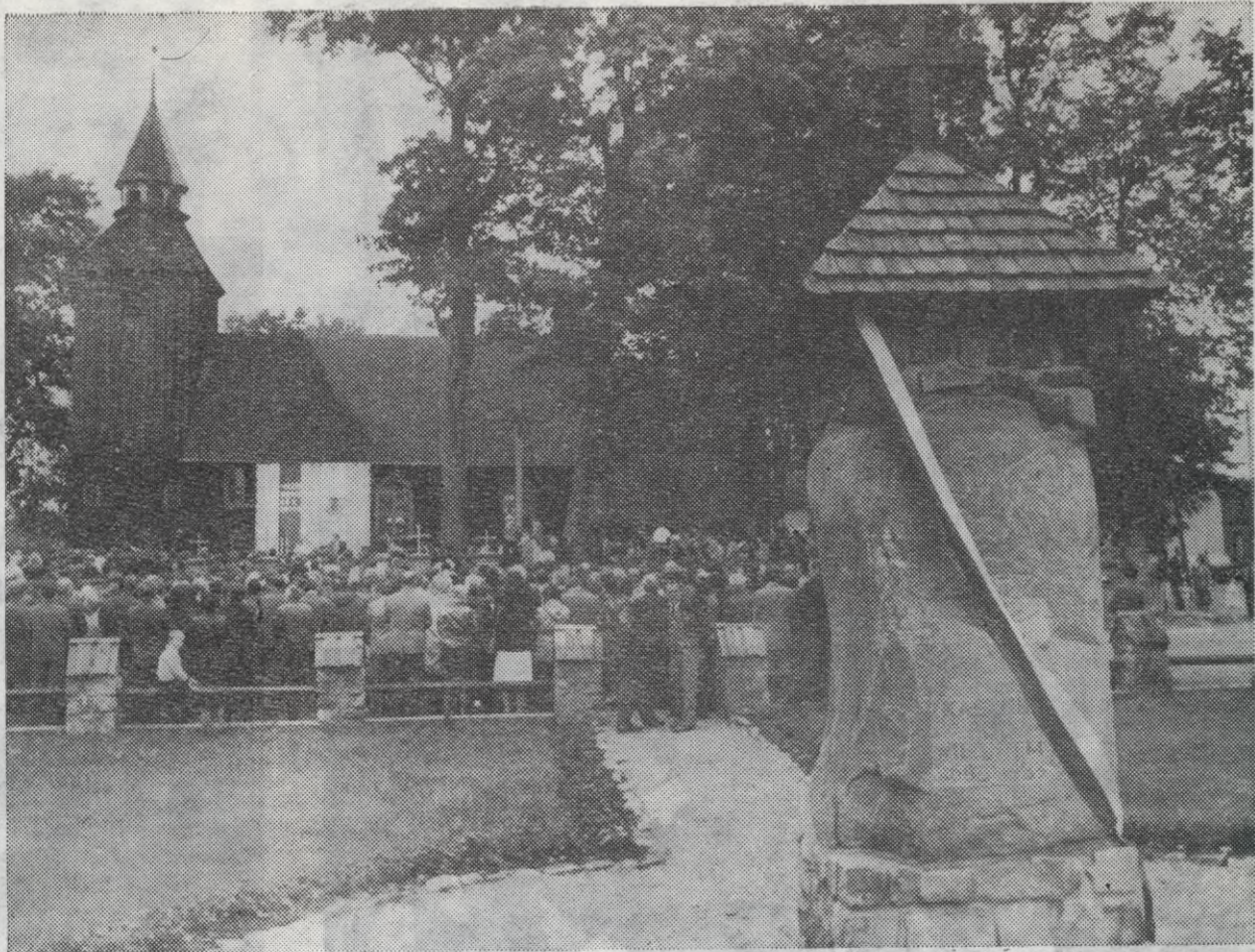
Wyrwał mi szpadel z rąk i ze złością przekopał grządkę tak niezgrabnie, że powstała jakaś głęboka jama, jakby tam pogrzebać miał psa. Nic nie mówiąc, poszłam do mieszkania. Z okien widziałam tylko, jak Tchórzewski zrównywał ziemię, coś mu tłumacząc.

Mąż chciał się gniewać na mnie, ale nie potrafił. Nie wytrzymał i zawsze przeproszał pierwszy. Powiedział jednak, że skarpety, których tak nie lubię cerować, ściąga sobie nitką sam, a węzły te obcierają mu pięty. A przecież zawsze jest w podróży. Przyznałam mu rację i choć lubiłam szyć i latać ubrania, cerowanie pończoch było dla mnie męczarnią.

I tak mijał czas. Przy stałej pracy w domu i ogródku. Przyszła zima i znowu lato. Nigdy nie czułam się psychicznie tak dobrze jak wtedy. Była już jesień i z działki zbierałam obfite plony. Akurat po wieczór zbierałam z krzaków różowe pomidory, kiedy zbliżała się do mnie swoimi długimi krokami pani Stenel z Baldowa.

— Poznałam panią z daleka, z ulicy! — zawołała rozglądając się, podziwiała grona pomidorów i masę dojrzałych ogórków walających się na ziemi. — Du meine Güte! Prima!

(c.d. na s. 31)



W trzysta lat później

— I stanął ten głaz jak stołem zrodzony na kaszubskiej ziemi...

Patetyczne słowa, wzmacnione przez megafony, niosą się po placu, odbijają echem od domów skupionych po obydwu stronach brzezińskiego ryneczku, od bocznej ściany starego, drewnianego kościoła, na której wielkie litery układają się w zdanie: „Przybyłem, zobaczyłem, Bóg zwycięży!”.

— Rocznicą bitwy wiedeńskiej szczególnie tu, na Gochach, ma żywe tradycje — grzmią głośnieki zawieszane na konarach lip.

Mówca stoi przy obelisku. Czworoboczny słup, w jaki go uformowano, wieńczy drewniany daszek z krzyżem, trzon wypełnia ogromny głaz. Na nim delikatnie wykuty gryf kaszubski i napis: „Kaszubi pod Wiedniem. 1683-1983”.

— Ten obelisk, przed którym dzisiaj stajemy, jest wyrazem naszego hołdu i pamięci dla tych, co wtedy pod Wiedniem — huczą megafony.

Wokół skweru tysięczny tłum.

W niedzielny poranek, 18 września Brzeźno przeżywało prawdziwy najazd. Szosą od Łąkiego niemal nieprzerwanie nadjeżdżały samochody. Auta i autokary, a w nich goście ze wszystkich stron Kaszub: z Chojnic, Kościerzyny, Kartuz, Gdańska, Pucka, Lęborka, Słupska, Wejherowa, Bytowa i wie-

lu innych miejscowości. Zapełniły się przygotowane za wsią parkingi, zaludniło w centrum. Z czasem zrobiło się i kolorowo od strojów ludowych, przybyło bowiem kilkanaście zespołów regionalnych. Pieśń, na rowerach, motocyklach i samochodami nadciągali mieszkańcy okolicznych wsi. Do wielu ro-

dzin przyjechali krewni, niektórzy z daleka, z głębi kraju. Takiego natłoku gości nie notowano w Brzeźnie od dawna. Od pięćdziesięciu lat.

Starsi pamiętają jeszcze tamte obchody przed pół wiekiem: cap-strzyk z udziałem banderii konnej i feerię ogni bengalskich w przeddzień uroczystości, niedzielną mszę polową, przemówienie wójta Augustyna Lew-Kiedrowskiego i wójta z Lipnicy Józefa Słomińskiego, sadzenie pamiątkowej lipy Sobieskiego, defiladę, w której przeciągnęła przez wieś, skrzydlata husaria, pokazy straży ogniowej, występy teatrów amatorskich i zabawę do białego rana. Z rozmachem, z fantazją uczczono 250 rocznicę zwycięskiej wyprawy pod Wiedniem i uczestnictwo w niej Kaszubów. „Wiele było obchodów ku czci Sobieskiego, lecz mało takich, któreby silniej przemawiały jak obchód



Odślonięcie obelisku „Kas
Wiedniem”

Fot. Leonard Szyma





e obelisku „Kaszubi pod
Wiedniem”

Leonard Szmaglik



Brzeźno
Szlacheckie
18 września 1983



brzeziński" — pisano w „Ludzie Pomorskim”.

Pamięć o tamtych uroczystościach sprawiła, że trudno było sobie wyobrazić obchody kolejnej okrągłej rocznicy, gdzie indziej niż właśnie w tej wsi. Na Gochach najmocniej ponadto utrwaliły się w opowieściach i przekazach rodzinnych echa tamtych odległych wydarzeń, a sa-

zabytkowego kościoła. Celebrował ją, w asyście księży z całego dekanatu, ordynariusz diecezji chełmińskiej ks. biskup Marian Przykucki. Powitano go na rogatkach parafii, wysyłając bryczkę, której towarzyszyli jeźdźcy na koniach. Przed kościołem ordynariusza przywitał rolnik z pobliskiego Janowa Franciszek Klonczynski. „Na skromnym

Uroczystość odsłonięcia obelisku wyznaczono na godzinę piętnastą. I oto wokół plotka okalającego skwer znowu skupili się mieszkańcy wsi i liczni goście. Wewnątrz ustawiły się pocztą sztandarowe: oddziałów ZK-P z Chojnic i Kościerzyny, a także straż pożarnej i szkoły zbiorczej w Lipnicy. Za nimi orkiestra z Za-



mo Brzeźno Szlacheckie, zachowało nie tylko w nazwie, ale i w klimacie coś z dawnego zaścianka, jednego z tych, w których zbierała się drobna szlachta, aby udać się na daleką wyprawę. To wszystko przesądziło o wyborze Brzeźna na miejsce głównych uroczystości kaszubskich, upamiętniających odsiecz wiedeńską. A także — o wzniesieniu tu obelisku.

Inicjatywa Zrzeszenia Kaszubsko-Pomorskiego spotkała się — jak zapisano w akcie erekcyjnym — „z gorącym poparciem społeczeństwa gminy Lipnica, a w szczególności mieszkańców Brzeźna Szlacheckiego, pomnych uroczystości obchodów 250 rocznicy odsieczy wiedeńskiej w 1933 roku”. Do przygotowań wniosły duży wkład oddziały Zrzeszenia w Chojnicach i Słupsku, przychylności i wsparcie okazały władze gminy Lipnica. Ale przede wszystkim nastąpiło wielkie ożywienie w samym Brzeźnie. Do przygotowań włączyło się duże grono mieszkańców. Centrum wsi zmieniło się nie do poznania. Na pustym dotąd placu urządzono skwer, okolony niskim ogrodzeniem z żerdzi i kamiennych słupków z drewnianymi daszkami — całość harmonizuje doskonale z obeliskiem. Wiatę autobusową z prefabrykatów zastąpiono estetyczną, drewnianą, na tylnej ścianie zwróconej w stronę placu, wymalowano na białym tle motywy kaszubskie. Wzdłuż stawu, znajdującego się w przedłużeniu placu, powstała promenada.

— Wieś wasza w ostatnim okresie niesłychanie wypiękniała. Jest to wasza zasługa, wasza praca — powiedziała prezes Zarządu Głównego ZK-P Izabella Trojanowska podczas popołudniowych uroczystości.

Rozpoczęły się tak, jak przed 50 laty — mszą polową na dziedzińcu

obelisku wzniesiliśmy krzyż — powiedział — symbol naszej wiary, o którą walczył i którą szanował wielki bohater wiedeńskiej wiktarii. Prosimy serdecznie w imieniu Obywatelskiego Komitetu Budowy Pomnika i społeczeństwa Brzeźna Szlacheckiego o poświęcenie. Pragniemy, by dzisiejsza uroczystość świadczyła o naszym głębokim przywiązaniu do Kościoła i Ojczyzny”.

W wygłoszonym na zakończenie mszy św. kazaniu ks. biskup Przykucki wielokrotnie nawiązywał do zwycięstwa pod Wiedniem i udziału w odsieczy Kaszubów. „I tutaj w Brzeźnie Szlacheckim zbierali się Kaszubi, aby stawić się do dyspozycji króla Jana Sobieskiego

— mówił. — Chcemy dzisiaj oddać hołd ludności kaszubskiej, tej sprzed trzystu lat i tej późniejszej, która zawsze opowiadała się za Polską i wspierała ją w potrzebie, i tej współczesnej, wspaniale zakorzenionej w tradycji ojców, manifestującej przywiązanie do Boga i Ojczyzny”. Przypomnienie dziejów ojczyźnej ziemi, okresów świetności powinno krzepić na duchu, „a trzeba nam pokrzepienia, trzeba nowej mobilizacji duchowej”.

Sprzed kościoła uczestnicy uroczystości religijnej udali się pod obelisk, gdzie odbyła się ceremonia poświęcenia. Po jej zakończeniu biskupowi ordynariuszowi wręczono pamiątki: medal wybity przez Zrzeszenie z okazji rocznicy, album z rycinami związanymi tematycznie z osobą króla Jana i miniaturę pomnika-krzyża, odsłoniętego w ubiegłym roku na górze Piszczatej w Borzyszkach, a upamiętniającego poległych i zamordowanych w czasie II wojny mieszkańców Gochów. Pamiątki te wręczyli Izabella Trojanowska, Edmund Kamiński i Zbigniew Talewski.

kładów Porcelany Stołowej „Lubiana” z Lubiany. Po drugiej stronie obelisku przedstawiciele władz wojewódzkich, gminnych. Zrzeszenia Kaszubsko-Pomorskiego, członkowie Społecznego Komitetu Budowy Pomnika.

— Z szacunku i pamięci postawiliśmy w tym historycznym miejscu ten znak naszej, Kaszubów, obecności w życiu narodu...

Zbigniew Talewski, prezes Oddziału Słupskiego ZK-P wita w imieniu komitetu budowy wszystkich przybyłych i kieruje słowa podziękowania dla tych, którzy wspierali komitet w realizacji tego przedsięwzięcia.

Do mikrofonu podchodzi przewodniczący obywatelskiego komitetu, miejscowy nauczyciel, dyrektor szkoły Jerzy Matczak i odczytuje akt erekcyjny. Przypomniawszy w nim udział Kaszubów w odsieczy i umieszczono informacje na temat budowy pomnika. Wniesiono go według projektu architekta Jana Sabinia z Chojnic, a wykonawcami byli: Stanisław Spiczak-Brzeziński, Józef Gostomeczk i Ryszard Przybyła z Chojnic. Głaz ofiarował Kazimierz Żmuda-Trzebiatowski z Glińska.

„Przy budowie pomnika ofiarnością i wkładem pracy zasłużyło się wielu obywateli wsi Brzeźno. Szczególne wsparcie finansowego i organizacyjnego udzieliły władze gminy z naczelnikiem Leopoldem Janowskim i przewodniczącym Gminnej Rady Narodowej Zbigniewem Studzińskim” — brzmi fragment aktu, kończącego się zdaniem: „Niech będzie świadectwem trwania Kaszubów na tej ziemi po wieczne czasy”.

Podpisy składają członkowie komitetu budowy, liczącego 20 osób. (Jego prezydium stanowili mieszkańcy Brzeźna: Jerzy Matczak, Władysław Spiczak-Brzezińska,

Jerzy Balcerzak, Franciszek Gründeman i Zdzisław Krzeński).

Następnie Izabella Trojanowska i Jerzy Matczak dokonują symbolicznego wmurowania aktu erekcyjnego

W imieniu władz politycznych i administracyjnych województwa śląskiego krótkie przemówienie wygłasza sekretarz WK ZSL Mieczysław Remiszewski. — Na poczet tej uroczystości wasza wieś oraz gmina zorganizowała się do wielkiej pracy, pracy organicznej...

Następuje najważniejszy moment uroczystości. Do pomnika zbliża się Władysław Spiczak-Brzezińska w towarzystwie wiceprezesa ZG ZK-P Wojciecha Kiedrowskiego i Kazimierza Ostrowskiego, aby dokonać odsłonięcia obelisku. Po zdjęciu szarfy orkiestra gra Rotę, a jej słowa podchwytują zgromadzeni.

Zbigniew Talewski odczytuje nazwiska osób, które z okazji uroczystości uhonorowano odznaczeniami. Wielu z tych, którzy wyróżnili się w przygotowaniu obchodów otrzymuje odznaki „Zasłużonym dla województwa śląskiego”, wielu inne. Również Zarząd Główny ZK-P

ska i udzielił pomocy: Zbigniew Talewski, Wojciech Kiedrowski i Kazimierz Ostrowski. Medal wręczono również autorowi projektu pomnika Janowi Sabiniarzowi z Chojnic (wykonał — dodajmy — projekt społecznie). Dyplomy i podziękowania od Obywatelskiego Komitetu i Oddziału Śląskiego ZK-P kończą tę część uroczystości.

Zabiera z kolei głos Kazimierz Ostrowski. Podkreśla ważną rolę, jaką wydarzenia z drugiej połowy XVII wieku miały dla uformowania świadomości historycznej mieszkańców Pomorza.

— Pamięć chlubnej karty dziejów krzepiła w najcięższych chwilach i pomagała odradzać się na nowo. Także dzisiaj pamięć przeszłości jest mocnym spoiwem pomorskiego społeczeństwa. Sięgając po wielkie tradycje odkrywamy własny rodowód, utwierdzamy się w poczuciu tożsamości.

Przypomina pobyt króla Jana III na ziemi pomorskiej i sympatię, jaką się cieszył na Kaszubach. Nie zawiodł się, gdy trzeba było ruszyć pod Wiedeń. Do piechoty zaciągnęło się wówczas wielu synów drobnej szlachty kaszubskiej, z nich prawie w całości był złożony regiment wojewody Denhoffa.

— Pomnik ten, przed chwilą odsłonięty, powstał z woli ludu kaszubskiego, na świadectwo najcenniejszych tradycji dla następnych pokoleń. Ten gład wydobyty z ziemi kaszubskiej na polach Glińa niech połączy przeszłość z teraźniejszością, niechaj głosi, że nowe czasy posadowimy na twardym fundamencie wspaniałych czynów i postaw naszych przodków. Niech będzie ten pomnik klejnotem naszej szczepowej dumy.

Po złożeniu kwiatów pod obeliskiem przez delegację ze wszystkich części Kaszub orkiestra z „Lubian” gra hymn kaszubski. Młodzież z miejscowej szkoły, występująca w pięknych strojach kaszubskich, przedstawia na zakończenie okolicznościowy program.

Tradycją obchodów stało się sadzenie pamiątkowych lip. Tak było przed pół wiekiem i tak jest i tym razem: długi szpaler drzewek zasadzono wzdłuż nowej promenady nad stawem.

A potem przez wiele godzin na estradzie prezentowały się zespoły regionalne, które występowały także wcześniej — w przerwie pomiędzy dwiema częściami uroczystości. W sali widowiskowej Teatr Lalki ze Śląska wystawił sztukę Jana Karnowskiego „Kaszubi pod Wiedniem”.

Organizatorzy zadbali nie tylko o strawę dla ducha. Wokół placu czynne były bufety, kuchnia polowa serwowała grochówkę z „wkładką”.

Niezwykłym wprost powodzeniem cieszyły się wydawnictwa kaszubskie. Stoiska Zrzeszenia — oddziału gdańskiego (dwa), chojnickiego i wejherowskiego — były przez cały czas dosłownie oblegane, a o broty przeszły wszelkie oczekiwania.

Obchody 300 rocznicy zwycięstwa



pod Wiedniem, chociaż nieco skromniejsze niż przed 50 laty, pozostaną niewątpliwie długo w pamięci gości i mieszkańców Brzeźna Szlacheckiego.

Warto jeszcze przy okazji wspomnieć o wydawnictwach związanych z rocznicą. I tak Zarząd Główny ZK-P wydał interesującą publikację „Sobieski na Pomorzu. Prawda i legenda” autorstwa Wacława Odyńca i Kazimierza Ostrowskiego. Oddział wejherowski — albumik składający się z piętnastu kart związanych z osobą króla i wyprawą wiedeńską (według projektu i z tekstem Edmunda Kamińskiego) — „Portrety i pamiątki Jana III Sobieskiego”. W związku z wystawą jubileuszową w Ratuszu Głównego Miasta w Gdańsku ukazał się ładnie wydany katalog „Jan III Sobieski w Gdańsku”, sygnowany przez Muzeum Historii Miasta Gdańska, Bibliotekę Gdańską PAN i Wojewódzkie Archiwum Państwowe. E.Sz.

*

Na zdjęciach: poczty sztandarowe oddziałów ZK-P z Kościerzyny i Chojnic; młodzież ze Szkoły Podstawowej w Brzeźnie Szlacheckim; Izabella Trojanowska i Jerzy Matczak podczas odczytywania aktu erekcyjnego; Kazimierz Ostrowski w trakcie przemówienia; orkiestra z „Lubian”; Władysław Spiczak-Brzezińska, która dokonała odsłonięcia obelisku oraz inne migawki z uroczystości w Brzeźnie Szlacheckim.



uhonorował najaktywniejszych — medalem okolicznościowym, wybitym z okazji 300 rocznicy odsieczy. Prezes Izabella Trojanowska wręczyła je: Władysławowi Spiczak-Brzezińskiej, Franciszkowi Gründemanowi, Zbigniewowi Studzińskiemu, Zdzisławowi Krzeńskiemu, Jerzemu Matczakowi, Franciszkowi Klonczyskiemu, Jerzemu Balcerzakowi, Kazimierzowi Żmudzie-Trzebiatowskiemu, Leopoldowi Jankowskiemu. Otrzymali je także działacze Zrzeszenia, którzy odegrali dużą rolę w zainspirowaniu środowi-

Władysław Zawistowski

Miasto hermene- utyczne

Wiemy, że czas już wracać, ale powrotu nie ma;
zburzono drogi, przecięto mosty, ciemne dukty
zarosły nowym lasem.
Nawet rzeki zmieniły swój bieg, kościoły kolor,
a dzwony biją w południe swoją własną pieśń.
Budzimy się nagle w obcych miastach,
w których dogonił nas czas wiele lat temu.
Na nic zdała się ucieczka,
tak jak teraz —
bezcelowy jest powrót.
(powrotu nie ma — codziennie mówi mi o tym mój syn

budzący się bogatszym o kilka nowych słów).
Musimy uczyć się na pamięć domów i placów,
spadzistych wzgórz i rozległej plaży
nad morzem, zawsze niemym,
którego nauka
próżna jest nam, choć w mlecz pokoleń przecieka.
Oślepia nas to miasto jeszcze,
jeszcze dziwi,
oswaja się,
jak zmęczone zwierzę.
Zaludniamy je pierścieniem cmentarzy —
nasi zmarli przywiązują je do nas
(oni są już prawymi obywatelami tej ziemi),
rosną w nocy i deszczu ponad najwyższe dachy,
zawsze podobni do trzech nagich krzyży.
Więc, choć chcemy wracać, już wiemy, że powrotu

nie ma.

Wielkie srebrzysko naszej krwi rozlało się tutaj,
nie oderwie się od ziemi, w którą wsiąkło:
to drugie morze, odbijające inny przestwór.
Więc nie wrócimy, nie mamy już dokąd wracać.

Nasi synowie szczęśliwi,
będą powracać tutaj, do doliny,
w której złożyą nasze niesforne kości.
I nie jest to wiedza,

która domaga się straszliwej ceny.

Cena jest zawsze ta sama:

życie, całe życie.

Więc żyjemy:

na walizkach i w ramionach deszczu,
wciąż niepewni swego miejsca i czasu i prawa.

Nie dość silni, by zatrzymać czas i
stanowić prawo;

zapuszczamy delikatne korzenie, rozrywamy glebę,
pijemy morze.

Pośród niezrozumiałych cieni,
obco brzmiących nazwisk,
karłów z baśni, których nie potrafimy przeczytać,
pośród milicyjnych patroli

i łacińskich sentencji pałaców,
aforyzmów, których nie jesteśmy ciekawi.

Miedzy pustym niebem,

a niepewną ziemią zawieszeni,

jak mewa, ptak momentalny a niczyj.

Możemy tylko jedno:

umierać i czytać,

czytać i umierać,

aż przyjdą szczęśliwsi od nas.

I ci będą żyli.

Ale czyż nie jest szczęśliwym ten,

który może czytać?

Wielka księga otwarta jest na dowolnej ulicy.

Pogadałyśmy chwilę. Wreszcie kiwając głową, zaczęła wzdychać:

— Tak, kochana pani... no, jak wam tam, pani Dings?

— Łajming — powiedziałam.

— A tak, pani Łajming. To wy biedy nie macie, skoro macie taki ogród i paradne mieszkanie. Jejka, jak ten czas leci! A jeszcze dziś widzę panią idącą do ślubu w kościele, tak jakby to było wczoraj. A Tchórzewscy jak dzieci nie mają to nie mają, co?

Nagle trąciła mnie w ramię i mówiła szeptem, choć byliśmy zupełnie same:

— Ten Bruno Sliwa, zamiast z Polakami trzymać sztafa tak jak ja, często jeździ do Gdańska, a mówi, że tam już zapisał się do tych hitlerowskich SA... Ale cicho sza! Bo to mi ktoś jeno do ucha szepnął — dodała, przykładając palec do ust. — Tak, tak! Ten mały Bruno, co to do mszy służył jak wy ślub brali.

Obejrzałam się na krzyczące dzieci, którym zawisł na drzewie latawiec.

— A jak tam ten wasz chłop? Stale jest w podróży? Zgodziła się z tym? Bo żona naszego kowala kłóci się z tym swoim o inne baby, że aż szyby drżą, tak na całego. I jak do kuźni zajrzy jakaś glamajda, ona zaraz podgląda go przez dziurkę do klucza, aż przez to ciągle zagładanie urodziło się jej dziecko z krzywymi oczyma. Niech nikt w tym stanie nie podgląda męża przez dziurkę do klucza. Wiedersehen! — zawołała nagle i mocno trącając mnie w ramię odeszła.

— A nie chce pani obejrzeć naszego mieszkania? — zawołałam.

— Nie. Ja idę tylko tam, gdzie jest bieda — odkrzyknęła i już się nie obejrzała.

Poszłam do domu. Z kuchennego oka zapatrzyłam się na pochmurne niebo. Za Wisłą nad Malborkiem ukazywały się ogniki fajerwerku. Puszczano je na cześć Hitlera, który w tym dniu wizytował te miasta. Była to jesień roku 1938.

W jednym dniu sprzątnęłam warzywa z ogródka, wnosząc je do piwnicy i jeszcze przed zmierzchem przekopałam ziemię. Uszarpałam się mocno i dostałam silnego kołatania serca. Zaniepokojona szykowałam się do lekarza, aby mnie zbadał. Musiałam zabrać z sobą dzieci.

W poczekalni była cisza mimo że czekało tam mnóstwo pacjentów, co chwilę wzdychających. Nagle dr Węglewski wyszedł z gabinetu i przepaszając nas oświadczył, że musi pilnie wyjechać do skomplikowanego porodu na wieś. Pacjenci byli zaskoczeni. Ktoś nawet jęknął żałośnie. Ja natychmiast z dziećmi wstałam i wyszłam z poczekalni. Mnie również szkoda było tej drogi tym bardziej, że kropił deszcz. Wiał silny wiatr i zrobiła się szaruga.

Wieczorem, obolała, dokuczały mi jeszcze bóle reumatyczne, zanim położyłam się do łóżka, utarłam dla dzieci czosnku z masłem i miodem. Miało to ich uchronić przed kaszlem i bólem gardła. Kiedy byłam w papilotach i w całym mieszkaniu pachniało czosnkiem, ktoś zadzwonił do drzwi. Na moment znieruchomiałam. Pomyślałam, że to sąsiadka, zapiełam szlafrok i otworzyłam drzwi. Stał w nich dr Węglewski, który swoim lekkim krokiem śpiesznie wszedł do przedpokoju i z teczki wyjął wypisaną już receptę na tran dla dzieci i mi wręczył.

— Widziałem panią w poczekalni. Dlatego wracając z terenu, po drodze wstąpiłem — rzekł, po czym odwrócił się i śpiesznie wyszedł.

Oniemiałam do tego stopnia, że nawet nie wiem, czy za tę uprzejmość wykrztusiłam słowo „dziękuję”. Wciąż stałam w miejscu i słyszałam, jak na ulicy lekarz trzasnął drzwiczkami samochodu i odjechał.

Tego roku zima była łagodna, ale wybuchła epidemia grypy i razem z dziećmi zachorowałam. Mąż zmartwiony krzątał się w kuchni. Słyszałam jak zsunęła mu się pokrywka czajnika i upadła na podłogę i na pewno sparzył sobie palec.

— Gdzie są te zioła lipowe, do diaska?! — zawołał. — Jakby nam teraz Adela się przydała! Żeby pozbyć się takiej dziewczyny!

Zadzwonił po lekarza. Dr Węglewski był w tym

Józef Ceynowa Kaplęczka

Zwoni kaplęczkowi zwón,
sprószo lędzy do sé z gón;
dosc sę narobilë w polu,
skarnie w poce jim sę żółą
i ju czas do chęczi z pól.

Zazwonił kaplęczci zwón,
jak mu kôze Jezus Pón.
Niech go częją ti co orzą,
ti co rëbë łowią w morzu
i téż ti z wieselnëch grón.

Bo zwoni kaplęczci zwón
na wieseli ë na zgón,
wszëtczim wiedno dobrze wieli,
zmieniô smutci na wiesela,
bo tak to chce Pón Bóg sóm.

Pëszno zwięczi wiesci zwón,
co dzień wies ukôrznio on;
miłosc tkô, wiarę, nôdzieję
w wieczór, w półnie ë czie dnieję
ten błogosławiony tón.

dniu bardzo zajęty wyjazdami w terenie, ale oświadczył, że zastąpi go dr Cymbrowski, który zjawił się u nas dopiero późnym wieczorem. Słyszałam, jak głośno rozmawiał w przedpokoju i do sypialni wszedł szeroko uśmiechnięty. Może dlatego od razu poczułam się lepiej, ale dr Cymbrowski nie spojrzał w naszą stronę, a zaczął z mężem dowcipkować. Mąż jednak prędko skierował rozmowę na chorych, ale on jednak zapytał:

— Czy ta hrabianka Izabella Łubieńska pobierze się z tym młodym Skarzyńskim?

Uniosłam się w łóżku i z ciekawioną zapytałam:

— To Izetka wychodzi za mąż? Kto jest ten Skarzyński i jak wygląda?

Mąż objaśniał:

— Kiedy latem byliśmy na wyścigach konnych, pamiętasz, taki młody, przystojny jeździec. Przedstawił ciębie jego matkę, która siedziała obok nas...

— Ten z tym obgryzionym uchem? — zapytałam zdziwiona, przerywając mężowi.

— Zaraz z obgryzionym uchem — powtórzył mąż niezadowolony.

Lekarz zachichotał:

— Mówcie sobie co chcecie, ale to ucho szpeci tego młodego dziedzica — powiedział. — No ale cóż, w filmie grał nie będzie, do mszy służył też nie.

— W każdym razie to nie jest partia dla hrabianki — mówił mąż surowym głosem. — Może być jej adoratorem tak jak inni, jak choćby ten młody Rudowski z Kłonówki, równie pusty firecyk. Ale, ale, kłopot mam z chorymi...

— A co im jest? Siedzą w łóżkach i oczyma świecą.

— Właśnie, świecą. Od wczoraj gorączkują, a mam służbę poza domem i to mnie martwi.

— Połowa Tczewa leży na grypę, panie Łajming — i choć już wyjął słuchawki, jeszcze zapytał: — A ten Tchórzewski, administrator Górek, czy czasem nie kupi tego majątku od Waligóry?

Mąż zrobił duże oczy i również zapytał:

— A za co ma kupić?

— To po cóż tak się szarpie? On tam rznie większego pana niż właściciel. Robotnicy przed nim skaczą na czterech łapach.

— Panie doktorze, jak człowiek wciąż drży o kawałek chleba, to nie tylko na łapach ale i na rękach skakać będzie.

— Tak. Ludzi mamy biednych w tej kochanej Polsce — westchnął lekarz ze współczuciem. — Mam wieś pod swoją opieką, to widzę. Chude to, skóra i gną. Młodzi ludzie a ich ciała to jedna ruina.

Po tym smętnym westchnieniu wreszcie zabrał się do nas, chorych i badał nam płuca i serca tak uważnie, że aż mrużył oczy.

Prędko wyzdrowieliśmy i już w marcu wyjechać musiałam z powodu reumatyzmu do sanatorium w Inowrocławiu, o które się wystarał mąż. Sam nie lubił się leczyć, a o moje zdrowie dbał. Kiedy wróciłam była wiosna i z wielką radością zajęłam się ogródkiem.

Któregoś dnia, będąc w mieście, chciałam odebrać córeczkę ze szkoły, która mieściła się w dawnej Szkole Morskiej przy ulicy 30 stycznia. Przed szkołą był duży plac z ławkami, gdzie przysiadłam na jednej i czekając przyglądałam się przechodniom. Naraż wśród nich pojawił się wariat, który przystanął i grożąc nam, siedzącym na ławkach, kijem, straszliwie wyzywał. Ludzie nie ruszali się z miejsca, jakby tak musiało być, ja jednak chciałam odejść w stronę szkoły i tam się gdzieś schować. Zdawało mi się, że krzyk jego skierowany był do mnie. Opodał stało dwóch panów. Jeden z nich z uśmiechem powiedział:

— Ten człowiek jeszcze nikomu nic nie zrobił. Zamkną go dopiero, kiedy stanie się bardzo groźny, i to wówczas jeśli w Kocborowie będzie miejsce.

Wróciłam z dziećmi do domu przybita. Staralam się nie myśleć o tym biednym człowieku. Najgorszy jest smutek ten bez powodu, bo go trudno wykorzystać — powiedział do mnie mąż, kiedy znowu zwierzałam mu się z złego samopoczucia. Były też inne kłopoty. Wojna wisiała na włosku. O niczym innym już się nie mówiło. Ażeby otrząsnąć się z tych myśli, sprzątałam i szyłam, a najczęściej pracowałam w ogródku. Siałam i pieliliłam grządki.

— Gdzie byłeś tak długo? — zapytałam męża, który wrócił późno do domu, bo lubił kręcić się po mieście

— Rozmawiałem z Tchorzewskim. Ma kłopot.

Sprzedał swojego dużego psa, ale kupiec go zwrócił. Nie chce go nawet za darmo. A potem rozmawiałem z Czergejką. Szedł do nas. Prosił, abym napisał mu podanie do Dyrekcji PKP o zatrzymanie go w służbie choćby jeszcze przez rok. Wstąpiliśmy na pocztę. Tam napisałem i on zaraz wniosek wysłał. Widzisz, chłop nie jest zły, zapłacił składki...

— Ach, po co znowu zadajesz się z ludźmi, którzy nas tak niegrzecznie odprawili w święty wieczór. Czy znowu chcesz się odgrażać? Czekaj babo? — zapytałam zaczepnie.

Mąż zapatrzony w okno dopiero po chwili zarecytował słowa poety: — „Bo chcąc dobrym być, trzeba móc przed kimś ukłknąć... I kochać by żyć”.

Parę dni później, akurat kiedy córeczce pomagałam w zadaniach szkolnych, przybył do nas Czergejko. Wniosek jego odrzucono z powodu wielkiej liczby bezrobotnych młodych kolejarzy. Przyszedł się pożegnać. Musi opuścić mieszkanie. Wyprowadzają się aż do Białegostoku i żona jego chora jest ze zmartwienia.

— Czas odpocząć, panie Czergejko. Tym bardziej, że tu, na Pomorzu grozi nam wojna — mówił mąż.

— Ach, wojnę przeżyłem już jedną, przeżyję i drugą — obruszył się gość. — Ale jak sobie uświadomię, że po czterdziestu latach pracy do parowozu już więcej nie zajrzę... a mam iść do krewnych żony pod miotłę... Co ja tam będę robił? W łeb bym sobie palnął gdybym miał broń! — wykrzyknął poirytowany. Zaraz jednak tylko machnął ręką i oczy, które mu się zaszkliły łzami, ukradkiem otarł dłonią.

— Inni mężczyźni idą już na emeryturę mając czterdzieści pięć lat, a pan ma już sześćdziesiąt. — powiedziała, chcąc go pocieszyć.

Czergejko westchnął głośno i zapatrzył się w okno. Zaraz drgnął, bo ktoś zadzwonił. Mąż otworzył drzwi. Był to jakiś handlarz, który sprzedawał maski przeciwgazowe na wypadek wojny. Cztery maski mąż już kupił w ubiegłym tygodniu, więc drzwi zamknął. Czergejko zaczął się żegnać.

— Byliście dobrymi ludźmi i do śmierci was nie zapomnę — rzekł.

(Cdn.)

Piraci

Antoni Pieper

Był pogodny, cichy wieczór 8 marca 1944 roku. Przystań rybacka w Jastarni niemal opustoszała i jedynie kilka kutrów tkwiło nieruchomo przy drewnianym pomoście. Na niebie pojawił się właśnie błądy księżyc, kiedy o deski pomostu zadudniły kroki czterech mężczyzn. Szli twardo, tupiąc długimi skorzianami; w drewnianym wózku ciągnęli sieci i sprzęt rybacki. Po chwili przystanęli i w milczeniu zaczęli przerzucać na jeden z kutrów sterty pławnic, kob, glasboi. Spieszyli się. Chcąc nałapać łososia, powinni o tej porze, podobnie jak załogi innych kutrów, zarzucać już sieci pośrodku zatoki. Ale szypra aż do zachodu słońca paskudnie rwał zab i nie było mowy o wypłynięciu. Dopiero z wieczorem ból ustał.

Najstarszy z uwijającej się na pomoście czwórki rybaków, Wincenty Lenc, miał już blisko sześćdziesiąt lat. Rosły, barczysty, o śniadej twarzy i niebieskich oczach, czynił w ruchach wrażeń człowieka niestarego a rzeźkiego. Kiedy był młodszy o dobry dziesięć lat, spróbował odejść od rybactwa i przyjął w Jastarni-Borze posadę leśniczego. Ale niedługo wytrwał, rychło znów powrócił na morze. Teraz pra-

cowali obok niego dwaj synowie, Emil i Jan. Obaj żonaci, ojcowie liczego potomstwa, zahartowani w walce o byt, a przecież jakby znużeni, wymęczeni życiem.

Najbardziej młodo spośród tej grupki wyglądał szyper Antoni Herman — krępy, o czerwonych policzkach, wygadany i pewny siebie. Przed wojną był kontrolerem rybackim w Gdyni, objęddzał „wik” na urzędowym kutrze z białą-czerwoną flagą i pilnował przestrzegania okresów ochronnych w połowach ryb. Pracy nie miał wtedy zbyt uciążliwej, w każdym razie nie wyłobila zmarszczek na jego czole. Obecnie, jako kierownik kutra, też się nie przemęczał. Za to najczęściej jego głos odbijał się echem na krańcu przystani. Ponaglał maszopów tak, jakby to oni byli winni, że kuter na czas nie opuścił portu. Sarkał i dogadywał, ale jednocześnie dawało się wyczuć, że zagłusza krzykiem jakiś niepokój. Tak naprawdę nie miał dzisiaj chęci wypływać, ale nie chciał się do tego przyznać przed załogą, dla której pozostanie w domu równało się utracie zarobku. Gniótł go lęk, którego nie umiał sobie wytłumaczyć. Czy było to

przecucie mającego nastąpić nieszczęścia? — Ech, bzdura — uspokajał sam siebie — pogoda jest wymarzona, kuter solidny, po remoncie, pora roku odpowiednia, nie wolno marnować takiej okazji. Zresztą, cóż to, czy ja baba jestem, czy szyper kutra?

Dopomógł załozde ułożyć sieci na pokładzie i włączył silnik. Odcumowany kuter, niczym rybak, co fajkę pyka, wypuścił błękitnawą smugę dymu i wolno zaczął wychodzić z portu. Herman przez chwilę jeszcze stał na pokładzie, po czym wszedł do sterbudy, uchwycił za koło sterowe i bystrym, przytłumionym spojrzeniem ogarnął zatokę. Nieco oślepił skaczącą na wodzie odblask księżycą, ale poza tym nie było widać w oddali żadnych świateł. Trwała jeszcze wojna i obowiązywało zaciemnienie. Kiedy kuter minął częściowo przygaszoną „kaszicę”, czyli świetlną i akustyczną boję wskazującą wjazd do portu, Herman polecił jednemu z Lenców zwiększyć obroty silnika. Wjechali teraz w głębszą wodę, w czarny szor, biorąc kurs południowo-zachodni — na Oksywie. Herman słyszał, że ubiegłej nocy złowiono w tamtej części zatoki sporą ilość łosiosia.

Po godzinnej jeździe zwolnili obroty silnika i zaczęli przygotowywać sieci do wyrzucenia w morze. Załozde było trochę dziwno, bo w pobliżu nie dało się zauważyć ani jednego kutra, ani jednej łodzi. Dostreżliby je przecież po przyciemnionych, zawieszonych tuż nad wodą latarniach i po czerwonych światłach sygnalizacyjnych. Nie było jednak czasu na rozmyślanie.

— Tu zarzucamy! — krzyknął szyper. — Wywalać preki i koby!

Dobłą godzinę trwało zastawianie pławnic, barwionych na brązowo w specjalnym preparacie. Ciągnęły się teraz w wodzie rzędem o długości kilkuset metrów. W odstępach co kilka sieci rybacy przywiązali, poza normalnymi pływakami (w kolorach czarnym i czerwonym), latarnie „przeciwsturmowe” oraz kuliste, szklane pływaki — glosboje. Po wyrzuceniu ostatniej sieci i końcowej preki szyper wyłączył silnik. Teraz wszyscy mogli odpocząć. Przez całą noc mieli dyfować swobodnie po gładkiej powierzchni morza.

— Możecie iść spać — powiedział Herman. — Do piątej mamy czas. Co półtorej godziny zmiana warty na pokładzie. Ja rozpoczynam.

Lencowie bez słowa zeszli pod pokład i dołożyli drew do ognia w małym, żelaznym piecyku. Nie rozbiegając się legli na twardych kojach przymocowanych do obu burt. Bracia Emil i Jan zasnęli niemal od razu, ale stary Wincent nie potrafił się zmusić nawet do drzemki. Po jakimś czasie dźwignął się i, czując duszność, wyszedł z kubryku na pokład. Przez chwilę zaciągał się morską powietrzną, po czym podszedł do stojącego na rufie, opartego o winę Hermana.

— Idź, szyprze, do sterbudy, prześpij się trochę — powiedział, wyciągając z kieszeni fajkę i tytoń. — Ja i tak spać nie mogę, będę wartował do rana.

— Zmienisz mnie dopiero za dziesięć minut — odparł Herman, spoglądając na zegarek z fosforyzującym cyferblatem.

— Jak chcesz — burknął Wincent. — W takim razie będziemy tu stali obaj.

Napchał tytoniu do fajki i zapalił. Przez chwilę z lubością pociągał niebieskawy dym, aż nagle zamyslił się i ruszył wolno po pokładzie. Co kilka kroków przystawał, zerkając w stronę Helu, skąd przed wojną co noc błyskała w ciemnościach silna bliza. Teraz latarni nie było — wysadzili ją w 1939 roku polscy obrońcy, bo stanowiła punkt orientacyjny dla artylerii niemieckiej.

— Tak, tak — westchnął Wincent sam do siebie — takie dziś mamy czasy, że wszędzie ciemno i ponuro, w sercach i na świecie. Pożoga tamtej wojny niczego Niemców nie nauczyła, rozpętali nową, jeszcze straszniejszą. Ale wasz koniec już blisko — rzucił głośno i splunął.

Przedświt zastał Wincenta na dziobie, wpatrującego się w błędny księżyc. Przejmujący ranny chłód zbudził także Jana i Emila. Obaj wygromolili się po drabinie na pokład, przetarli rękawami oczy i zapalili po papierosie.

— Wyciągajmy pławnice — rzucił Jan. — Zimno jak diabli, rozgrzejmy się.

— Idź wpięrow zbudzić szypra, niech on sam każe — odpowiedział ziewający Emil.

Po chwili ze sterbudy wyszedł zaspany Herman i polecił wyciągać sieci. Maszopi ochoczo stanęła do pracy, a ich zapal powiększył się, gdy kolejno wyciągane pławnice coraz bardziej radowały ich oczy. W każdej trzepotało po kilka dorodnych łosios. W sumie naliczyli ich sześćdziesiąt — tak udanego połowu nie mieli od kilku lat. W myślach zaczęli już rozważać, co kupią za uzyskane ze sprzedaży ryb pieniądze. Starannie porozkaldali łosiosie na pokładzie, a kilka najbardziej okazałych sztuk schowali na polecenie Hermana do rumu, na samo dno kutra. Nie mieli zamiaru oddawać ich niemieckiemu „fiszmajstrowi”. Przeznaczone zostały na nielegalną sprzedaż Polakom. Za uzyskane w ten sposób pieniądze można było kupić na czarnym rynku wszelkie potrzebne artykuły.

— No, teraz możemy, zapalić dobrego cygareta — powiedział szyper i poczęstował braci Lenców niemieckimi papierosami „Juno”, kupionymi bez kartek. — Pięknie nam dzisiaj poszło, nasi będą zadowoleni. Tylko nie mówcie w osiedlu, ile złowiliśmy sztuk. Jutro znowu tu przypłyniemy.

— Pewno — skinął głową Wincent, nabijając fajkę — nic nie powiemy. Lepiej dla nas.

Światało na dobre, kiedy zawrócili w stronę Jastarni. Niebo na wschodzie płonęło czerwienią, ale słońca nie było jeszcze widać, bo zasłaniał je las na półwyspie. Kuter pykał miarowo, prując gładź. W oddali rysowała się coraz wyraźniej czworokątna wieża jastarniańskiego kościoła. Rybacy stali na pokładzie, obserwując przybliżające się pasemko ładu. Jedynie Wincent rozglądał się dookoła i dlatego on pierwszy spostrzegł wynurzającą się z morza niemiecką łódź podwodną. Znajdowała się dosyć daleko, ale Wincetowi wydało się, że widzi kapitana lustrującego horyzont przez lornetkę. Szczególnie długo wpatrywał się Niemiec w ich kuter. W końcu stalowe cygareto zniknęło pod wodą, ale w chwilę później ukazało się kilka innych. One jednak również krótko przebywały na powierzchni Małego Morza. Wincent początkowo próbował liczyć U-booty, ale w końcu machnął ręką, bo było ich wiele, a przy tym wciąż się zanurzały i wynurzały.

— Manewry pewnie dziś urządzają — rzekł półgłosem do Jana. — To chyba przed końcem swojego istnienia.

— Niechby ich już raz diabli porwali — odparł syn. — Dosyć ich przekłętą panowania.

Widok flotyli U-bootów denerwował ich, choć się nie bali. Wielokrotnie już spotykali łodzie podwodne na łowiskach, zawsze zresztą życząc im wszystkiego najgorszego. Jak zwykle w takich przypadkach, Herman stał i teraz nieruchomo za sterem, zaciskając szczęki. Znowu odczuwał się bolący żąb, ale uwagę Hermana przykuły nagle bryzgi piany i wyłaniający się od strony Pucka metalowy kadłub. Był bardzo blisko kutra, nie więcej niż trzy kable. Na pokład U-boota wyszedł sprężysty oficer przyszyty do jeża i przez chwilę przyglądał się kutrowi z pomocą lornetki. Wreszcie zniknął we wnętrzu okrętu i zatrzaskał za sobą kłape.

— Emil, dodaj gazu! — krzyknął Wincent do syna. — Nie podoba mi się to wszystko.

Jeszcze nie przebrzmiały jego słowa, gdy od strony U-boota rozległ się huk wystrzału, po którym złowrogi okręt zaczął się zanurzać.

— Jezus Maria, torpeda! — wrzasnął przerażony Jan. W tej samej chwili runął na pokład, słysząc trzask rozrywanej burty. Na moment stracił świadomość, nie zobaczył więc, jak spód kutra razem z silnikiem i zmasakrowanym Emilem poszedł od razu na dno. Reszta kadłuba przechyliła się na bok i zaczęła tonąć. Jan ocknął się dzięki zimnym bryzgom. Podczołgał się do ojca i szypra, nie wiedząc zupełnie, co robić. Wszyscy trzej zresztą byli jakby odrętwiali, bez czucia i myśli. Przerażeni patrzyli w zimną otchłań, która z każdą chwilą przybliżała się do nich o parę centymetrów.

Pierwszy ochłonął stary Wincent, przypominając, że mają na sterbudzie koła ratunkowe. Założyli je na siebie. Woda sięgała łydek, ale nie odczuwali jeszcze jej chłodu, bo chroniły ich długie skorznie.

— Mówmy pacierz — zaproponował Wincent. — Może Matka Boska Swarzewska ześle nam ratunek.

— Tak, tak — podchwycili pozostali dwaj.

— Matko Boska Swarzewska, módl się za nami! — zaczął Wincent. — Matko Najświętsza, Opiekunko Rybaków, zmiłuj się nad nami!...

W parę minut później wrak rozbitego kutra usunął im się spod nóg. Pozostali na powierzchni Małego Morza, podtrzymywani przez koła ratunkowe, nadal zanosząc modły do Matki Boskiej Swarzewskiej o wybawienie z niebezpieczeństwa. Nie zwracali uwagi na pływające dookoła głosboje i różnokolorowe koby, niewidzącym wzrokiem patrzyli na unoszące się bruchami do góry, złowione godzinę wcześniej łososie.

Wincentowi pierwszemu zabrakło sił. Siny z zimna, nie mógł wydobyć z siebie głosu, ale mimo to modlił się wciąż jeszcze, poruszając zbiegającymi wargami. Wreszcie jednak zastygł i przestał się ruszać.

— Matko Przenajświętsza, tak mój tonie! — usłyszał nagle szyper krzyk Jana, który zaczął płynąć w kierunku ojca. Nie zdążył jednak, ciało wysunęło się z koła i bezgłośnie zniknęło pod powierzchnią. Jan jak szalony zaczął rozgarniać wodę wokół siebie, ale nie natrafił już na zwłoki ojca. Po chwili zdawało mu się, że coś pojawiło się na powierzchni kilkanaście metrów dalej. Podpłynął tam, ale to, co wziął za głowę ojca, nie pokazało się więcej.

— Za chwilę tak będzie ze mną — pomyślał.

Pozostało ich jeszcze dwóch. Hermana ogarniała na przemian rozpacz i złość. Nie chciał umierać, w dodatku w tak niegodny rybaka sposób. Całe dotychczasowe życie stanęło mu przed oczami. Przestał się modlić i kostniejącymi z zimna dłońmi począł wygrażać wrogowi, być może przypatrującemu się przez peryskop tragedii kutra i jego załogi.

— Przekleści mordercy! Żeby was wszystkich morze pochłonięło! Na zawsze!

Raptem dał się słyszeć warkot nadlatującego samolotu. Jan i szyper natężyli słuch. Od strony Gdyńi nadlatywał niemiecki myśliwiec.

— Janie, jesteśmy uratowani! — wykrzyknął Herman.

— Jeszcze się nie ciesz — pohamował go Lenc. —

Może wcale nas nie zauważy albo obojętnie przeleci nad nami.

Samolot zbliżył się do nich i zatoczył kilka kół na niskim pułapie. Pilot z pewnością zauważył ich, ale nie miał lub nie chciał zrzucić żadnego sprzętu ratunkowego. Kiedy w pewnym momencie myśliwiec zniżył lot nad samą niemal wodę, Janowi zdało się, że dojrzał w kabinie twarz wykrzywioną złością i szyderstwem. Nie była to twarz przyjaciela. Samolot raz jeszcze nawrócił i opuścił się nad wodę. Tym razem rozbitekowi usłyszeli poza warkotem jakby trzask szybko łamanych gałęzi, połączony z urywającym gwizdem. Domyślił się od razu, że to karabin maszynowy. Bezsilni, na wpół sparaliżowani z zimna, próbowali jednak umknąć kulom, zanurzając się w wodę.

— Jezu! — krzyknął nagle Herman. Zrobiło mu się niezwykle gorąco w piersiach i jakoś dziwnie miękko koło serca. Po chwili uczuł straszny szum w uszach, jak gdyby znalazł się w oku cyklonu. Wydało mu się jednocześnie, że się rozplywa, że zapada gdzieś głęboko.

Jan, wynurzywszy się z wody, nie ujrzał już na jej powierzchni szypra. Samolot zawracał ponownie, terkocząc śmiertelnym gradem. — To koniec — pomyślał Jan, ale mimo to zastąpił się rękami i spróbował raz jeszcze umknąć w lodowatą wodę. Myśliwiec okrążył go niczym sęp i wyczekawszy chwili, gdy głowa znów pojawiła się na powierzchni, puścił długą serię. Jan nie miał już siły nurkować. Ostatkiem woli podniósł zaciśnięte pięści i począł nimi wygrażać, krzycząc niemal do rozerwania płuc:

— Szwabę przekleś! Mordercy! Złópcie krew naszą i zaduście się nią!...

Wzniesione ręce opadły naraz bezwładnie, a z piersi i głowy rybaka puściła się krew. Jeszcze przez moment Janowi wydawało się, że został przecięty na pół i że każda z owych dwóch części oddala się w inną stronę. Po chwili nie czuł już nic.

W pięć minut później na powierzchnię wypłynął U-boot. Ze stalowego kadłuba spuszczone dwie szalupy, w które niemieccy marynarze zaczęli zbierać pływające dookoła strzepy kutra. Trwało to blisko kwadrans, a całej akcji przyglądał się przystrzyżony na jeża, stojący w lekkim rozkroku oficer.

— Żadnych świadków, żadnych dowodów — mruknął w pewnej chwili do siebie, dłubiąc w zębie białą jak śmierć wykalczką.

Zapomniany działacz z Lęborskiego

Bernard Hazuka, Jerzy Szews

Pomorze Zachodnie należy do najsłabiej reprezentowanych regionów w naszej biografistyce. Z terenu Śląska, Warmii i Mazur opisano już setki wybitnych postaci zasłużonych dla naszej kultury i idei utrzymania tych ziem przy Polsce. Powstały nawet całe słowniki życiorysów wybitnych działaczy, wielu z nich znalazło swoje miejsce w „Polskim słowniku biograficznym”. Nie można tego powiedzieć w odniesieniu do Pomorza Szczecińskiego, czy Pomorza Słupskiego. Przyczyna, że regiony te nie wydały wielkiej liczby wybitnych Polaków, jest niewątpliwie wczesne oder-

wanie tych ziem od Macierzy; zerwanie już w XVII wieku kontaktów z kulturą polską i trwający kilkadziesiąt lat proces germanizacji.

Dlatego też z przeszłości Pomorza Zachodniego należy wyłonić postacie zapomnianych działaczy polskich; może nie będą to postacie tak wielkie, tak monumentalne, jakie spotykamy w innych regionach kraju, będą to ludzie skromni jednak nieugięci bojownicy o powrót tych ziem do Polski.

Należy do nich Stefan Hazuka, jeden z tych, którzy walczyli o przyłączenie ziemi lęborskiej do odradza-

jacego się w latach 1918—1919 państwa polskiego.

Stefan Hazuka urodził się 13.01.1882 roku w miejscowości Borek w dawnym powiecie kartuskim, jako syn emigranta słowackiego Stefana i Katarzyny z domu Abramowskiej.

Ojciec Stefana — Stephanus Hazuka (senior) urodził się 20.08.1854 roku w rodzinie rolnika Józefa Hazuki i Marii z domu Matus w miejscowości Vysoká nad Kysucou w okręgu Czadeckim w Słowacji, dokąd jakiś antenat przywędrował przypuszczalnie w XVIII wieku z Siedmiogrodu Węgierskiego.

Stephanus Hazuka (senior) mając 17 lat, a więc około 1871 roku, powodowany chęcią przygód a przede wszystkim w celu zdobycia zwodu, pracy i majątku wywędrował z biednego podówczas okręgu Czadeckiego w Słowacji i przybył do Prus Zachodnich, zamierzając najprawdopodobniej dotrzeć do Gdańska aby wyemigrować do Ameryki. Zatrzymał się jednak w Lęborku.

Nazwisko rodowe Hazuka pod zaborami pruskim i austriackim ewoluowało w związku z jego fonetyką słowiańską lub węgierską a stosowaną tam pisownią niemiecką. W różnych dokumentach osobistych, metrykach niemiecko-języcznych spotyka się transkrypcję fonetyczną nazwiska: Hasuka, Hasucka, Hasucha. Do słowiańskiej lub węgierskiej pisowni rodowej nazwiska — Hazuka — powrócił, jak to wynika z dokumentów w 1930 r.

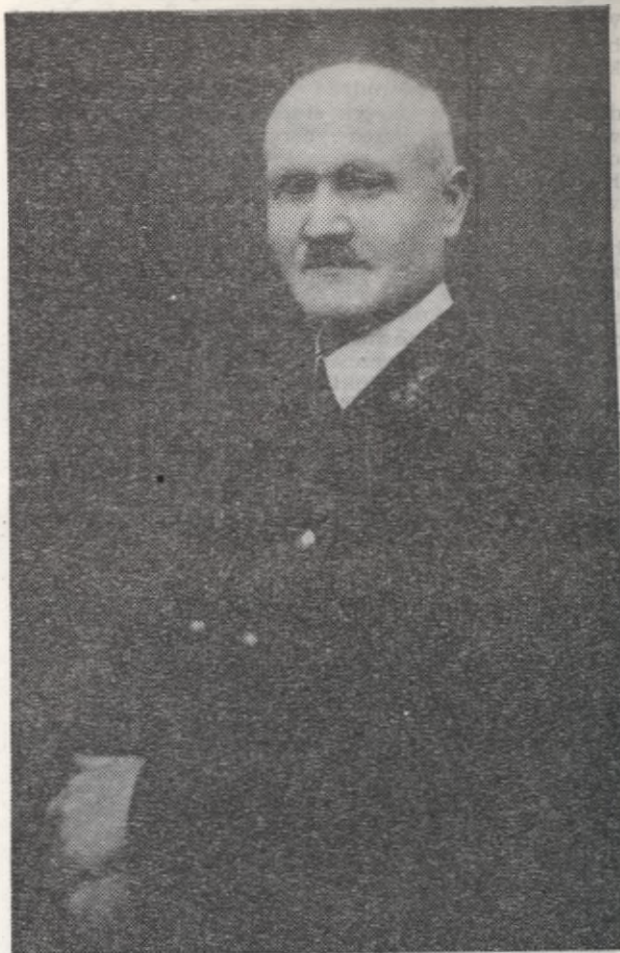
W kościele parafialnym w Sulęczynie w powiecie kartuskim w roku 1877 został zawarty związek małżeński między Stefanem Hazuką (seniorem) a Katarzyną Marianną Abramowską, szlachcianką, córką Marcina, właściciela ziemskiego i Marianny z domu Jakusz-Gostomska. Ze związku tego urodziło się 11-ro dzieci.

Jednym z nich był Stefan Hazuka — junior, urodzony w 1882 roku. Atmosfera tego domu była szczególnego rodzaju. Ojciec, z upływem lat naturalizowany obywał pruski narodowości słowackiej, uczył się języka polskiego, kaszubskiego i urzędowego języka niemieckiego, którego nigdy dokładnie nie opanował. Uczył się także zawodu blacharza, który później uprawiał. Ogarnięty ideą panslawizmu dzieciom swoim często tłumaczył, iż nie są Niemcami lecz poprzez matkę — Polakami, a w ogóle Słowianami. Polskę pokochał całym sercem jako drugą — przybraną ojczyznę.

Stefan (senior) oraz wszystkie jego dzieci obdarzone były pięknymi głosami. Dlatego wieczorami po spełnionych obowiązkach dom rozbrzmiewał pieśniami narodowymi polskimi i ludowymi słowackimi oraz kaszubskimi. Atmosfera domu, w którym żywe były jeszcze wspomnienia z powstania styczniowego 1863 r. i Wiosny Ludów (niektórzy członkowie rodziny matki uczestniczyli w ruchach rewolucyjnych 1948 r.), wpłynęła niewątpliwie na ukształtowanie postawy młodego Stefana i jego późniejszą działalność społeczno-polityczną. Z czasem miało się okazać jak żarliwie tradycjami tymi przejął się Stefan junior.

Liczne jego rodzeństwo opuszczało po kolei dom rodzinny w Lęborku znajdując pracę stosownie do zdobytego wykształcenia lub zawodu. Przy ojcu w Lęborku do końca wytrwał tylko Stefan. W roku 1888 rozpoczął naukę w gminnej szkole niemieckiej w Lęborku, którą ukończył w roku 1896. Następnie przy ojcu wyuczył się rzemiosła blacharskiego, które przez dłuższy okres z ojcem wykonywał. Z uwagi na trudną sytuację materialną rodziny, choć bardzo zdolny, nie podejmuje dalszej nauki po szkole podstawowej — polegając na intensywnym samokształceniu, w czym istotną pomoc okazuje mu jego matka Katarzyna, księża z parafii rzym-kat. pod wezwaniem św. Jakuba w Lęborku (m.in. ks. prob. Albert Hopf, ks. Michał Belakowicz, ks. Wojciech Szpitter), Józef Czyżewski — Gdańszczanin, częsty gość w Lęborku, z którym się wkrótce zaprzyjaźnił oraz Wiktor Kulerski — redaktor z Grudziądz. Tym ludziom zawdzięcza St. Hazuka opanowanie języka polskiego i znajomość historii polskiej.

Tymczasem wraz ze starszym rodzeństwem bierze aktywny udział w utrzymaniu licznej rodziny, pomagając ojcu w rzemiośle blacharskim, z czym wiązały się liczne wyjazdy w teren. Zaczyna więc bliżej pozna-



Stefan Hazuka

Fot. B. Hazuka

wać powiaty kaszubskie, miejscową ludność, jej gwiarę i obyczaje.

W tym miejscu przypomnieć wypada, że wschodnie powiaty Pomorza Zachodniego — Lębork i Bytów odpadły od Polski już w 1657 roku. Na mocy układu welawsko-bydgoskiego stały się lennem elektora brandenburskiego i dopiero w 1945 roku wróciły do Macierzy. Proces germanizacji rozpoczął się więc o wiele wcześniej i postąpił o wiele dalej niż na Pomorzu Gdańskim. Dlatego ludność pochodzenia polskiego w powiecie lęborskim stanowiła na przełomie XIX i XX wieku zdecydowaną mniejszość. Według spisu ludności z 1910 roku na ogólną liczbę blisko 53 000 mieszkańców powiatu lęborskiego, język ojczysty polski był podany przez 2307 ludzi, a ponad 521 osób podało, że posługuje się językiem polskim i niemieckim. Przy wynikach wyborów do Reichstagu w 1907 roku na polskiego kandydata padło w Lęborku 412 głosów, a w 1912 roku — 451 (Józef Czyżewski) na 28 335 wszystkich oddanych głosów. W 1912 roku polską posiadłość ziemską w powiecie wynosiła 3500 ha na 120 000 ha użytków rolnych.

Mimo iż ludność polska stanowiła znikomą mniejszość, jednak do końca XIX wieku wykazywała wzmożoną aktywność. Była ona naturalną reakcją obronną wobec nasilającej się akcji germanizacyjnej i osadniczej prowadzonej przez rząd w myśl sugestii „Ostmarkenvereinu” zwanego popularnie Hakatą.

Powiat lęborski był w zasięgu zainteresowań i działalności założyciela i redaktora „Gazety Grudziądzkiej” Wiktora Kulerskiego a także wybitnego działacza Polonii gdańskiej Józefa Czyżewskiego. Wiktor Kulerski z Grudziądz jako reprezentant ludności polskiej po raz pierwszy znalazł się na liście kandydatów na posła do Reichstagu w 1898 roku. Przybył wówczas do Lęborka. Stefan Hazuka słuchał jego wystąpienia na wiecu przedwyborczym. Ojciec Stefana wszedł do założonego wtedy Polskiego Zgromadzenia

Wyborczego. Kulerski był jeszcze kilka razy w Lęborku, a „Gazeta Grudziądzka” miała tutaj swojego korespondenta.

Józef Czyzewski kandydował w 1912 roku na posła do Reichstagu w okręgu słupsko-lęborskim. Przybył wówczas na wiec przedwyborczy do Lęborka, który odbył się w domu działacza Polonii lęborskiej Józefa Kustusza przy ówczesnej Feldstrasse 2, obecnie Grunwaldzkiej 2.

Organizacją, która skupiała całą Polonię lęborską było Towarzystwo Ludowe Św. Brunona. Oficjalnie zostało ono założone przez Wiktora Kulerskiego w dniu 19 sierpnia 1901 roku, który na zebraniu organizacyjnym wygłosił swój program polityczny. Prawdopodobnie jako stowarzyszenie nieformalne, bezstatutowe istniało już wcześniej, bowiem z dokumentów osobistych Stefana Hazuki wynika, że już w 1899 roku był jego członkiem. Towarzystwo było związane z miejscową parafią rzymsko-katolicką, do której należeli wszyscy Polacy z Lęborka i okolicy. Posiadało własną siedzibę mieszczącą się w domu położonym przy ówczesnej Feldstrasse 9 (obecnie ul. Grunwaldzka 9). Liczyło w początkach 400 członków i stanowiło



Dawna siedziba Tow. Ludowego Św. Brunona w Lęborku przy ul. Grunwaldzkiej 9.

Fot. J. Szewsz

w tym czasie prawdziwą oazę polskości. Na jego terenie mają miejsce kontakty rodaków Lęborka i Bytowa z J. Czyzewskim, W. Kulerskim, Stefanem Hazuką, Bernardem Werrą, Józefem Paszkim, Michałem Koszałką, Józefem Kustuszem i innymi znaczącymi obywatelami — działaczami oraz duchowieństwem polskiego pochodzenia.

Patronat nad regionem Lęborka i nad Towarzystwem Ludowym Św. Brunona sprawował Józef Czyzewski. Pełnił tę funkcję wykorzystując swe bogate doświadczenie w organizacjach polonijnych w Gdańsku. Ze Stefanem Hazuką przyjaźnił się od wczesnej młodości. On to spowodował, że St. Hazuka już od 17 roku życia działał aktywnie w Towarzystwie Ludowym Św. Brunona, pełniąc w nim funkcję sekretarza i bibliotekarza; zajmował się m.in. kolportażem prasy polskiej ukazującej się na Pomorzu jak „Gazeta Gdańska”, „Gazeta Grudziądzka” i „Pielgrzym”. Nieliczne książki polskie i śpiewniki o charakterze religijnym były przekazywane z rąk do rąk jak relikwie. Towarzystwo Ludowe prowadziło pracę oświatową przez wygłaszanie pogadek oraz propagowanie czytelnictwa książek polskich. Poglębiało przez to uświadamianie narodowe swych członków i przyczyniało się do ożywienia życia polskiego na tym terenie. Nie raz na jego zebraniach padały słowa budzące nadzieję na zmartwychwstanie Polski. Na jednym z zebrani mówiono, że „biały orzeł już nas zbudził, że kosa słowiańska pozbędzie się rdzy”. Inny mówca — według źródła niemieckiego — na zebraniu Polaków w kościele oświadczył: „Koledzy, tak jak Ren jest rzeką niemiecką, tak Wisła od Warszawy po Gdańsk polską rzeką będzie i pod polskie panowanie przejdzie, a my od Niemca uwolnieni będziemy, nie uciskani, jak dziś. Niech żyje Polak!”. W kościele katolickim pod we-

zwaniem św. Jakuba wygłaszano niekiedy kazania polskie o wydźwięku patriotycznym i śpiewano pieśni polskie.

W takiej oto scenerii w roku 1899 zaczął swą działalność społeczno-polityczną Stefan Hazuka — rzemieślnik, a zaczyna ją, równoległe z pełnioną funkcją sekretarza Towarzystwa Ludowego Św. Brunona, od budzenia i utrwalania świadomości narodowej wśród ludności kaszubskiej i słowińskiej. Okazji miał po temu wiele. Razem z ojcem — mistrzem blacharskim, wykonując swe rzemiosło w różnych miejscowościach Pomorza przemierzając powiaty: lęborski, bytowski, kartuski, kościerski, pucki; od Słupska do Gdańska, od Leby i Wierchucina do Grudziądza, Chojnic, Kościerzyny i Bytowa, przypominając Kaszubom o ich polskim pochodzeniu, przynależności do wielkiego acz ujarzmionego narodu polskiego.

Dwudziestoletnia w sumie praca społeczno-polityczna Stefana Hazuki (od 1899 do 1919) zostaje przerwana na krótko w okresie od 13.10.1904 roku do 21.09.1906 roku, gdy pełni służbę wojskową. Po powrocie z wojska w wieku 26 lat zawiera związek małżeński z Małgorzatą z domu Loeser. Ze związku tego rodzi się 6-cioro dzieci. Aby uczcić Towarzystwo Ludowe Św. Brunona, w którym po zwolnieniu z wojska podejmuje niezwłocznie dalszą działalność — swemu pierworodnemu synowi nadaje imię Brunon. Bardzo szczęśliwe małżeństwo, dość liczne potomstwo powodują wzrost zainteresowania St. Hazuki sferą materialną. Zmienia zawód; jest praktykantem kupieckim, a od roku 1910 akwizytorem.

W zawodzie komiwojażera jeszcze łatwiej nawiązuje kontakty z mieszkańcami powiatów kaszubskich. Rzuca się więc w wir walki narodowej i politycznej pozostając w bliskim kontakcie z J. Czyzewskim i W. Kulerskim. Jest świadkiem strajku szkolnego w obronie polskiej nauki religii w latach 1906—1907. Bywając często w sprawach handlowych w powiecie wejherowskim, kartuskim i kościerskim agituje na rzecz strajku. St. Hazuka dociera jako działacz niepodległościowy do skupisk szczególnie zagrożonych przez osadnictwo pruskie. Jako gość wielu rodzin kaszubskich — w trakcie swej pracy kupieckiej gawędzi z rodakami przy różku tabaki, agituje na rzecz sprawy polskiej. Nadal kolportuje „Pielgrzyma”, „Gazetę Grudziądzką” lub „Gazetę Gdańską”, a nieco później — „Gryfa”.

Stan ten trwa do I wojny światowej, w której Stefan Hazuka nie bierze udziału (zwolniony ze względu na stan zdrowia).

Końcowy etap I wojny światowej i następujący po nim okres destabilizacji państwa niemieckiego przynoszą wzmożenie dążeń narodowo-wyzwoleńczych wśród Kaszubów. Ponoszone przez państwa centralne klęski na frontach napawają nadzieją, że po pokonaniu Niemiec powstanie odrodzona Polska, a jej północno-zachodnia granica obejmie również powiaty lęborski i bytowski. Lata 1917, 1918, 1919, to okres wzmożonej aktywności Polonii lęborskiej.

W tym czasie Stefan Hazuka jest wśród rodaków w Lęborku czołową postacią; ceniony, cieszący się zaufaniem i uznaniem jest bezspornie przywódcą Polonii lęborskiej. W jego mieszkaniu położonym w domu przy ówczesnej Scheunenstrasse 48 (obecnie ul. Targowa 48), gdzie zamieszkiwał ze swoją rodziną w latach 1907—1919 r., gościli często aktywni działacze polscy, m.in. Bernard Werra — rolnik i domokrażca z Płotowa w powiecie bytowskim, Józef Paszke — kupiec, później handlarz końmi i bydłem, kupiec lęborski Gackowski, Józef Czyzewski z Gdańska, Wiktor Kulerski z Grudziądza; pod koniec 1918 roku także powiatowy lekarz weterynarii — Szczepan Gracz. Celem spotkań było przygotowanie się do przyłączenia ziemi lęborskiej i bytowskiej do odradzającego się po latach niewoli państwa polskiego — z szerokim dostępem do morza, z Gdańskiem włącznie — na drodze powstania zbrojnego, które jak liczono niebawem ogarnie całe Pomorze Nadwiślańskie. W tym miejscu należy przypomnieć, że w przełomowych latach 1918/1919 w sprawie powrotu Pomorza do Macierzy w opinii polskiej ścierały się dwa skrajne stanowiska. Stawka w Wersal — koncepcja ugodowa rezygnująca z idei przywrócenia dzielnic północnych Polsce przez zastosowanie siły — popierana przez wię-

kszość ówczesnych decydentów polskich w kraju i za granicą i — koncepcja radykalna — walki zbrojnej. W ciągu 1918 i 1919 roku oba stanowiska polaryzowały i nie wykluczały się nawzajem. W pewnych okresach (w listopadzie i grudniu 1918 r. oraz w styczniu i lutym 1919 r.) przeważała zdecydowanie idea powstania zbrojnego na Pomorzu, którego ludność polska przygotowywała się do walki z zaborcą w związku z przewidywanym przybyciem do Gdańska drogą morską armii gen. Hallera i możliwością uzyskania pomocy z tej strony i towarzyszących tej armii oddziałów francuskich.

Wybuch powstania Wielkopolskiego w ostatnich dniach grudnia 1918 r. i sukcesy powstańców na północnym kierunku natarcia spowodowały gwałtowny wzrost dążeń do zbrojnej konfrontacji ze zniechędzonymi Prusakami również na Kaszubach. Nastroje wśród ludności polskiej były zdeterminowane; w różnych miejscowościach dochodziło do incydentów zbrojnych.

Działacze polscy w Lęborku zamierzali wywołać w chwili wkroczenia na Pomorze Nadwiślańskiej armii gen. Hallera zamieszki w znaczniejszych skupiskach ludności polskiej, w obu wschodnich powiatach Pomorza Zachodniego, i wykorzystać oddziały Hallera do interwencji zbrojnej w obronie ciemiężonych rodaków z zachodnich krańców Kaszub i stworzyć tzw. „fakt dokonany”, czyli przyłączenie tego obszaru do Polski.

Niemcy, będąc w ogromnej liczebnej przewadze w Lęborku stawali się coraz bardziej nerwowi i napaśliwi w stosunku do mniejszości polskiej. W ciągu roku 1918 wielokrotnie wybijano szyby w oknach mieszkanka Stefana Hazuki; na ulicach nie można było przejść spokojnie obok wyrostków niemieckich, którzy szczególnie atakowali synów St. Hazuki, nie szczędząc wyzwisk, z których „verfluchte Polacken” było najlżejszą obelgą.

Po wybuchu rewolucji w Berlinie i zakończeniu wojny powstała w Poznaniu Naczelna Rada Ludowa, a następnie Podkomisariat Naczelnej Rady Ludowej na Prusy Królewskie, Warmię i Mazury z siedzibą w Gdańsku. Na czele Podkomisariatu stanął komisarz NRL dr Stefan Łaszewski, adwokat z Grudziądza (pierwszy Wojewoda Pomorski), a jego zastępcą został znany działacz narodowy z Gdańska dr Józef Wybiński, który urzędowo używał tytułu Podkomisarza. Zastępcą podkomisarza odpowiedzialnym jednocześnie za sprawy finansowe oraz tzw. Decernat wojskowy, mianowano innego popularnego w Gdańsku działacza — dr. Franciszka Kręckiego. Wówczas powstały w poszczególnych powiatach Pomorza lokalne rady ludowe. Z inicjatywy przybyłego do Lęborka Józefa Czyżewskiego tutaj także powstaje Polska Powiatowa Rada Ludowa. Jej prezesem (przewodniczącym) został wybrany Stefan Hazuka, a kasjerem kupiec Józef Paszke. Utworzenie Polskiej Rady Ludowej nie zostało zakomunikowane władzom i pracowała ona w konspiracji. Uważano bowiem, że ujawnienie mogłoby uniemożliwić dalszą jej działalność, ponieważ władze pruskie bardziej wrogo traktowały mniejszość polską na terenach Pomorza Zachodniego niż w tzw. prowincji Prusy Zachodnie, w której element polski przeważał w wielu powiatach.

Przewodniczący i członkowie Rady prowadzili wśród ludności polskiej w mieście i powiecie nasiloną akcję uświadamiającą i agitacyjną na rzecz przyłączenia powiatu lęborskiego do Polski. W tym kierunku działali: Stefan Hazuka, Szczepan Gracz, Bernard Werra, Józef Kustusz, Józef Paszke, Gackowski, Kawski, Poblóccy i szereg innych osób.

W dniu 1.01.1919 roku w sali restauratora Gatha zorganizowano wiec Polaków z Lęborka i okolicy. Przemawiali na nim J. Czyżewski, Sz. Gracz i St. Hazuka. Wiec został uprzednio zgłoszony, wiec był legalny. Wówczas też zawiązano formalnie Polską Powiatową Radę Ludową; jej przewodniczącym pozostał nadal St. Hazuka, a kasjerem J. Paszke. Na wiecu tym było obecnych kilku żandarmów; był także obecny znany antagonistą Polaków — komisarz policji Maurach. W pewnym momencie oznajmił on rozwiązanie wiecu i żandarmi rozpedzili zebranych. Niewątpliwie przyczyną tej decyzji była treść przemówień, w których domagano się włączenia ziemi lęborskiej i bytowskiej do odradzającego się państwa polskiego.

W pierwszej połowie stycznia 1919 roku nastąpiły aresztowania Szczepana Gracza, Stefana Hazuki, Bernarda Werry, Józefa Paszke, Gackowskiego, Jana Styp-Rekowskiego i kilku innych połączone z rewizjami domowymi w poszukiwaniu ukrytej broni. Stefana Hazukę i Szczepana Gracza aresztowano już w pierwszych dniach stycznia, jeszcze przed ukazaniem się 11.01.1919 r. Zarządzenia Nadprezydenta Prus Zachodnich i władz Wojskowych w Gdańsku, zakazującego wszelkiej działalności politycznej i narodowościowej Polaków. Nastąpiły długie przesłuchania i liczne szkapy. St. Hazukę i Sz. Gracza oskarżono o zdradę stanu, że usiłowali kraje (powiaty) Lębork i Bytów przy użyciu przemocy oderwać od Prus. Część pozostałych osób już po kilku dniach zwolniono z aresztu za wysoką kaucją. St. Hazukę i Sz. Gracza więziono najpierw przez półtora miesiąca w więzieniu w Lęborku. Tutaj odwiedził ich adwokat gdański Bonifacy Łangowski w celu podjęcia obrony sądowej. Przybył on do Lęborka na prośbę Józefa Czyżewskiego, który dowiedział się o aresztowaniach i chciał przyjść swym współpracownikom z pomocą prawną. Starania Łangowskiego okazały się nieskuteczne. Aresztantów przewieziono do więzienia w Słupsku, gdzie znajdował się Sąd Krajowy. W słupskim więzieniu spotkali się oni z przewodniczącym Powiatowej Rady Ludowej w Bytowie Bernardem Werrą. Tutaj odbywały się nadal przesłuchania. W końcu sprawę skierowano do Lipska, do Najwyższego Sądu Rzeszy. Do rozprawy jednak nie doszło, bowiem na skutek interwencji dyplomatycznej rządu polskiego, podjętej w następstwie starań Podkomisariatu Naczelnej Rady Ludowej w Gdańsku, w kwietniu 1919 roku więźniów zwolniono.

Tymczasem w okresie od stycznia do marca w Lęborku sytuacja stała się napięta. Niemcy lęborscy wykazywali szczególne zdenerwowanie. Toczyły się oficjalne rozmowy i spekulacje na temat ich wschodnich granic; przynależności Pomorza Toruńskiego i Gdańskiego do Polski. Nie byli pewni, czy sprawa ta nie dotyczy także powiatów lęborskiego i bytowskiego; przygotowywali się do zbrojnego odparcia ewentualnych oddziałów polskich lub opanowania dywersji czy rewolty. Słychać było w tym czasie po mieście okrzyki: „Maschinenengewehre raus — die Polacken kommen!” („Wystawić karabiny maszynowe — nadchodzi Polacy”).



Urząd Celny w Strzebielinie na dawnej granicy polsko-niemieckiej. Piąty z prawej — Stefan Hazuka. Fot. B. Hazuka

St. Hazuka zwolniony po trzech miesiącach z więzienia, zagrożony ponownym aresztowaniem zbiegł wraz z kasjerem Rady Ludowej J. Paszke przez kordon graniczny do wyzwolonego już przez Powstanie Wielkopolskie Poznania. Przekroczenie kordonu granicznego umożliwił wójt Gdyni Jan Radtke wystawiając zbiegom fałszywe paszporty. Również Sz. Gracz wyjechał do Poznania. Po kilkumiesięcznym pobycie w tym mieście wrócił St. Hazuka do Lęborka i w listopadzie 1919 roku przeniósł się wraz z rodziną do Wejherowa, znajdując przystań i pomoc materialną w domu przyjaciela J. Paszke, który już nieco wcze-

śniej zamieszkał w tym mieście. Ze względu na swoją działalność patriotyczną nie mógł Stefan Hazuka bez narażenia się na prześladowanie pozostać w Lęborku.

W Wejherowie kontynuował aktywną działalność w miejscowej Straży Ludowej i w Organizacji Wojskowej Pomorza, do których należał będąc jeszcze mieszkańcem Lęborka (od 10 listopada 1918 r. do 10 lutego 1920 r.). Pracował w oddziale propagandowym i wywiadowczym Komendy OWP.

W odrodzonej ojczyźnie Stefan Hazuka z dniem 1.07.1920 r. został mianowany etatowym urzędnikiem celnym i wspinał się po kolejnych szczeblach kariery urzędniczej, od stanowiska sekretarza do zastępcy kierownika Urzędu Celnego na stacji granicznej w Strzebielinie.

Dnia 23.11.1921 roku umiera nagle jego ukochana żona Małgorzata pozostawiając 6-cio nieletnich dzieci. W roku 1922 St. Hazuka zawiera powtórnie związek małżeński z Matyldą z domu Myszk, ur. 9.05.1891 r. w Kistówku, pow. kartuski. Z tego związku rodzą się jeszcze syn i córka. Następuje stabilizacja rodziny. Odżywają tradycje rodzinne. I ten dom założony w Wejherowie rozbrzmiewa przy różnych okazjach polskimi i słowackimi piosenkami, ale mówi się w nim już tylko po polsku.

W latach okupacji Stefan Hazuka przeżywa ciężkie chwile, ciągle zagrożony dekonspiracją swojej chlubnej przeszłości; zmienia często pracę. Bez wahania jednak, gdy nadarza się sposobność przyłącza się do ruchu oporu. Od lutego 1940 r. do 12 marca 1945 r. St. Hazuka prowadzi działalność początkowo w organizacji „Polska Żyje” w Wejherowie, później w „Gryfie”, po włączeniu w 1942 r. tej organizacji do TOW „Gryf Pomorski”. W 1943 r. St. Hazuka w myśl sugestii przełożonych z konspiracji podejmuje pracę w charakterze portiera w siedzibie miejscowego garnizonu. Znając bardzo dobrze język niemiecki zdobywa wiadomości wykorzystywane przez wywiad AK i polityczne kierownictwo organizacji „Miecz i Plug” na Pomorzu. W konspiracji St. Hazuka ściśle współpracuje z Pawłem Wojewodą i Leonem Stefanowskim —

mieszkańcami Wejherowa, bezpośrednimi przełożonymi w TOW „Gryf Pomorski”. Do TOW „Gryf Pomorski” należą także starsi synowie: Brunon, Stefan i Paweł.

Po odzyskaniu niepodległości w 1945 roku i zakończeniu działań wojennych Stefan Hazuka nie podejmuje już więcej pracy zawodowej z uwagi na podeszły wiek i nie najlepszy stan zdrowia.

W 1946 r. przyznano Stefanowi Hazuce uposażenie emerytalne ze starego portfela, odąd otoczony został szczególną opieką ze strony dzieci. Czyni to głównie najmłodsza córka Jadwiga. To w jej domu po śmierci drugiej żony Matyldy (owdowił powtórnie w 1967 r.) znalazł cichą przystań na resztę dni, wychowując wnuczki. Jest kochany bardzo przez wszystkie swoje dzieci, wnuki, prawnuki i praprawnuki.

Umiera nagle 14.03.1978 r. mając 96 lat. Zapomniany, niedoceniony mimo iż miał prawo do pełnej satysfakcji ze swej chlubnej walki o ideały młodości, albowiem po II wojnie światowej Polska powróciła na pradawne Ziemie Zachodnie i Północne, w których granicach znalazły się także powiaty lęborski i bytowski.

Za działalność patriotyczną w latach 1918—1920 Stefan Hazuka został odznaczony Odznaką Frontu Pomorskiego i Medalem Niepodległości (1938). Za udział w ruchu oporu w czasie II wojny światowej otrzymał Medal Zwycięstwa i Wolności (1948) i Odznakę Grunwaldu (1949).

Zródła

Akten des Regierungs-Präsidenten in Köslin. Revolution und ihre Folgen. Sygn. Acc 16/44, k. 64—69. WAP Koszalin.

Dokumenty osobiste Stefana Hazuki. Teczka w posiadaniu syna, lek. dentysty, Bernarda Hazuki w Wejherowie. Zawiera m.in. rękopisy A. Czosi, J. Czyżewskiego, Sz. Gracza, F. Kręckiego, B. Langowskiego.

W. Aleksandrowicz, Narodziny nowoczesnego ruchu chłopskiego na Kaszubach. Roczniki Dziejów Ruchu Ludowego 1962, nr 4. B. Hazuka, Nie tylko doktor Gracz, „Przekrój” 1970, nr 1308.

Z. Szulda, Szczepan Gracz i jego walka o przyłączenie powiatu lęborskiego do Polski, Rocznik Słupski 1980.

Roczezna (2)

Jak jô bël bogati

Andrisów Gust

To nie je takô prostô sprawa miec szczescé w žécym. Cziej jô tak terô zdrę na to, co môm przežetë, mészle so nierôz: może to le ce sę tak sniło? I — mészle so — ko powiöstka to téz nie bëła. Bo jak powiöstka sę skuńczy, tej to wszëtko pozdżinie, le ostónie ten, co powiödô i ti, co go sléchają... Të czasë ju nie przińdą, nié, nié. A ko jô jesz wama nie dopowiedzôł jak to bëło dali z tim mojim žécym, z nazszima — mojima z Rozalką — zrëkawinami i o tim jak jô sę stôł milionérem. Tej ju le ju, zarôzka no wszëtko wama opowiëm:

Tej, po tich odwiëdženach u moji Rozalczi doma, ona mie jesz odprowadza sztëczk z taką górkę i tam ma sę długo oddzëkiwelë. A tej jô sôd na koło i jachôł pod dodóm, zadowolony że mie wszëtko tak dobrze wëpadło. Le cziej jô bël od ni môti kawalk od jachóny, tej jem sę obezdrzôł, žebë ję jesz rôz uzdrzec. Ale ona ju bëła dzes, z tą górką, z oczu mie zdżinonô. Tej mie sę stało tak smutno, žebëm wnet bël plakôł. Sznëpelduk jô ju miôł z taszë wëjęti, a że lżów nie bëło, to jô so ocar na cali twarzë. I tej mie

sę przëbôczëło, że jem zrobiël to na próžno, ko ona ni mia farwowónëch lëpów. Jô to zrobiël z przënëceniô, bo cziej rôz, po zabawie jô przëszed z twarzã osztëplowóną czerwoną farwã, tatk mie oszkalowôł, że jô sę dóm lizac od mólów.

Doma, cziej jem le przëjachôł, naszi mie sę wëpëtiwelë co i jak? A co jô jima miôł powiedzec? Ze më sedzelë blisko siebie, że jô na nië zdrzôł a ona na mie? Ze mie te piedz i kulczy w licach sę widzą, że lëpów nie malëje? A o tim rozsuwónym małżënskim lózk mie bëło wstëdno gadac. Oni ju po kasku o mie sę kłopotelë, ale cziej sę dowiedzelë, że wszëtko je w nôlepszim porzãdku, tej sę uspokojiłë. Le ze mną od te czasu zaczęło sę dziejac cos niepojëtégò. Ledwo jô dodóm przëszed, to drëdziégò dnia ju znôu jô zaczął podzerac pod Hëcësko. Jaz tatk jãł mie napominac: brëkuj rozem knôpie, cobës czasem nie ukëkôł tak, jak terô të do ni lgniesz!

A jô rôz w tidżeniu muszôł do ni jachac, bo jô bë nie wëtrzimôł. Ji starszi téz rôz do nas z nią przëjachelë, a naszi téz tam do nich bëłë jachóny. Rozalka

pozna drogę i terô czasem sama niespodzajno do mie przējacha, a mie to baro ceszëło. O Bójce — tim rójcy — jakbësmë zabócëłë, bo on sę nijak nie pokôzywól. Jaz jednégo dnia, a bëło to ju w połowie zelnika on sę zjawił i z górë zapowiedzól: w niedzielë më jedzemë wszëtcë do Hęcëska na ugodę w sprawie tego ożenku. Terô sę okôże co ona mô a co dostónie w posagu. Terô je czas sę przëtrzymac. Niech ten stôri szlachcëc dô, cziej on chce còrkę ożenic, on tëlji mô. W nę niedzielë Bójka znôu przëszed do nas i tej më jachelë najëtą briczką do Hęcëska. Przëjëlë nas baro serdecznie. A po kawie zaczęła sę obrada. Sprawa bëła prostô: më dwoje młodëch jesmë w se zakochóny a to je téż po jich mëslë i chcą, żebësmë sę ożenilë. W posagu oni dają swoji còrce Rozaliji jeden milión marków, budink, jaczi posôdają w Józkach z pięć morgami zemi, zachë, jaczië mają w pańszi jizbie i drobiazdzi potrzebne gospodëni. Drëdzi stronie warënków nie stówiają, bo wiedzą, że jô milióna ni môm, ale môm talent, co wszëtko wërownywô. A dobri wëchowanie i charakter mômë oboje. Znaczi, że jesmë milionërami i z tich pieniędzy môzemë brac od zarôz na remont budinku w Józkach i na co chcëmë. Jesz jedno: wiertel milióna niedostóniemë chutëzi, jaz kolibka pudze; a cziejbë sę zdarzëło, że nijak nie pudze, to ten wiertel dostónie jedno z dzecy Frëcka — brata Rozalëzi. Z weselim jesz poczekómë, bo terô jesz żniwa nie są ukuńczone, a tej jesëni, robotë wiele. Weselë bądze po Godach, cziej ju bądze wszëtko obrobionë. Moze bądze snięg, tej môzemë jachac sònkami do kosôla i bądze weselni.

Tego, że to tak dobrze pudze, ani jô, ani nasi sę nie spodzëwelë, le Bójka wiedzno sę cmulël. Terô ti moji starkowie nas oboje wëkuszkelë a moji starszi tak samo zrobilë. a na ostatku më z Rozalką sô delë gëbë. Mie bëło kask żól tego Bójëzi, bo wszëtcë sę kuszkelë a on nieborôk nic. Ale Rozalka, jakbë wëzgôła moje mëslë, bo czësto niespodzajnie przëskocza do Bójëzi, ukocha go i mu da gëbë.

Cziej më jachelë pod dodóm, tatëk obiëcël Bójëce, że mu nadgrody jesz ekstra za jego starania i mu serdecznie podëkowól za wszëtko, co dlô mie zrobiël. Cziej Bójka odjachël, tatëk zaczął jesz rôz gôdac o tim posagu. Mówiël, że tego sę nie spodzól, żebëm dostól tak piëkną i tak bogatą brutkë. Jô mu chcël przëmëslëc, co on gôdël na pocztaku, ale dlô jem poku. On co chwilë mrëczël tak do se: milión i jesz budink z piec morgami... to je jaz za wiele. Tatku — mówie — môce prôwdë, z taczim posôgem môgbëm choc dwie wzac, ale oni le mają tę jednę.

Terô jô miôł nië tëlji prawo, ale i obowiazk odwiedzac jak nócëncy swojå Rozalkë. Dnie bëłë dludzië, ale dlô nas wiedzno za krótczië, i smutno nóm bëło rozstawac sę. Jô wiedzno czekól, żebë rôz zaszła jakô burzô, abo szlagä, żebëm miôł leżnosc tam ostac ob noc, ale tacziego nic nie zaszło. Poczëzól jem sę, że moze w jesëni, abo w zëmie bądze gorzi. Jô mëslól: żebë zëma chca bëc jak nógorszô.

Z tim mojim starkem ma sô mogla potrafic lepi jak z tatëkem. Jô do niego gôdël „tata”, a do starëzi „mëma”, a oni do mie „synku”. I më sô tak rozpo-wiôdelë jak bądzemë gospodarzëlë i sę dorôbiëlë. Oni mielë w głowie tę połowë swëgo gruntu dac Rozalëce, bo Frëck nie chcël wiôldziëgo gospodarztwa, a chto bë na tim robiël.

— Robotnicë sę pchają na urzëdä, z gburów sę robiå milionërzë, a milionërzë rzådzą państwem. Żebë tak ostalo jak je, to bësmë jesz jaczi czas wëtrzymelë, ale chto wië co to jesz przinëde. Terô je ta żëdowskô Polskô, a ta richtich przinëde pòzni — rzek tatëk.

— Dobrze sę stalo, że Rozalka dosta chłopa z talentem, tej môzemë tę połowë przedac, kask dolożëc i posôg dlô ni je — doda mëmka, a tatëk jesz rzek:

— Më mielë szczescë, że ti Żëdzë to chca kupic, bo cziej sô zacznë parcelacjë niemieccziëch majåtków, tej zëmi bądze wiele a moze nie bëc kupców na zëmië.

Jô mu tak nadpomk, cobë bëło jakbë pieniędze stracëlë wòrtosc? On mówiël, że je zalożëcelem i czlonkem jich Banku Ludowëgo i tam ulokuje detëzi swoje i nasze, a cziejbë dëcht glupie, moze w kożdim czasie je wëbrac nazôd i niech sę robi co chce. Ko poprôwdze, to bëło mądze pomëszlonë. Më téż przëszlë do przekonaniô, że u nas pieniędze nigdë wòrtoscë

nie stracå, bo u nas rzådzą bogôczë, co na miliónach lezå. A ti nie są tak glupi, żebë delë piëndzóm stracëc jich wòrtosc. Ko oni bë sami siebie doprowadzëlë do bankructwa. Tejbe oni muszelë robic jak më, ale do robotë oni nie są stworzony.

Bójka sę nie pokôzywól a starcë téż mielë do niego sprawë. Chcelë z nim pogôdac, żebë dlô Frëcka wëszukól brutkë, cobë sę chca na môl ożenic. Jô sę ceszël, że zamiast Bójëce cos dac za dobrë zaslëdzi jô mu powiëm o nòstëpnym zróbkü i bądze dobrze; jemu na tim wiele zanôlezi. Gruñt, że jô jem miliónërem!

Znôu doma më tak rôz w trójce sedzymë, jô tatëk i mëmka. I tak sô mëslimë o tim, co sę u nas wëdarrzëło z tą moją żënbå. Jô jim opowiódël, jak jô mëszlë gospodarzëc tim miliónem. A miôł jem zamiar remontowac nen budink w Józkach, dobrze sę wëstrojëc do slëbu; weselë chcëlëm miec wiôldzië, bë-nómni dwånôsce muzykantów na tråbach. A slub më bë brele nië w parafijalnëm koscelë, ale gdëz we wiôldzim miesce, moze nawet we Freisztaëce Gduñsku, w Olëwsczi katëdrze.

— Ko musimë cos wëmëslec. Niejedny mie bådå zazdroscëc a napewno i o mie plotkowac, ale co jô sô z nich robië! Trzeba miec lep abo gówkë, bo z glupim ani szczescë nie chce miec sprawë.

Tatëk na mie slëchël, a cziej jem sę wëgôdël, rzek:

— Mie sę zdaje, że të choc dwum miliónóm dóbëes radë. Ale jô mëszlë, że nómãdrzi sę gospodarzi bez miliónów. Jô bëc se radzël, żebë temu miliónowi dopiërkü dlô poku. Ten stark tobie të piëniëdzë napewno dô, ale czë to tobie na dobrë wyñdze? Wej le, choc le ten Bójka, ko on o wszëtczim dobrze wië. I letko moze na lëdzy wyñc, że të dostól milión w posagu. Terô të zgriwôsż bogôczå, ale dotëchczôs të klepól biëdë. Wnetka lëdze zacznå gôdac, jaczi të bëł oberwóny, bosy, usmòrkóny, le że August Korfanti Kuzel zrobiël z cebie czlowieka. Bådå gôdelë jakbë bëł jaczim pastuszkem, co królewionkë wëbawiël. Co tobie sę przëdarzëło nie je le bójkå, le zasługå Bójëci. Të muszisz nasz honór podrzëmiwac i nie dac sę na lëdzczië jëzëczë. Bójëce jô dóm ten groch, nawetk kask jesz nadto dosëpië i dóm téż të mieszonkë i gës na swiëta. Na dodôwk jô mu jesz obiëcóm gulôka, ale tego on dostónie jaz po wajim weselim.

— Tak nië — rzekla mëmka — le jaz kolibka pudze.

Jô tatëkowi przëznól prôwdë. Ko më jesz ani zrëkawin ni mômë zrobionë a ju brac posôg i go wëdawac, chocbë užëtecznie, baro nie wëpôdô. Ale cziej nie më bról na remónt, to skådka dostónë detëczy na weselë? Bådë muszól pòzczëcac, ale pòzczëcz trzeba oddac.

Starkowi jô wszëtko opowiódël, że më sę doma uradzëlë jak postëpic z tim miliónem i co z tim remontem. Jidze zëma, towôr corôz to drogszi, lepi poczekac do zymku. Stark ten nasz plan pochwólël. Le Rozalka jakos posmutnia, że jô sę nawet ji posagu nie chcë jimaç.

W swiëta miaël sę odbëc të zrëkawinë ze slëbnyma piëstrzeniami i darënkami, co mie narôzåło na grëbi wëdówk. Za piëstrzeniami më sę wëbrëlë oboje, żebë ona mogla przëmierzëc, bo hañdlowac nie bëło co, a kożdi piëstrzën przed slëbem je piëkny. Nôprzôd më wëbrëlë nę rënkë dlô mie, bo jô sô wiele nie mëslól namiszlac. Cziej Rozalka mia ju dlô se piëstrzën téż wëbrónë, wëszlå z krómu buten, a jô jesz ostól, żebë no zaplacëc i krëjamko kupic slëbny darënk. Wëbról jem mali zloti bialgłowsczi zëgark i zlotå cziedkë, co bëła do zaklôdaniô na kark, do të zëgarka. Ale okôzålo sę, że nie starëzi mie piëndzy na zaplacenie wszëtcziëgo. Sygło le na rzeczë dlô Rozalëci. A nen piëstrzën, co më mielë wëbrónë dlô mie, jô jem muszól tøj odlożëc; ale obiëcël jem, że przinëdë witro go halac.

O piwo, wino i sznaps postaról sę tatëk. Wszëtko ju bëło do zrëkawinów tak dosc przëszëkowónë, le że ten kawalër jesz nie bëł kómpletny. Znaczi to, że nie bëł jesz dosc uzbrojony, bo ni miôł jesz rënczi, za jakå bë go móg uwiezac. Ale môj brat, Léon pòzczël mie swôj piëstrzën. On miôł biëdë, ale jego piëstrzën bëł strzëdny wòrtoscë tak, że wstëdu jô sô nie narôbiël cziej jem go na pòlc wlozël. Zdôwålo mie sę równak përnë, że Rozalka bådze mia pòczëcnëgo kawalera.

W drėdźi swiėto Bożego Narodzeniŏ bėłė te nasze zrėkawinė. Zebra sė dosc tėli gromadka krewnėch i goscy. Obrzėd zrėkawinŏw przeprowadzėł Bŏjka a potemu bėłė znŏu żėczenia i kuszkaniė. I tej mė z Rozalką przėstelė na to, że po slėbie zamieszkŏmė u ji starszėch, jaż kolibka pudze. Rozalczėna mėma mia w tim swojė udbę, chca swojė cŏrkė zatrzymac przė se, jaż bė przėszła ji sėnowŏ — to je Frėcka

bialka — dopiėrze jesz nieznŏnŏ. W Nowi Rok miała bėc pierszŏ zŏpowiėsc a trzėdziestego stėcznika nasze pierszė weselė.

Te zrėkawinė mie sė dėcht widzałė. Wszėtcė bėłė wesŏli. Bėło smaczne jedzeniė. Wėpitku bėło tėż dosc, ale niė za wiele. Tatė lubiėł wėpic, ale cziej przėszło, żebė za swoje, tej on nimiŏł aptitu. W tim on szlachowŏł kask za mna. (C.d.n.)

Gadka

Jachta na dzėka

Jŏzef Roszman

Lipcowe slonisko tak piėkno nŏm grza,
a nenka w ogrŏdku kwiatė hakowa,
a mė krŏsniėta wiedno wiesoli
skŏkalė po slomie w Lipkowi stodoli.
Narŏz so zerwŏł sztorėm jak biės
pamiėtŏm to dobrze jesz dzis.
Gburze z pola dodom jachale
a mė dzecė jak glupi sĄ wėszczeralė.
Wtenczas grzėmotė straszne biwalė
te mė tėż dodom chutko biegale.
Doma na stolė gromica stoi
a nėnka placze grzėmotė so boi.
Chutiszko biegŏ za ŏpkĄ naszym
bo on grzėmotė so nie przėstraszi
Cze ŏпка przeszed te sta so inaczi
powiŏstczė nŏm gŏdŏł niė belejaczi,
wszėtci mie so tak baro widzelė
muszė jŏ wamanapisac terė

Slėchŏta le dzŏtci co jŏ wama powiem.

Jak jŏ bėł taczim mŏlim knŏpa jak Jŏzefk to jŏ szed z moim tatka na jachta na dzėka. To bėło wczas reno, tatė mie zbudzel a gŏdŏ: sėnie wstajŏ, w naszėch krzŏkach je dzėk chutiszko so oblakŏ, a jŏ wezna flinta a miech seczczi.

Jŏ so z wėrė porwŏł, a zaczy so chutko oblekac, a nėnka o tim nic nie wiedza, bo nėnka spa w drėdzi jizbie, a mė z tatka oba dwaji w komorzė, bo tatė chrapŏł a nėnka ni mogła nigdė spac, a mie to tatko-we chrapani nie przeszkŏdza. Mė jidzemė, a tatė wleczė na puklu miech ze seczkĄ, a mnie on dŏł flinta a gŏdŏ: blŏs uwazŏ bo ona je nialadowŏnŏ co tė so czasa w szpėra nie wsmarėjesz.

Jŏ so pitŏł tatka: docz tė tatku jesz ta seczka wleczesz? A tatė mie dėrno rzėk: terė nic nie gadŏ a poj.

Mė przėszlė w nasze bloto, tatė so sŏt na piėn, nodzi wsadzŏł w miech ze seczkĄ, żebė mu zėmno nie bėło i rzėk: terė biŏ w te krzŏcze, a wėplosze tego dzėka tu do mie, ale o pocuszku, a jŏ tu jėmu grzimna jėdnego.

Jŏ wlŏz w krzŏci a czėja, że cosz szemi jakbe kto po sėchim chrŏscė dėptŏł, jŏ so sztėk knėpla ulomiėł, a te jŏ za nim so wėpuszczŏł, a te jŏ widzŏł jak dzėk w plėce lezi. Ale wa ni mŏta pojėce co to bėł za wieldzi rap? A te jŏ zaczy wrzeszczec: tatku, tatku, tu on je, a tatė wrzeszczi, ucekŏ na stronė, a jŏ jėdnego grzėmna, jŏ odskokŏł a tatė jėdnego wsmarowol. Dzėk zajėczŏł a ucėko dali w krzŏci. Tatė so znerwowol, flinta rzna na zemia i gŏdŏ zlim glosa: polesa tŭ do mie tė smŏrkole jeden, jŏ doch ce gŏdŏł, że tė miŏł o pocuszku jic, a tė so drzesz na cali gŏrdzel. A te tatė odpiał pas a mie wcignĄ po slŏtku. Jŏ zaczy bėczec, slŏtk mie boleł a tatė wrzeszczi:

biegŏ z drėdzi stronė, wėdlė naszĭ torfkulė, tam on nie przėlezė bo tam je kopla sztachelrŏta odgrodzonŏ, tam on muszi bėc nasz.

Jŏ biegom na uszrŏc, przez rowė skŏcza a tatė wlŏz na piėn a kark wėcigŏ jak gulecz a zdrzi w moja strona, cziej jŏ dobieg do naszĭ torfkulė a te so zapuszczŏł, chcŏł przėz nia przeskoczec. A mie so nie uda, jŏ wpŏd rėn w kula. Terė jŏ zaczy wrzeszczec: tatku jŏ jem wpadli w torfkula. Tak przėczadzŏł, mie wėcignĄ, a te jŏ dostŏł jėsz rŏz po mokrim slŏtku, a dzėk szed przez drŏt jak diŏbel przez odzin. Jėsz tak znerwowŏnego tatka jŏ nie widzŏł. On tėż jŏ nic nie gŏdŏł, cali so trzĄs ze zloscė, a jŏ wėł jak wilk.

Za sztŏt tatė gŏdŏ: terė jidzemė dodom, tė jesz doma od nėnczi dostŏniesz. A nėnka wtenczas nie żalowa.

Cziej jŏ rŏz dostŏł za to że jŏ z kŭrnika jaja ukrŏd, a sprzedŏł, te jŏ ni mŏg na slŏtku trzė dni sėdzec. Mė dochŏdomė do naszĭ chėczė, a nėnka na podwŏrku kure futrėjė, a tė tatė zaczy wrzeszczec: zŏs tė kurė przėnicĄ futrėjesz, a co jŏ bėdė na polu sŏł.

Nėnka zdrzi na nas a gŏdŏ, a gdzė wa dwaji purtŏcė lazita, a tė nėnka na mie wėzdrza a gŏdŏ, jakusz tė sėniė wėzdrzisz, gdze wa bėła lazli. A tė jŏ zaczy bėczec, a tatė gŏdŏ mė bėłė w naszym blocė, bo tam bėł dzėk, ale z tim krŏsniŏka to nie je moźno, on nie je psa wŏrt, ale on dostŏł a te on w torfkula wpŏd, te on oberwŏł drėdzi rŏz. Tė glupi strėchu, jak jŏ wezna miotla, te jŏ ce zdraszėja jak szczėrza. Tatė nigdė so z nėnkĄ nie sztridowŏł on glowa spuszczŏł a szed do chėczĭ, a jŏ so szed przezeblėc.

Od tego czasė mŏj tatė mie na żŏdna jachta nie wzĄ.

Absolutnie niezbędny facet

Kiedyś po ogromnej protekcji przyjęto na pływanię czyjś wujka, z zawodu cieślę. I to od razu na stanowisko cieśli okrętowego! Protegowany umiał stawiać domy na zrąb, z sosnowych bali, chcące kryte dwuspadowym dachem z gontów, z wystówkiem na słupach — albo taki „dómk jak zómk” o szkieletowo-szachulcowej konstrukcji z smotowanych belek, wypełnianej gliną i bielonej, ale nie miał pojęcia ani o mierzeniu w zbiornikach, ani o obstudze pokryw Mac Gregora. A to jest dla okrętowego cieśli ABC. Na ogół jednak na statku, w odróżnieniu od zakładu pracy na lądzie, każdy wie co do niego należy i za co osobiście odpowiada. Podział pracy obowiązuje od czasów, gdy ludzie byli z żelaza a statki z drewna, choć teraz akurat bywa odwrotnie. I tak Trzeci się uruchamia, gdy na statku pożar lub szwankuje BiHP, a Elektryk gdy trzeba wyświetlić film. Tym samym da się nawet na dzień przed rozpoczęciem podróży zmienić pót załogi na życzenie władzy, by rozbić jakiś tam świerszczykowy gang — a statek o czasie wyjdzie z nowym kompletem.

Interesujące, że z każdą szczerze trudzącą się na wachtach albo przy konserwacji statku załogą płynie sobie jeden facet, nic nie mający do roboty. Nie idzie mi o lekarza, ani o ochmistra. Facet w całkiem wyjątkowych wypadkach — w Polsce tylko w jednym egzemplarzu! — może nawet być kobietą. W każdym razie jeśli w mesie na śniadaniu zjawi się ostatni, to od niego steward zacznie serwowanie porannych jaj na różne sposoby nawet jeśli siedzi obok Czwartą Mechanikowa albo Pani Pana Radio. Może sobie życzyć danko do kabiny i steward niesie. Jak chce, to może na otwartym morzu w ogóle nie opuszczać swej kabiny zawsze z widoczką na dziób i na to, co na kursie. W kabinie wolno mu samotnie popijać ile zechce, stawiać pasjanse, usypiać i preparować motyle, uczyć się suahili („Jambo habari? Nuzuri, sana...”) albo pisać bajdy o piratach Móz Południowo-Chińskich. Mądry niech sobie będzie przy tym — albo debil, abstynent Trzech Trzeźwości albo kandydat na odwyk, twórczy, rzeźbiący albo malujący — albo taki, co tylko chce przetrwać do emerytury. Jedno istotne, żeby był! Jest to jedyne stanowisko w PMH, którego nikt nie kwestionuje, choć wiadomo, że na naszych statkach pływa o wiele więcej zejmanów, niż gdzie indziej, co wynika z stosunku do pracy w naszym ustroju i z tego, że tylu na to pływanię chętnych. Ale ten facet musi być!

Jest zawsze sam. Jego monologom co najwyżej przytakuje z grzeczności Chieł, bo sam zostanie wkrótce takim — i Trzeci, z wyrachowania, aby podłapać dobrą opinię. Ma świadomość, że jego, faceta, decyzje są nie kwestionowane — ale jak będą złe, to odpowie za nie sam i może Złotą Kapustę będzie musiał odpruć z daszka czapki. Ma teoretycznie pakiet kar w rękę, jak Jowisz miał gromy i może upisać każdego w dziennik, choć czasem lepiej na tym wyjdzie, jak na coś przymknąć oko. Zwłaszcza w Afryce Zachodniej albo na Dalekim Wschodzie: komentarze zbyt cenne... Liczyć może tylko na siebie. Wie, że na nim skoncentruje się stopniowo cała złość za stanie przez miesiąc na redzie, za wyjście w morze zanim załatwiono byznes i nawet za falę i wiatr. Jest to złość za to, że jest. Znaczący kapitan.

W sierpniu 1958 roku przekazano w Stoczni Gdańskiej parowy tramp „Latakia” dla ZRA. Tej republiki nie ma już na mapach, statek złomowano, więc można o tym pisać. „Latakę” miał do Aleksandrii odprowadzić wynajęty przez admirałację ZRA kapitan L., Polak — a załoga była arabska. A więc oficerowie młodzi, pewni siebie, w szykownych, gęsto złotem obszytych mundurach, mechanicy, purserzy czyli płatnik — a gadali biegle angielskim i po stażu w „Grand-Hotelu” nieco po polsku, głównie na temat anatomii damskiej. Kapitan, tknięty chyba przeczcuciem, wymógł doangażowanie sternika i motorzysty, z rodu Lechitów.

„Latakia” pod wieczór sierpniowy wyszła z portu, przeorała zatokę, wykonała skręt u cypla Helu i wzięła kurs na Kanał Kiloński. L. życząc oficerowi na wachtę dobrej nocy zszedł o pokład niżej do swej kabiny. Rutyna: gazeta, mała kawka, koniaczek na spanie, kapiółka i świeża piżama, muzyczka do poduszki... Stan morza był 1 do 2, toteż pierwszy sen go już złapał, gdy wtem w kapitańskie drzwi zabębiono jak na alarm:

— Master — wołał oficer w przerażeniu — I don't see any lights ashore, światła nie widzę na brzegu i nie wiem jaka pozycja! Otóż było tak, jak przypuszczał. Suto ozłoceni oficerowie młodej floty ZRA znali co najwyżej nawigację tzw. terestryczną, dobrą gdy widać ląd i różne znaki na nim, a w rękę trzymasz locję, czyli księgę z dokładnym opisaniem co i gdzie. Nowinki jak radar, jak system Decca Loran były im nieznane, archaiczny sekretant jak się okazało też. A panowie mechanicy podobno już widzieli kiedyś maszynę parowo-tłokową z turbiną na parę odłotową, jaka była na „Latakii” — ale zbyt krótko i dawno temu.

Jeszcze mógł zawrócić wywiesiwszy sygnał RU, co oznacza „Trzymajcie się zdala ode mnie, manewruję z trudnością”. Albo zastopować, rzucić kotwicę, wywiesić F co znaczy „Jestem niezdolny do manewru — nawiążcie łączność ze mną” i czekać, aż mu podesłają ekipę z prawdziwego zdarzenia a nie z 1001 nocy. Ale wybrał wachnię kapitańską non-stop przez kanał, Morze Północne, przez La Manche, bułżliwe Biskaje, Atlantyk, Gibraltar i całe Morze Śródziemne. Na granicy ludzkiej wytrzymałości pod koniec takiej żeglugi albo poniżej, ryzykując przy tym wszystko, cały swój kapitański honor w zamian za nic, bo przecież nie za tę garsteczkę zielonych. Wybrał i wygrał, bo tacy oni na ogół są, ci kapitanowie — zanim nie skapaneją.

Miąsk.

Nazwisko Dewitz Edward Breza

Zacznijmy od tego, że takie nazwisko występowało na Kaszubach. Oto w księgach metrykalnych parafii Kielno w b. pow. wejherowskim spotykamy zapisy: Dorothea Dewitz r. 1821 VIII 29, Elisabeth Dewicowna 1820 VIII 9, Elisabeth Dewicowa r. 1822 IX 12.¹ Nadto w księgach sądowych Kościerzyny spotykamy skargę złożoną przez woźnego sądu ławniczego w Kościerzynie, Bartłomieja Orlikowskiego i Wawrzyńca Głowczewskiego przeciwko szlachciom Grzegorzowi Dewczowi i Urbanowi Dewczowi za to, że w domu Głowczewskich w Głowczewicach w b. pow. chojnickim (wówczas tucholskim) napadli na Zofię Głowczewską-Kozakównę i ją opasali „i inne gwałty czynili”.² W tymże dokumencie wspomniani są i wymienieni po raz drugi jako „Panom Grzegorzowi Dewcowi y Urbanowi Dewcowi”. Zapis pochodzi z r. 1611. W tytule skargi mamy również: Relatia P. Bartłomieja Orlikowskiego y Wawrzyńca Głowczewskiego przeciw panom Dewcom. W zapisach tych spotykamy się z elipsą samogłoski -i- w przyrostku -ice.

Nie znając dalszego występowania rodziny przypuszczać by można, że nazwa jej wywodzi się od wyrazu pospolitego dziewic, męskiej formy od rzeczownika *dziewica*, oznaczającego „mężczyznę niewinnego”. Wyraz taki używany był przez niektórych pisarzy polskich, np. przez Piotra Skargę.

Tymczasem istnieje 3-tomowa monografia (w wielu szczegółach tendencyjna) rodziny Dewitz, opracowana przez Gantzerę i wydana w latach 1912–1918 w Halle; t. I–II zawierają dokumenty od XIII w. do r. 1909³, a t. III historię rodziny.⁴ W tejże monografii t. I, s. 2 przytoczona została również opinia, według której rodzina Dewitz ma się wywodzić od słowiańskiego wyrazu *dziewica*. Mamy tu też inną próbę objaśnienia interesującego nas nazwiska. Mianowicie nagłosowe *de* próbuje się interpretować jako łacińskie *de*, a więc przyimek *z*,⁵ a pozostałą część nazwiska Witz jako nazwę miejscowości *Vietz(e)* (por. tamże s. 2–3). Mamy wprowadzić niemiecką nazwę miejscowości *Vietz* czy *Vietz Stadt*, dziś *Witnica* w b. pow. gorzowskim. Nie stąd jednak wywodzi się omawiana rodzina. Początkowo notowani są Dewitzowie w Meklemburgii, potem na Pomorzu Zachodnim, wreszcie na Pomorzu Gdańskim i w innych regionach Polski.⁶

Zgadza się to z ogólną tezą, że wiele rodzin z Pomorza Zechodniego przeszło potem na Pomorze Gdańskie, jak np. Wejherowie, Przebendowscy, Raepkowie, Masowowie i wiele innych. Tak też Dewitzowie. Skąd zatem to nazwisko? Zanim damy ostateczną odpowiedź na to pytanie, zauważmy, że jest wiele nazwisk wywodzących się od nazw miejscowości. Pochodzą one najczęściej z okresu analitycznego określania człowieka przez wskazanie na miejsce jego urodzenia bądź zamieszkania, np. w języku polskim *Wojciech z Brudzewa*, *Jan z Koszyczek*, *Janko z Czarnkowa* czy ogólnoeuropejskie *Jakub de Voragine*, *Tomasz z Akwinu* itd. W określeniach tych przyimek z czy łaciński *de* bądź *a(b)* lub też germański *von* czy *van* zanikło, a nazwisko przyjęło postać nazwy miejscowości. Por. tu zachodniopomorskie rody *Stojentin* od nazwy wsi *Stojęcino* w b. pow. słupskim, *Zastrow* od n. wsi *Zaostrovo*, *Pudwels* od n. wsi *Podolsze*, *Zitzewitz* od n. wsi *Sycevice*, po niem. *Zitzewitz* w b. pow. słupskim, o których piszę w osobnym artykule w „Jantarowych Szlakach”. W tym typie nazwisk mieści się także *Dewitz*.

Jest kilka miejscowości *Dewitz*: pod Starogardem w Meklemburgii, na wschód od Lipska, w Starej Marchii (Altmark), pod Pragą Czeską. Z której wy-

wodzi się rodzina Dewitz, trudno jednoznacznie orzec. Nie rozstrzygnął tego także monografista rodziny, prof. Gantzer. Najprawdopodobniej w grę wchodzi tutaj *Dewitz* z Meklemburgii.

Etymologia nazwy miejscowości jest zawsze ta sama w odniesieniu do wszystkich obiektów. Onomasty wywodzą nazwę topograficzną *Dewitz* od nazwy osobowej *Dziewa*, w prasłowiańskiej postaci *Děva*.⁶

Tak więc narzucająca się etymologia od wyrazu *dziewic(a)* zyskuje potwierdzenie w naukowym rozstrząsaniu etymologii nazwiska *Dewitz*. Wyraz ten jednak nie jest bezpośrednią podstawą, lecz pośrednią: nazwa osobowa *Dziewa* — pochodna od niego nazwa miejscowa *Dziewice* (*Dziewa* + *-ice*), zmieniona na *Dewitz* daje nazwisko *Dewitz*. Dodajmy na koniec, że na Kaszubach nazwisko to było sprowadzane do rzeczownika *dzewus* „dziewczyzna”, jak na to wskazuje zapis z ksiąg par. Strzepcz w b. pow. wejherowskim: Dorothea Dewuszowa r. 1716, s. 30.⁷

1. Księga w Wojewódzkim Archiwum Państwowym w Gdańsku, sygn. 1254/VIII, IX.

2. W Wojewódzkim Archiwum Państwowym w Gdańsku, sygn. 506 II s. 343.

3. Geschichte der Familie von Dewitz. B-d I: Urkunden und Quellen bis zum Beginn des dreissigjährigen Krieges. Im Auftrage der Familie gesammelt und mit Hülfe (!) Sr. Erz. des wirklichen Geh. Rats Oberpräsidenten a. D. von Dewitz herausgegeben von Professor Dr. Gantzer, Halle 1912; B-d II 1913, B-d III 1918.

4. Nie wymienienia Dewitzów M. Jeżowa w pracy Dawne słowiańskie dialekty Meklemburgii w świetle nazw miejscowych i osobowych, cz. I, II, Ossolineum 1961–1962 i G. Schlimpert, Slawische Personennamen in mittelalterlichen Quellen zur deutschen Geschichte, Berlin 1978.

5. W Herbarzu Bonieckiego, t. II, s. 269 wymienieni są np. Dewiczowie h. Trąby. Poza tym Dewitzowa autorka Gramatyki języka niemieckiego.

6. Por. S. Körner, Die patronymischen Ortsnamen im Alt-sorbischen, Berlin 1972, s. 66 i L. Hosák, R. Sramek, Mistři jména na Moravě a ve Slezsku I: A–L, Praha 1970, s. 178.

7. W Wojewódzkim Archiwum Państwowym w Gdańsku, sygn. 1254/24.

„Fundacja Wejherowa i Kalwarii” Stanisław Klein

13 września br. zakończono prace konserwatorskie przy malowidle ściennym z XVII w. przedstawiającym „Fundację Wejherową i Kalwarię przez Jakubę Wejhera”. Malowidło jest najstarszym dokumentem plastycznym miasta Wejherowa. Fundatorem historycznego malowidła z 1658 jest Joanna Katarzyna (druga żona Wejhera), mistrzem zaś malarz związany z Pomorzem Stanisław Kłosowski (†1670 r.). Prace konserwatorskie prowadziły Ewa Pilitowska i Agnieszka Sikorska z Pracowni Konserwacji Zabytków w Gdańsku.

Malowidło wykonane techniką olejną na ścianie znajdowało się w bardzo złym stanie technicznym, z powodu silnego zabrudzenia i złuszczeń warstwy malarskiej było słabo czytelne. Malowidło, znajdujące się w prezbiterium kościoła klasztorowego za głównym ołtarzem, gdzie znajdował się chór zakonny, ma wymiary: wysokość — 3,50 m, szerokość — 1,65 m, wysokość do początku łuku — 2,80 m.

A oto opis ikonograficzny malowidła sporządzony przez wykonawców prac konserwatorskich:

„Malowidło przedstawia parę małżeńską — Jakubę i Annę Wejherów. Kompozycja jego jest symetryczna, od góry zamknięta półokrągłym łukiem, środek przedstawienia wyznacza trzon wysokiego krzyża. Po lewej stronie, od strony widza, stoi Jakub Wejher, po prawej jego żona Anna, oboje widoczni od kolan, w ujęciu 3/4. Podtrzymują oni model klasztoru kościoła i miasta Wejherowa umieszczony na osi pionowej na wysokości ich głów. Wyżej widoczny jest Chrystus i św. Franciszek z Asyżu. W dole umieszczony jest herb, a całość zamknięta została łacińskim napisem.

Jakub Wejher ubrany jest w ciemną zbroję z wyłożonym jasnym kołnierzem. W prawej ręce trzyma miecz oparty o stół przykryty czerwonym obrusem. Ciemnobrązowe włosy z przedziałkiem pośrodku opa-

dają mi na ramiona. Twarz ma owalną z opadającymi do dołu wąsami i krótką hiszpańską bródką. Lewą ręką podtrzymuje model klasztoru. Stojąca po prawej stronie Anna Wejher ubrana jest w ciemną suknię z owalnym wycięciem ozdobionym dużym jasnym kołnierzem. Kołnierz ten pośrodku przodu spięty jest ozdobną rozetą. Spod tej wierzchniej, su- to marszczony szaty, wystaje przy szyi i spod rękawów druga suknia jasna. W lewej ręce Anna trzyma czerwony różaniec i książeczkę do nabożeństwa. Włosy ma zebrane nad czołem i przybrane perełkami, u dołu podwinięte.

Napis u dołu malowidła, szaro-niebieski na granatowym tle, podzielony jest na trzy kolumny. Kolej- no od lewej strony w tłumaczeniu:

1) Najjaśniejszy i Najdostojniejszy Pan Jakub Wejher, Komes św. Rzymskiego Imperium, wojewoda malborski, starosta kiszporski, borzechowski, człuchowski, głównodowodzący wojskami na terenie Prus Królewskich. Zmarł 20 lutego 1657 mając 48 lat.

2) Fundatorzy tego klasztoru, miasta i kalwarii. Prawdziwe oblicza namalował w sierpniu 1658 Stanisław Kłosowski.

3) Najdostojniejsza i Najjaśniejsza żona Jakuba Wejhera, właścicielka dóbr na Dolnym Śląsku, Gryfowa, Chojnika oraz Zmigrodu. Zmarła 8 kwietnia 1650, mając 30 lat".

Wojewódzki konserwator zabytków w Gdańsku mgr inż. arch. Tadeusz Chrzanowski wręczył wieloletniemu gwardianowi klasztoru o. Benedyktowi Niemcowi srebrną odznakę „Za opiekę nad zabytkami”, przyznaną przez ministra kultury i sztuki.

Wcześniej, 17 stycznia 1983 r. wejherowskim oo. franciszkanom przekazano po konserwacji barokowy feretron z końca XVIII w. Prace konserwatorskie przeprowadziły Ewa Piliłowska i Agnieszka Sikorska, a konserwację ramy feretronu wykonał Wiesław Gierłowski.

Na zakończenie pragnę w imieniu wejherowian serdecznie podziękować wojewódzkiemu konserwatorowi zabytków w Gdańsku Tadeuszowi Chrzanowskiemu oraz wykonawcom Ewie Piliłowskiej, Agnieszce Sikorskiej oraz Wiesławowi Gierłowskiemu za doprowadzenie malowidła i feretronu do swojej świetności.

Pozdrzatk na kaszëbiznë w dokôzach Budzisa Jan Trepczyk

Baro dobrze sã dzeje, że wszetczy kaszëbsczi dokôze, choćbë nawetka miëwôrtny, są drëkowóny. zëbë ostôł wdôr dlô przëdnych otroków, dokôz naszigo dzejani, naszë lëterature i w całosce naj kulture. Je to wiôlgô zwënëga naj Zrzeszenigo i dokôz tego, że wecmani może sã baro wiele zdze- jac ë zwënëgowac.

Jednym z apartnych dokôzów naszë lëterature je „Zemia Kaszëbskô” A. Budzisa, w obrôbkù drëcha J. Drzeżdżona, o jaczim mómë dzys gôdac. O tim dokôzu może sã rzec, że je w gwësnym roz- mieni pierwoszenë naji lëterature, bo jego mow- nym zeprzenim moglë bëc decht le Cenôwa ë Der- dowszczi. Wedle mië jednak nie bëł pod cëskę ni- żôdnego pisôrza. Pisôł sôm ze se i temu originalnã je i lëterackô starna je dokôzów i kaszëbizna jakã pisze. Do ti kaszëbizne jô bë sã chcôł uproc- e- mnic, bo ona w całosce nôbarzi mië zajimô a o ji snôzotë ë widzałosc biôtukujemë wszetce. Jak ju Drëch Drzeżdżon we wstëpie nadczidô, F. Lorentza

kaszëbsczi tekstë Budzisa téz baro zajimale z mo- wnigo pozdrzatkù. Jô zdrë téz na dokôze Budzisa ni le z lëteracczigo, ale na pierszim môłu z mo- wnigo pozdrzatkù. Na kaszëbiznë w dokôzach Bu- dzisa przëdôlegalobë zdrëcë dwójako: po pier- szimu na to wszëtko co je popôrdwë apartno ka- szëbsczi, jak słowizna, ukłôd, rzeczonczë ë temu jistny, i po drëdżimu na niemiecchi i polsczi na- lecalosce, jaczë zacemniwają i kaliczã snôzotë na- szë mowe.

Jele jidze o pierszi dzël zdrzeni na kaszëbiznë w dokôzach Budzisa może nalezcë wiele słów, ja- czëch sã ju dzys nie znaje a jaczëch znaczeni na- lezcë może le w słowôrzech Zëchte ë Lorentza, jak: wernacy, swëgrowati, zesurgotóny, rôn, twela, szëchmiń abo czëszmiń, warzedło, szpôr abo szpa- ret (czëszci: sporák), żwanic, ë t.j. Nalezë je téz można tej sej bëlnã kaszëbskã rzeczonczë, jak wez- më: „Ucëk nie je stateczny ale pözeteczny”.

Zdrzãcë na niemiecchi ë polsczi nalecalosce w mowie Budzisa, nie dzewujë sã za baro rozmaji- tim procemnikóm kaszëbiznë, że trzimają naj mowë za zlepiszcë polsczech i niemieczech słów ë rze- czeniów, czëj mowa w dokôzach Budzisa jaczë sã roji od tech nalecalosców. Më równak muszimë duńc do swiadë, że kaszëbizna je apartnã, cze- kawã, stôrã a dlô nas wôrtnã mowã, jakã më mómë wolã dozerac, rozwiejac ë upiëkaszewac. Chcemë zgrôwac do te, zëbë bëła wiedno barzi kaszëbskã, to znaczi, uwolniewac ję od butnowech nalecalosców a rozwiejac i urôbiac słowny po- chwôtë z kaszëbsczigo mownigo pnia.

Ni móm nick procem stôrım, abo taczim naleca- łoscóm, bez jaczëch naji mowa obińc bë sã ni mogła — ko më je kojdzô mowa — ale procem taczim, co sã w kaszëbiznë niepotrzebny, bo më më w ten môł swoji, kaszëbsczi słowa, a nalazë sã w kaszëbiznë na skutk cësku i piercu grmaniz- ne ë polaszczë na naji mowë. Za niepotrzebny w naszë mowie niemiecchi nalecalosce trzimë hewo taczë słowa: Folsztendich (vollständig) — czëstô; sztamisti (stämmig) — zasagłi, korusowati; jiber- haupt (überhaupt) — w całosce; hasteczny (hastig) — oparzony, porwisti, poriwny, chutëzi, pospiëwny; obacht — bôczenk; drist (dreist) — drzyrzëzi; szëmeringa (Schummer) — smrok, komuda; mëscã (missen) — niechac, nie stojec, obińc sã; dërszt (Durst) — pragniczka; klank (Klang) — zwëk, zwonieni; endreje (ändert) — zmieni, zjinaczi; jir- lecht (Irrlicht) — maniewid ë temu jistny.

To jistny je do rzeczeni o polsczech nalecalo- scach. Za nikaszëbsczi trzimë taczë słowa jak: okrëtny (okrutny) — straszny, sëri; dibac (dybać) — dulczec, lorowac; trakt — darga, darzëszczë, drozëszczë; natechmiast (natychmiast) — zare, wnym, anipete; migotac (migotać) — mërgac; dreszcz — zdrig; skomlec (skomleć) — skolec; kro- czec (kroczyć) — jic; ogladac — obzerac; mozolnie — drego; nie przëstoji (nie przystoi) — nie przëd- lëgô (kasz. nie przëstoji — nie poprzë, nie przyna- racji); owoc — brzôd; uczony — uczali; chorowac — chorzec; szkolny — szkołowi ëtd. ëtd.

Môlama sposôb wëpowiôdani je czëstô polsczi — foneticzno le sã jinaczi od polaszczë. Wezmë na to: „Dobri zôrt tinfã wôrt” (ani słowo żart ani tinf nie nôlëżã do kaszëbsczi słowizne. Czëjbë sã rzekło: „Dobri szpôrt je dëtka wôrt”, tej to bë dlô wszëtzech bëło do rozmieniô), abo: „Wczësnie za- pôdô smrok” — wczas robi sã smroczo, smrok je wczas (w kaszëbiznë le zemia, zômk i bialka za- pôdô, smrok jidze, nadchôdô, robi se). „Wërstô mnôstwo grzib” — rosce wiele grzëbów; „Otôczô swojim blasë” — objimô swojim widë; „Pôlen otëchji” — punel, skopica, ful chëce, ducha, dzy- rzkosce; „Dobrobëtü krzëpcji korzenie” — boka- dosc mocny korzenie abo dobrigo obstojeni bëlny korzenie. Taczëch polsczech rzeczonków je u Bu- dzisa wiele.

Czasë parliczë juwerno znaczący słowa kaszë- bsko polsczie niemiecchi do grëpe, co wëdrzi jak- bë chcôł znaczeni jednigo słowa objasnëc drëdżim: „Zôtoka je barzo snôdkô a plitkô”; „blasë a glans”; „Zawióny zôspami, smiotami a szuńcami”; „Do-

stół ordel — żdze na powołanié"; „głóskać a smukac”.

Na spodli jego pismiön swiadejë, że pisze on gódka szemaucko-czelińską ubestrzoną słowizną belacką. Na ogle może rzec o jego gódce że je prostó përzne sëró i trzepotńó. Je baro swónskó i baro kaszëbsko, choc mólama szpacy je kask za wiólgó „obona” niemiecczi ë polsczi nalecałosce. Më,

co mómë dzys do swojigo rozlecenku i na swój užëtk słowôrze Zëchte ë Lorentza, mómë obowiązëc pisac coròz sposobniészã kaszëbiznë, coròz barzi częstã ë jakbë rzec uczalã. Wszëtczim lubotnym Drëchóm, co së kaszëbizne jimają, żëczë duńdzënió do głódkosce w piastowani nasiż mowe i cobe miële moc ë trim bogacec naj lëteraturë przez usódzani coròz belniszech kaszëbsczëch dokózw.



W dniach 23 i 24 września br. odbyły się XIII Kaszubsko - Pomorskie Spotkania Wdzydzkie. Organizatorami spotkań — jak co roku — byli Oddział Kościerski i Zarząd Główny Zrzeszenia Kaszubsko - Pomorskiego oraz Urząd Miasta i Gminy w Kościerzynie. Tegoroczne obrady poświęcone były inteligencji kaszubsko-pomorskiej w czasach najnowszych i współcześnie. Referat na ten temat („W kręgu kaszubskiego kaduceusza”) przygotował wiceprezes ZG ZK-P Stanisław Pestka. Obrady otworzyła prezes Zrzeszenia Izabella Trojanowska. Uczestników powitali I sekretarz KMG PZPR w Kościerzynie Gerard Kulas i prezes Oddziału Kościerskiego ZK-P Jan Machut.

Jako że uczestnicy zjazdu otrzymali wcześniej tekst referatu autor przypomniał jedynie jego ważniejsze tezy. W dyskusji jako pierwszy głos zabrał Feliks Marszałkowski. Jego wypowiedź głównie dotyczyła działalności Młodokaszubów, którzy — jego zdaniem — stworzyli podwaliny społecznego ruchu kaszubsko-pomorskiego. Mimo że nie było ich wielu — dzięki swojej preżności i zaangażowaniu — zdołali na trwałe zaszczyć w społeczności swoje idee. Zgoła inny wątek poruszył Jerzy Afanasjew, który zwrócił uwagę zebranym na nikłe zainteresowanie sprawami regionu inteligencji przemysłowej. W niektórych krajach Europy zachodniej — stwierdził — inteligencja ta zaczyna sięgać do swoich korzeni, żyje kulturą swoich przodków. By i w naszej inteligencji obudziła się ta świadomość potrzebne są atrakcyjne inicjatywy i szeroka popularyzacja rodzimych kultury ze strony działaczy regionalnych. Postulował również

stworzenie stałej sceny folklorystycznej w Gdańsku i lepsze propagowanie jedynego pisma Kaszubów, jakim jest „Pomerania”. Józef Borzyszkowski mówił przede wszystkim o inteligencji w zaborze pruskim. Choć twierdzi się, że był to okres ucisku i germanizacji, to jednak były w tym czasie warunki do działań kulturotwórczych i warunki te ówczesna inteligencja w pełni wykorzystwała. Mówiąc o czasach współczesnych J. Borzyszkowski powiedział, że podstawowym zadaniem dzisiejszej inteligencji jest tworzenie i dowartościowywanie rodzimej kultury, by wzbogacała ona źródła kultury ogólnopolskiej jak i europejskiej. O potrzebie badań socjologicznych, które by określiły rolę współczesnej inteligencji pomorskiej w społeczeństwie wspominał w swojej wypowiedzi Kazimierz Sopuch. Jako socjolog przeprowadzał takie badania w końcu lat sześćdziesiątych na terenie byłego powiatu kościerskiego. Tadeusz Bolduan charakteryzując inteligencję kaszubską w różnych okresach historycznych powiedział między innymi, że ważną cechą każdego inteligenta powinien być krytyczny stosunek do otaczającej rzeczywistości. Posiadając tę cechę inteligencja może wystrzec się wielu błędnych działań, które w przeszłości popełniała. T. Bolduan stwierdził również, że inteligencja na Kaszubach jest coraz bardziej widoczna i kulturotwórcza. Równie optymistycznie mówił o inteligencji Ryszard Nałęcz-Jawecki. Kultura kaszubska — wciąż wzbogacana — przyciąga wielu ludzi spoza tego regionu. W związku z tym mówiąc o inteligencji kaszubsko - pomorskiej trzeba także pamiętać o tych, którzy stąd nie wyszli, ale się z tą ziemią utożsamiają. Barba-

ra Pisarek stwierdziła między innymi, że przez pojęcie: inteligencja kaszubska rozumie grupę osób która ma wpływ na kulturę i która jest tego wpływu świadoma. Częściowo do gósu B. Pisarek nawiązał Konrad Ciechanowski, który powiedział, że Zrzeszenie Kaszubsko - Pomorskie ma duże zasługi w tworzeniu kulturowego obrazu Pomorza, jednakże wpływy naszej organizacji na społeczeństwo są jeszcze wciąż małe. Wojciech Kiedrowski mówiąc o cechach pozytywnych i negatywnych naszej inteligencji doszedł do wniosku, że konserwatyzm, który często zarzuca się Kaszubom, jest cechą ukształtowaną przez historię. Lecz mimo tego inteligencji kaszubskiej nie można przypisać bierności. W ważnych momentach dziejowych, szczególnie po II wojnie światowej, inteligencja ta zachowywała się godnie, a działacze skupieni w ruchu regionalnym zawsze stawiali na samodzielność i samorządność. Edmund Szczesiak — podobnie jak Jerzy Afanasjew — mówił o potrzebie pozyskania dla ruchu regionalnego inteligencji technicznej. Aby skłonić ją do działalności na rzecz regionu — powiedział — musimy wypracować taki program, który byłby zgodny z ideami poprzednich regionalistów, jak i spójny z duchem współczesnej cywilizacji. Także Izabella Trojanowska skupiła się głównie na dniu dzisiejszym naszej inteligencji. Stwierdziła, że jej tradycyjne cechy pozytywne jak uczciwość, solidność, rzetelność straciły już na aktualności. Jedyną zaś cechą pozytywną wyróżniającą tę inteligencję jest rodzinność, która stanowi o więzi z przypisaną ziemią. Kazimierz Marchewicz oceniając inteligencję pomorską w ostatnim stuleciu zwrócił uwagę na jej duże zasługi w ożywianiu kultury regionu. Ponadto — stwierdził — nasza inteligencja zawsze potrafiła przedstawić swoje racje i obronić się przed licznymi zagrożeniami dziejowymi.

Poza wymienionymi w dyskusji udział wzięli: Zbigniew Gach, Jerzy Dąbrowa, Ryszard Ciemiński, Kazimierz Nowosielski, Zbigniew Talewski, Maria Kowalewska, Jan Piepka, Zbigniew Szymański, Jan Tyborczyk i Stanisław Janke. Całość dyskusji znalazła odzwierciedlenie w uchwale, którą zredagowała komisja wnioskowa w składzie: Barbara Pisarek, Tadeusz Bolduan i Jerzy Stachurski.

W trakcie obrad wysłano list z pozdrowieniami do Lecha Bądkowskiego, który z powodu choroby nie

mógł uczestniczyć w Spotkaniach Wdzydzkich.

„Uczestnicy XIII Kaszubsko-Pomorskich Spotkań Wdzydzkich — czytamy w liście — przesyłają Drogiemu Koledze Lechowi Bądkowskiemu wyrazy najwyższego szacunku i głębokiej wdzięczności za Jego myśli i wskazania, które ciągle stanowią ożywczy i inspirujący czynnik naszych działań i dyskusji.

Żałując niezmiennie, że przedłużająca się choroba nie pozwala obecnie Drogiemu Koledze na czynny udział w naszych poczynaniach, życzymy najgoręcej jak najszybszego powrotu do zdrowia i do dalszego działania dla dobra naszej Małej Ojczyzny i społeczności zrzeszonej”.

XIII Spotkania Wdzydzkie zakończyły się 24 września w godzinach popołudniowych. Dwudniową dyskusję prowadzili Józef Borzyszkowski i Edmund Szczesiak. (sj)

wierzchnie. Brak pogłębionych studiów. Charakterystyczne, iż zachowało się tylko jedno zdjęcie autora. Zważywszy: zdjęcie pisarza, który żył tak niedawno (ur. 1874 r., zmarł 1934 r.), wydobyte z albumu dalszej rodziny przez pisarza dr. Jana Drzeżdżona, który jak dotąd najwytrwalej penetrował drogi życiowe Budzisa.

Budzisz został nam niedawno przypomniany dzięki dwóm książkom: „Zemji Kaszëbscëj” (wydanej w ub. roku przez Zrzeszenie Kaszubsko-Pomorskie) i „Modrej krajiny” (wydanej w 1979 r. przez Ludową Spółdzielnię Wydawniczą). W pierwszej pomieszczono wybór opowiadań, opowiadań i humoresek w kaszubskim oryginale, druga jest tłumaczeniem tych utworów na język polski. Wszystko to jest dziełem Jana Drzeżdżona.

Drzeżdżon podczas seminarium w Łączyńskiej Hucie przypomniał swoje wieloletnie boje o druk tych książek, żmudną drogę od zebrania materiału literackiego i biograficz-

obywatelskiej autora „Zemji Kaszëbscëj”. Z twórczości Budzisa Nagel najwyższej ceni dłuższe opowiadania, zawierające epos czterech pór roku na Kaszubach, w których utrwalone zostały plastycznie wszelkie prozaiczne sprawy dnia codziennego.

Barbara Pisarek z kolei najwyżżej oceniła krótkie opowiadania. W bar-dzo interesującym, ze swadą wypowiedzianym referacie, uznała Budzisa za twórcę nowoczesnej groteski kaszubskiej, podkreślając nieprawdopodobne narastanie groteskowej akcji. Pisarek przypomniała, że niemal równocześnie z Budziszem żył i tworzył Witold Gombrowicz, uznany powszechnie mistrz groteski polskiej. Czyżby takiej twórczości sprzyjał ówczesny czas? Nie ma bowiem mowy o wzajemnym oddziaływaniu obu wspomnianych pisarzy. Wypowiedź B. Pisarek opublikujemy wkrótce w „Pomeranii”.

Zamieścimy także fragment obszernego referatu Jerzego Tredera. Omówił on język w utworach Alojzego Budzisa, szczegółowo zaś nazwy geograficzne i osobowe. Okazuje się, iż Budzisz w nazewnictwie geograficznym stosował nazwy rzeczywiste, dziś jeszcze tak nazywają się pola, bagna, jeziora czy wybudowania. W najbardziej nieprawdopodobnych literackich opisach zgodne z rzeczywistością są odległości i kierunki. To ewenement w tego rodzaju utworach. Budzisz jednak był twórcą przezornym, by nazbyt nie narazić się opinii swego środowiska, nie wymienia nazw większych miejscowości, tych w których zamieszkiwał i pracował.

Szczegółowy referat wygłosił Marek Cybulski: o składniowej opozycji biernik-dopełniacz w tekstach Budzisa oraz porównywalnie w tekstach kaszubskich Majkowskiego i Drzeżdżona.

Dr Treder przedstawił także swoje uwagi o przekładzie kaszubskich utworów Budzisa na polski dokonany przez Drzeżdżona. Były uwagi krytyczne, stawiano pytania — dlaczego nazwy geograficzne czy osobowe tłumaczone są niekiedy niewiernie. Mówiono o wielu niełatwych sprawach, które musi pokonać tłumacz, np. jak tłumaczyć idiomy kaszubskie (charakterystyczne zwroty, powiedzenia) na polski; czy tłumaczyć wiernie czy w miejscie idiomu kaszubskiego zastosować polski. Np. w kaszubszczyźnie spotykamy zwrot: krasć Panu Bogu dzień, gdy w polszczyźnie mówi się o kradzieży czasu.

Interesujący był również głos Feliksa Marszałkowskiego, chociaż jego wnioski nie trafiały do przekonania piszącego te słowa. W sporze czy Budzisz miał program czy był twórcą bezprogramowym opowiadam się wyraźnie za stwierdzeniem drugim. Budzisz ani w swoim piarstwie ani w życiu nie przedstawił i nie realizował wyraźnego programu społecznego. I nie jest to wcale stwierdzenie pejoratywne. Wręcz przeciwnie, dla wielu pisarzy i w ogóle twórców nieprogramowość jest w pewnym sensie darem.



Spotkania literatów kaszubskich, młodych adeptów pióra, edytorów i znawców kaszubszczyzny, które co roku tradycyjnie jesienią odbywają się w Łączyńskiej Hucie, przybrały ostatecznie nazwę: „Seminarium kaszëbscëj”. Tegoroczne, szóste z kolei (8/9 października), było bardzo udane i — jak na seminarium przystało — pracowite. Wygłoszono kilka referatów i komunikatów, a dyskusja również przybliżyła obecnym dość tajemniczy świat Alojzego Budzisa. Tematem bowiem obrad było życie i twórczość Alojzego Budzisa, pisarza do niedawna niemal zapomnianego.

Większość wypowiedzi dotyczyła zresztą twórczości, jako że życie Budzisa wciąż jest znane dosyć po-

nego do ukazania się ich drukiem. Mimo całej odrębności dramatyzmu tej drogi nie wolno zapominać, iż podobne perypetie spotkały inne utwory i wielu innych autorów. Uzbierałby się wcale ciekawy tom zapisu choćby powojennej drogi książki kaszubskiej, drogi w miarę normalnej jedynie dla najmłodszej generacji poetów, dzięki wydawnictwu Zrzeszenia. I jeszcze jedno spostrzeżenie: dzisiaj druk beletrystyki Budzisa byłby zapewne przez krzykliwe i starczo-jurnych oponentów skutecznie zablokowany.

Jako pierwszy w Łączyńskiej Hucie zabrał głos Alojzy Nagel. Przedstawił swoją ocenę prozy Budzisa, a także polemizował — dokumentując swoje sądy życiorysem autora — ze skrajnymi ocenami postawy

Nie każdy może pozwolić sobie na ten psychiczny luksus.

W seminaryjnej dyskusji padły interesujące dopełnienia. Głos zabierali, obok już wymienionych, m.in. ks. Franciszek Gruzca, Stanisław Janke, Eugeniusz Gołąbek, Marian Majkowski, Wojciech Kiedrowski, Józef Borzyszkowski, Maria Kowalewska. Poeta Jan Trepczyk nadesłał list, który publikujemy w tejże „Pomeranii”. Stosownym przerwaniem dysputy były piosenki kaszubskie Mariana Selina i wiersze Henryka Hewelta, w wykonaniu autorów.

Pierwszego dnia obrad w Wygodzie odbył się zaimprovizowany (udanie) godzinny „wieczór” poezji i pieśni kaszubskiej. Zaprezentowały się m.in. lauretaci kaszubskiego konkursu recytatorskiego z Chmielna, Marysia Somionka i Ida Treder, uczennice LO w Kartuzach. Marysia Somionka otrzymała także specjalną nagrodę przyznaną jej przez panią Barbarę Gnatowską-Stępińską zamieszkałą w podkarkowskim Olkuszu. Wojciech Kiedrowski ogłosił, iż zespół redakcji „Pomeranii” wraz z szefem wydawnictwa Oddz. Gdańskiego ZK-P Marią Kowalewską przyznał ufundowaną przez Romana Wróblewskiego nagrodę pieniężną dla pisarza kaszubskiego — Eugeniusza Gołąbka. Werdykt był jednomyślny. Nagrodę przy ogólnym aplauzie wręczył fundator, pan Wróblewski zamieszkały w Warszawie.

Podczas rozmów w Łączyńskiej Hucie fakt fundowania nagród przez

osoby osiadłe poza Kaszubami oceniono wysoko. Wprawdzie od zarania regionalizmu kaszubskiego ruch ten wymagał wyrzeczeń materialnych na rzecz społeczności, niemniej nagrody, które zostały niedawno ufundowane, a w Łączyńskiej Hucie wręczone, znamionują pewne nowum. Podkreślano, iż wszelka regionalna działalność w obecnym czasie wymagać będzie liczniejszego wsparcia finansowego ze strony naszego społeczeństwa. Jeszcze wyraziściej ukształtować się powinny specjalne nagrody dla twórców (pisarzy, dziennikarzy, muzyków, plastyków), młodzieży; stać nas powinno na stypendia twórcze, może nawet wykształcać się jakaś stała fundacja. Wielu twórców pomorskich działa w wyjątkowo złych warunkach materialnych. Taki czas.

Przed zakończeniem obrad rozważono tematy na następne „Seminarium kaszëbscë”. Postanowiono przygotować tematy: literackie dokonania ks. Bernarda Sychty; tłumaczenia z kaszubskiego na polski (problemy); twórczość felietonistów kaszubskich; twórczość Jana Patoka. Każdy temat przygotowuje kilka osób. W ten sposób zapewne i czytelnicy „Pomeranii” uzyskają ciekawe opracowania.

Seminarium w Łączyńskiej Hucie — podobnie jak w latach ubiegłych — zorganizowane było przez Oddział Gdański Zrzeszenia Kaszubsko-Pomorskiego. Zajęciom przewodniczył doc. dr Józef Borzyszkowski. Wydano okolicznościową grafikę Andrzeja Arendta. (W.K.)

Machut, Kościerzyna, 200 zł; M. Wiśniewski, Starogard Gd., 200 zł; Brunon Wicki, Sokołów Podlaski, 320 zł; Z. i K. Falkowscy, Czersk, 1000 zł; Zygmunt Tanaś, Gdynia, 1040 zł; Izabela Karczewska, Poznań, 300 zł; Andrzej Henkel, Gdańsk, 300 zł; Edmund Granowski, Gdańsk, 300 zł; Franciszek Kwizdiński, Kartuzy, 340 zł; Julian Zaniewski, Gdańsk, 300 zł; Danuta Tandek, Gowidlo, 200 zł; Zygfryd Prószyński, Puck, 250 zł; Mieczysław Kiedrowicz, Gdynia, 200 zł; Józef Kowalewski, Kartuzy, 200 zł; ks. Franciszek Gruzca, Sopot, 400 zł; Marian Majkowski, Ustka, 300 zł; ks. Jan Dominik, Narzym, 4520 zł; Tadeusz Majkowski, Kościerzyna, 500 zł; Barbara Majkowska, 56 zł; Miron Łukowicz, Wejherowo, 1000 zł; ks. Edmund Frankenstein, Niedźwiedź, 40 zł; Piotr Ludkiewicz, Gdynia, 200 zł; Barbara Gnatowska-Stępińska, Olkusz, 3000 zł; ks. Roman Lewandowski, Chojnice, 400 zł; Paweł Brzeski, Kanada, 4700 zł; Jadwiga Chruścicka, Gdańsk, 5000 zł; Edmund Puzdrowski, Gdańsk, 1010 zł; Irena Fenikowska, Warszawa, 520 zł; Anna Łajming, Słupsk, 2900 zł.

Przypominamy, że pieniądze na „Fundusz” można wpłacać na nasze konto PKO I/O Gdańsk, Nr 19510-5890-132.

Wszystkim serdecznie dziękujemy.



DOŻYNKI W DĘBNICY KASZUBSKIEJ

Podczas tradycyjnych gminnych dożynek 25 września br. zaprezentowano po raz pierwszy drobek twórczości kaszubskiej.

Po uroczystej sesji Gminnej Rady Narodowej, na której wręczono zasłużonym rolnikom i pracownikom rolnictwa odznaczenia państwowe, resortowe, regionalne i dyplomy honorowe i po mszy św. przeszedł korowód dożynekowy z wręczeniem chleba i wieńców gospodarzom dożynek: przewodniczącemu GRN Stanisławowi Jankowi, naczelnikowi gminy Władysławowi Działekowi oraz przedstawicielom załóg robotniczych miejscowych zakładów. Wspaniały program artystyczny wypełniły występy dzieci w strojach kaszubskich ze szkoły podstawowej, zespół i orkiestra wojskowa, chór robotniczy oraz zespół GOK z Głównicy. Podczas dożynek czynne były wystawy prac dziecięcych o tematyce rolniczej i produktów rolnych przygotowane przez WOPR w Strzelinie. Dużym zainteresowaniem cieszył się kiermasz zorganizowany przez ZK-P w Gdańsku. (J.S.)

NOTY O KSIĄŻKACH

Jan Patok, Straszyno w Czarnowskim Młynie. Baśnie kaszubskie. Wybrał i spolszczył Stanisław Janke. Ilustrował Jan Misiek. Krajowa Agencja Wydawnicza, Gdańsk 1983, s. 48, cena 25 zł. Dziewięć krótkich, lecz uroczych baśni folklorysty i pisarza kaszubskiego, autora „Figlów gnieźdźwskich gburów”, który zmarł w hitlerowskim więzieniu w Grudziądzu w 1940 roku. Lektura dla dzieci, młodzieży i dorosłych.

Stefan Pappelbaum, oprac., Na Kaszubach. Partytura na średnią orkiestrę dętą. Wojewódzki Ośrodek Kultury, Gdańsk 1983, s. 28, cena 52 zł. Utwór muzyczny, którym powinny się zainteresować orkiestry dęte nie tylko na Pomorzu.

Stefan Pappelbaum, oprac., Melodie kociewskie. Partytura na średnią orkiestrę dętą. Wojewódzki Ośrodek Kultury, Gdańsk 1983, s. 34, cena 64 zł. Utwór, podobnie jak „Na Kaszubach”, przeznaczony jest dla orkiestr dętych.

Maria Odyniec, Gdynia w prasie niemieckiej Wolnego Miasta Gdańska 1920—1939. Wydawnictwo Morskie, Gdańsk 1983, s. 180, cena 70 zł. Książka ma charakter popularnonaukowy, a zatem jest dostępna w lekturze dla każdego. Jest to pierwsza próba spojrzenia na międzywojenną Gdynię przez pryzmat prasy niemieckiej wydawanej w Gdańsku. Autorka omawia m.in. stosunek prasy gdańskiej do genyzy Gdyni i pierwszego etapu budowy portu, stosunek publicystyki niemieckiej do Gdyni w latach 1930—1933, propagandę prasową dotyczącą Gdyni w latach 1934—1938 i relacje prasy gdańskiej o Gdyni w przededniu drugiej wojny światowej. (T.Bol.)

WPLATY NA „FUNDUSZ POMERANII”:

Jan Narloch, Gdynia, 500 zł; Klemens Paczoska, Rumia, 500 zł; Benedykt Lipski, Czarne, 500 zł; Ludwik L. Kiedrowski, Warszawa, 100 zł; Jerzy Makowski, Subkowy, 200 zł; Z. i R. Nałęcz Jawecy, Wdzydze Tucholskie, 200 zł; Barbara Majkowska, Gdańsk, 72 zł; Franciszek Machut, Kościerzyna, 200 zł; Jan

POLSZCZYŹNA REGIONALNA NA POMORZU

W dniach 23–25. 09 br. odbyła się w Jastrzębiej Górze sesja naukowa pn. „Polszczyzna regionalna na Pomorzu Gdańskim”. Sesję zorganizowało Muzeum Piśmiennictwa i Muzyki Kaszubsko-Pomorskiej w Wejherowie przy współudziale Instytutu Słownoznawstwa PAN w Warszawie.

Pierwszego dnia doc. dr hab. Kwiryna Handke w referacie pt. „Problematyka metodologiczna i stan badań”, powołując się na poglądy innych naukowców badających różne warianty języka polskiego, zdefiniowała polszczyznę regionalną jako środek komunikowania się ludzi zachowujących polszczyznę ogólną na danym terenie. Wyodrębniła współczesny i historyczny nurt badań, dając pierwszeństwo drugiemu. Zaproponowała aby badania ograniczać do dawnych Prus Królewskich, nie ograniczając zakresu chronologicznego. Po referacie wywiązała się dyskusja. M.in. prof. Moszyński powiedział, że pojęcie polszczyzna regionalna jest ciągle jeszcze niejasne. Polszczyzna ogólna jest sumą polszczyzn regionalnych, każda więc realizacja polszczyzny ogólnej staje się polszczyzną regionalną. Doc. Jadwiga Zieniukowa zauważyła, że w zasadzie brak sprzeczności między stwierdzeniem doc. Handke a prof. Moszyńskiego. Zwróciła uwagę na konieczność precyzyjnego zdefiniowania tego pojęcia, co jest niezbędne przy badaniach regionalnych wariantów języka. Doc. E. Breza postulował m.in. konieczność zbadania polszczyzny Wybickiego. Pracując nad tekstami twórcy naszego hymnu narodowego, zwrócił uwagę na jego ciekawy język, pełen, zgodnie zresztą z pochodzeniem poety, prowincjonalizmów pomorskich.

Następny dzień rozpoczął się referatem prof. dr hab. H. Tabor-skiej pt. „Polszczyzna kancjonałów wydanych na Pomorzu w XVII wieku”. Autorka bardzo szeroko i szczegółowo zreferowała zagadnienie, zaznajamiając słuchaczy z pięknymi tekstami staropolskimi. Konkluzją wystąpienia było stwierdzenie faktu, że polszczyzna kancjonałów oparta na ogólnopolskich wzorach językowych zawiera bardzo nieliczne regionalizmy pomorskie. W dyskusji po referacie ciekawy był postulat doc. Handke, by porównać kancjonały pomorskie z tekstami religijnymi wydanymi w innych częściach kraju, np. w Krakowie. Edmund Kamiński zwrócił uwagę, że wielu tekstów dotąd nie wykorzystywano, np. licznych modlitewników kalwaryjskich. Czeka ją one na badaczy w muzeum wejherowskim.

Następny referat pt. „Polszczyzna »Pomorzan« A. Majkowskiego” wygłosił doc. dr hab. Edward Bre-

za. Autor szczegółowo scharakteryzował fonetyczne, morfologiczne, leksykalne i składniowe cechy polskich tekstów Majkowskiego, a więc „Pomorzan”, „Filozofa” (pierwszej wersji powieści o Remusie) i „Wierszy i frantówek”. Okazało się, na co autor zwrócił szczególną uwagę i co było poruszane w późniejszej dyskusji, że w języku Majkowskiego zauważalne są dość duże wpływy sąsiedniego dialektu kocińskiego. Autor referatu zresztą stwierdził, że w dzisiejszym języku mieszkańców Kościerzyny więcej jest cech kocińskich niż kaszubskich.

Doc. dr hab. Jadwiga Zieniukowa mówiła nt. „Języka czasopism wydanych na Pomorzu Gdańskim”. Autorka zajęła się „Szkółką Narodową”, „Biedaczkiem” i „Nadwiślaninem”. Pokrótkę scharakteryzowała sytuację czasopiśmiennictwa polskiego na Pomorzu Gdańskim i następnie szczegółowo omówiła język wybranych periodyków. W dyskusji mówiono m.in. o wpływach wschodniosłowiańskich na polszczyznę Pomorza na podstawie kilku ciekawych przykładów. Na ciekawe i mało penetrowane zagadnienie zwróciła uwagę dr Regina Pawłowska, referentka mówiła bowiem o „Polszczyźnie Gdańska w podręcznikach szkolnych z XVII w.”. Mieszkańcy Gdańska, choć w większości cudzoziemcy, byli bardzo zainteresowani nauką języka polskiego. Dlatego posyłali dzieci do szkół klasztornych i prywatnych, a od roku 1589 młodzież gdańska mogła się uczyć j. polskiego w Gimnazjum Akademickim, gdzie otwarto lektorat języka polskiego. Referentka mówiła więc o polskich gramatykach, czytankach szkolnych, listach, słownikach. Co ciekawe, były to pierwsze gramatyki języka polskiego w ogóle. Autorzy podręczników gdańskich to w większości cudzoziemcy, ludzie o różnym pochodzeniu społecznym i narodowym. Prawie zupełnie brak w nich germanizmów i odbicia wymowy kaszubskiej, są natomiast cechy mazowieckie, wielkopolskie, łódzopomorskie, a u jednego z pisarzy, który polszczyznę uczył się na Wileńszczyźnie — kresowe. Dr Pawłowska na podstawie własnych ustaleń skonstatowała, że w XVII w. musiała istnieć także jakaś polska gwara gdańska.

Doc. dr hab. Kwiryna Handke podsumowując obrady stwierdziła, że bardzo cenne referaty wyznaczyły nowe wielkie pole badawcze i zapowiedziała spotkania tego typu co dwa lata. Na koniec dyrektor Muzeum Piśmiennictwa i Muzyki Kaszubsko-Pomorskiej w Wejherowie, dr Krystyna Makowska podziękowała wszystkim biorącym udział w ich przygotowaniu.

W niedzielę uczestnicy sesji zwiedzili kościół i skarbiec ss. benedyktynek w Żarnowcu i obejrzeli elektrownię szczytowo-pompową oraz teren budowy elektrowni atomowej.

Marek Cybulski

UROCZYSTE ODSŁONIĘCIE OBELISKU WE WŁADYSŁAWOWIE

Z inicjatywy miejscowego Koła ZBOWiD i władz miejskich 11 października br. odsłonięto przy ul. Męczenników Wielkiej Wsi we Władysławowie obelisk poświęcony poległym żołnierzom i osobom cywilnym zamordowanym przez okupanta hitlerowskiego w 1939 r.

Patronat nad budową objął naczelnik miasta mgr Gerhard Sikora, przewodniczącym Społecznego Komitetu wybrano zasłużonego działacza społecznego kol. Kazimierza Kamińskiego. Obelisk wykonano przy pomocy mieszkańców miasta, przedsiębiorstw z terenu miasta, a szczególnie Przedsiębiorstwa Gospodarki Komunalnej i Mieszkalniowej.

W obronie Wielkiej Wsi, obecnie Władysławowa zginęło 30 marynarzy i żołnierzy. Po wkroczeniu wojsk niemieckich do Władysławowa Niemcy rozstrzelali na ul. Męczenników Wielkiej Wsi 26 mieszkańców Władysławowa i Swarzewa, między innymi: Alojzego Bolda, Franciszka Brzozowskiego, Leona i Pawła Bzików, Wiktora Ceynowe, Józefa Derca, Juliusza Dettlaffa, Alfonsa Gole, Józefa Koziroga, Bernarda Milewczaka z ośmioletnim synem Pawłem, Józefa Nadolskiego z osiemnastoletnim synem Stefanem, Andrzeja Pomieszczyńskiego, Leona Wrecze i jego syna Franciszka.

Przed obeliskiem żołnierze, harcerze i młodzież zaciągnęli warty honorowe. Przybyła kompania honorowa i orkiestra, młodzież szkolna, delegacje zakładów pracy, instytucji i organizacji, wojska polskiego i mieszkańcy miasta. Po odegraniu hymnu państwowego i powitaniu zebranych przez inż. Alojzego Butlewskiego głos zabrał prezes miejscowego koła ZBOWiD Bernard Henzel, który przypomniał wydarzenia z tamtych dramatycznych lat oraz zaapelował o pokój i pamięć o tych, którzy poświęcili w obronie ojczyzny swoje życie, a także podziękował wszystkim, którzy przyczynili się do powstania pomnika. Władysław Koss z Władysławowa, świadek tego wydarzenia, w swoim wystąpieniu również przypomniał dzień 11 września 1939 r.

Pomnik odsłonił p. Grabowska z Władysławowa, której mąż i syn zginęli w tej masakrze, oraz Władysław Koss. Kompania wojska polskiego oddała salwy honorowe. Odbył się również apel poległych.

W godzinach popołudniowych delegacje władz politycznych i administracyjnych miasta, zakładów pracy i młodzieży złożyli wiązanki kwiatów na cmentarzach poległych i pomordowanych, na cmentarzu pod Swarzewem, Armii Radzieckiej w Chłapowie i pod pomnikiem lotników radzieckich w Rozewiu.

Jerzy Patock

„KASZUBI POD WIEDNIEM” W PLENERZE

Dla uczczenia 300 rocznicy odzieszy wiedeńskiej Chojnicki Dom Kultury postanowił przedstawić w plenerze sztukę Jana Karnowskiego „Kaszubi pod Wiednem”. W trakcie przygotowań jednak koncepcja się zmieniła i ostatecznie powstało widowisko plenerowe pod takim samym tytułem „Kaszubi pod Wiednem”, lecz według nowego scenariusza, bez tekstu słownego, z niektórymi tylko scenami z Karnowskiego. Wystawiono je w sobotę 24 września wieczorem w Parku Tysiąclecia w Chojnicach.

Zaczął się w zupełnej ciemności. Smuga światła wyloniła z czarnej otchłani tańczącą dziewczę — to Rzeczpospolita, naprzemian w bieli i czerwieni. Potem sabat czarownic i zstępujący ze wzgórz zastęp aniołów — symboliczna walka dobrego ze złem. Światło pada na grupę żniwiarzy — jesteśmy na Kaszubach, po żniwach odbywa się dożynkowa zabawa. Ale oto zmiana sytuacji, jupitery naprowadzają wzrok na turecki obóz: nadciąga złowroga potęga. Sceny zmieniają się jak w kalejdoskopie. Opatrzność zsyła meżnego króla, odbywa się koronacja Jana III Sobieskiego. I znów na zmianę obrazy spokojnego życia ludu i groźnych Turków, aż wreszcie starcie staje się nieuniknione. Ukazują się oddziały wojska pod sztandarami polskiego orła i kaszubskiego gryfa. Zbliżają się ku sobie dwie wielkie moce, a nad nimi olbrzymia śmierć raduje się, iż zbierze żniwo. I wreszcie pieśń „Kto się w opiekę” i bitwa, też przedstawiona jako taniec śmierci. Leżą na poboju janczary i polscy rycerze, kładą się tureckie sztandary, a pozostają w górze proporce z orłem i gryfem. Na happening karzący anioł opatrności podpala wezyrskie namioty. Wracają utrudzeni i okryci sławą kaszubszy żołnierze, odbywają się zrękowiny Franka Kulczyka i Anusi Wika-Czarnowskiej. Na koniec rozbyskują triumfalne rakiety.

Wiele było w tym widowisku symboliki, mniej realistycznych obrazów. Więcej zamarkowanych sytuacji, niż jasnych do końca scen. Część spośród kilku tysięcy widzów, spodziewając się większego rozmachu i dużych batalistycznych sekwencji, odeszła z uczuciem niedosytu. W sumie jednak było to piękne i wartościowe widowisko, zrealizowane z dużym ładunkiem wyobraźni twórczej. Dzięki temu wielka teatralna scena pod gwiazdystym niebem, przy wspaniałych efektach dźwiękowych (przede wszystkim dobre nagrania muzyczne) i świetlnych, dostarczyła chojniczanom niezapomnianych wrażeń.

Do współpracy w realizacji widowiska Chojnicki Dom Kultury poprosił studentką grupę teatralną „Stop” z WSP w Słupsku, ponadto

udział wzięła grupa teatralna „Klepsydra” z Chojnic, zespół „Krubanie” z Brus, uczniowie LO z Chojnic. Scenariusz opracował Mirosław Gliniecki, scenografię według własnej wizji skonstruował Marian Thiede, a dźwiękiem i światłami operowali Jarosław Kowalski, Piotr Samulak i Piotr Fichler. Całość reżyserował Stanisław Miedziewski. Nagrania muzyczne wykonano w Polskim Radio w Bydgoszczy pod kierownictwem Pawła Janickiego. (ko)

MUZEUM W PROKOWIE

W ostatnim dniu września tego roku w Prokowie pod Kartuzami odbyła się niecodzienna uroczystość z udziałem dyrektora miejscowej szkoły Mariana Kowalewskiego, nauczycielek i dzieci, które pięknie recytowały i śpiewały, także sołtyśki Hildegardy Sochy i sporego grona zaproszonych gości. To liczne grono zebrało się z okazji otwarcia prywatnego muzeum Franciszka Kowalewskiego, miejscowego tokarza, właściciela warsztatu znanego z wyrobu stylizowanych kaszubskich mebli. Teraz Franciszek Kowalewski dał się poznać jako zbieracz starych sprzętów i narzędzi — zabytków kultury materialnej Kaszub, które zgromadził przede wszystkim z terenu własnej i okolicznych wsi, a także eksponatów z pogranicza geologii i archeologii.

W muzeum w Prokowie, które na razie mieści się w piwnicy, znajdują się nie używane już dziś, nieznane młodym sprzęty gospodarcze takie jak: cierzynka, ręczny magiel, donica do ucierania tabaki i tabacznik, żelazka na dusze, węgiel drzewny i spirytus, najróżniejsze starodawne lampy, wagi i wiele innych przedmiotów, a także dziwne kamienie ukształtowane ongiś przez lodowiec, m. in. „but stolema”. W dniu otwarcia muzeum liczba zgromadzonych w nim eksponatów sięgała setki, a od tego czasu już wzrosła. Twórca i zarazem znakomity przewodnik po muzeum, barwnie objaśniający każdy ze znajdujących się w nim przedmiotów, ma więc w planie budowę specjalnego pomieszczenia dla swych zbiorów, które najpewniej w piwnicy wkrótce już się nie będą mieściły.

Prywatne muzeum Franciszka Kowalewskiego w Prokowie nie jest pierwszą tego typu inicjatywą na Kaszubach. Od prywatnych zbiorów Franciszka Tredera i Leonarda Brzezińskiego zaczęła się historia placówek muzealnych w Kartuzach i Wielu. Znanie jest Małe Muzeum Rybackie Józefa Budzisa w Pucku. Charakter prywatnego muzeum miał ongiś dom dra Jana Łukowicza w Chojnicach (niestety po jego śmierci zbiory uległy rozproszaniu), w którym to

mieście, w skromnym metrażowym mieszkaniu, zgromadził i udostępnił bogactwo eksponatów również Albin Makowski. Pasja zbieracka pana Franciszka jest kontynuacją tej dobrej kaszubskiej tradycji. Zasługuje nie tylko na uznanie, ale również wsparcie całej prokowskiej społeczności. Wiele jeszcze zapomnianych i zapoznanych przedmiotów z przeszłości można przecież znaleźć w każdym gospodarstwie. Warto aby trafiły do zbiorów Kowalewskiego. (it)

Z ŻYCIA ZRZESZENIA

W ODDZIALE ŁĘBORSKIM

21 października br. odbyło się zebranie sprawozdawcze - wyborcze Oddziału Łęborskiego Zrzeszenia. Licząc dziś 60 członków oddział w Łęborku powstał 17 września 1981 roku. W krótkim okresie swej działalności podjął wiele znaczących inicjatyw. Obszerne sprawozdanie z działalności ustępującego zarządu przedstawił prezes Stefan Fikus. Wielu członków za aktywną pracę w oddziale otrzymało książki, dyplomy i pamiątkowe grafiki. Na następną kadencję wybrano nowy zarząd w składzie: Stefan Fikus (prezes), Irena Górską, Maria Jaszewska, Jan Klinkosz, Genowefa Oss, Edmund Piotrowski i Ryszard Wentta; członkami komisji rewizyjnej zostali: Joanna Koszałka, Kazimierz Baranowski i Alojzy Koszałka. Nowy zarząd przedstawił na najbliższy czas bogaty plan działalności. Do najważniejszych inicjatyw należą: wydanie monografii działaczy łęborskich oraz uwiecznienie starych siedzib dla oddziału (uczestnicząca w zebraniu przedstawicielka miejscowych władz obiecała, że sprawa ta będzie załatwiona pozytywnie).

Zarząd Główny reprezentowali: Zbigniew Talewski i Stanisław Janke. (s.j.)

Z LUZINA

Oddział ZK-P w Luzinie urządził we wrześniu i październiku dwie dwudniowe wycieczki na trasie Luzino — Stary Licheń, Toruń — Kwidzyn. Łącznie brało udział 81 osób. Uczestnicy wycieczek wykupili cegielki na budowę siedziby głównej Zrzeszenia za 1000 zł i zebraли 800 zł na Fundusz „Pomeranii”. Podziękowanie za organizację wycieczek należy się Jadwidze Semok, członkini Zarządu Oddziału Łużyńskiego; kierownikiem wycieczek był prezes Feliks Sikora. (F.S.)

INFORMACJA ZE SŁUPSKA

Członkowie zarządu Oddz. Słupskiego Zrzeszenia Kaszubsko-Pomorskiego — Tadeusz Bądkowski i Janusz Dąbrowa opracowali czterostronicowy „Informator” o pracy Oddziału. „Informator” przedłożony na zebraniu sprawozdawczo-wyborczym podsumowuje dwu i pół letnią kadencję zarządu. Przypomnijmy, iż Oddział Słupski, który aktualnie ma ponad 100 członków, ukonstytuował się ostatecznie 25 marca 1981 r., tym razem został zarejestrowany. Wiele przedsięwzięć Słupczan jest czytelnikom „Pomeranii” znanych, np. ufundowanie tablicy upamiętniającej działanie wójta gminy Lipnica Józefa Słomińskiego i tablicy na budynku sztabu TOW „Gryf Pomorski” w Czarnej Dąbrówce, zorganizowanie sesji poświęconej działalności partyzantów kaszubskich, a także znaczący współudział we wzniesieniu pomnika-krzyża na Górze Piszczatej w ub. r. i obelisku „Kaszubi pod Wiedniem” w Brzeźnie Szlacheckim.

„Informator” zawiera sporo danych o przedsięwzięciach zarządu Oddziału, które dotąd nie zostały jeszcze w pełni zrealizowane, co potwierdza, że w pracy społecznej trzeba podjąć wiele działań, z których jedynie część udaje się załatwić w planowanym terminie. Oddział Słupski przyczynił się wprawdzie do zwiększania budżetu Skansenu Kultury Słowińskiej w Klukach, ale nie udało mu się sprawić, aby otoczono konserwatorską opieką cmentarz w Klukach i do tej pory nie udało mu się utrwalić postaci Ruty Ketsch, ostatniej sołtyski z rodu słowińskiego. Oddział napotyka także trudności w upamiętnieniu w Słupsku Michała Mostnika (Pontanusa); czas, aby decydenci poczytali co nieco o Mostniku.

Najmniej udało się start w działalności wydawniczej. Właściwie jest fałstart, choć jest nadzieja, iż pierwsze książki ukażą się w roku przyszłym.

Zarząd czasowo znajduje miejsce na spotkaniach członków w klubie „Nastolatki” przy ul. 22 Lipca nr 5. Własny lokal dla Zrzeszenia prezydent miasta obiecał przydzielić przy ul. Jaracza. (w.j)

NOWE WŁADZE W SŁUPSKU

Zebrania sprawozdawczo wyborcze w oddziałach rozpoczął Słupsk 12 września br. Sprawozdanie z działalności w ubiegłej kadencji przedstawił Zbigniew Talewski (o dokonaniach słupczan piszemy w oddzielnej nocie). Oddział po dwóch latach okrzepł. Obecnie liczy 100 członków.

Zebrani oceniając pozytywnie dotychczasową działalność zwrócili uwagę na potrzebę rozwinięcia nowych inicjatyw kulturalnych, zre-

alizowania planów wydawniczych i integrację środowiska kaszubsko-pomorskiego oraz na konieczność skupienia większej liczby członków wokół realizacji zadań Zrzeszenia.

Wybrano nowy Zarząd Oddziału w składzie: prezes — Zbigniew Talewski, wiceprezesi — Jerzy Dąbrowa-Januszewski i Roman Niklas, sekretarz — Tadeusz Bądkowski, skarbnik — Krystyna Szkudlarek, członkowie — Jan Tyborczyk, Krystyna Marczyk, Jadwiga Widzowska, Leszek Mąka i Ryszard Wrzesiński. Do komisji rewizyjnej weszli: Kazimierz Chamier-Gliszczyński, Honorata Tobczyk i Andrzej Remelski. W zebraniach z ramienia Prezydium uczestniczył sekretarz Zarządu Głównego Tadeusz Gleinert.

W związku z upływem 25 lat od wydania pierwszej publikacji książkowej Anny Łajming kol. Tadeusz Gleinert wręczył Jubilatce okolicznościowy dyplom gratulacyjny i kwiaty od Zarządu Głównego z życzeniami rychłego powrotu do zdrowia i pracy pisarskiej. Pani Anna Łajming w roku bieżącym została odznaczona za całokształt twórczości literackiej Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski. (tad.)

POWSTAŁ KLUB MIŁOSNIKÓW WDZYDZ

W czasie XII Spotkań Wdzydzkich Ryszard Nałęcz-Jawecki zwrócił się z wnioskiem do władz Zrzeszenia Kaszubsko-Pomorskiego o powołanie przy Zarządzie Głównym Klubu Miłośników Wdzydz „Nad Wdzydzami”. Poza wymienionym w skład grupy inicjatywnej klubu weszli: Zofia Nałęcz-Jawecka, Aldona Baranowska, Henryk Baranowski, Elżbieta Olszewska-Hebanowska i Marek Hebanowski.

„Bezpośredni asumpt do takiej inicjatywy — piszą w liście do ZG ZK-P miłośnicy Wdzydz — dała sytuacja na jeziorze Wdzydze i w jego okolicach zmuszająca do podjęcia działań społecznych przeciwdziałających dewastowaniu i zmianie charakteru naturalnego środowiska na Wdzydzach i w jego okolicach.

Powstające liczne obiekty rekreacyjne jak i gospodarka tymi unikalnymi w swym naturalnym pięknie i charakterze terenami budzi niepokój miłośników tej okolicy.

Zachowanie naturalnego charakteru jeziora Wdzydze i okolic oraz dostosowanie sposobu użytkowania tych terenów przez turystów (w tym przez turystykę masową) jak i przez stałych mieszkańców do wymogów niezubażania tego co stanowi spuściznę poprzednich pokoleń tej kaszubskiej ziemi i zachowania dotychczasowego charakteru budownictwa wiejskiego i rekreacyjnego jak i niezmiennego środowiska naturalnego — winno być przedmiotem społecznej troski

zarówno nas miłośników tej ziemi i jej tradycji jak i władz regionalnych.

Sposób użytkowania jeziora i jego okolic, zwłaszcza w okresie letniego nawału turystycznego, w jego obecnym charakterze jest przykładem (z wyjątkami potwierdzającymi regułę) nieliczenia się z wymogami traktowania jeziora Wdzydze jako unikalnego miejsca, gdzie przyroda i ludzie w swoistej symbiozie wytworzyli miniregion Kaszub stanowiący unikalny składnik naszego majątku narodowego. (...).”

Prezydium Zarządu Głównego — na swym posiedzeniu w dniu 29 września br. — poparło inicjatywę grupy założycielskiej klubu i zatwierdziło w pełni jej program działania. (s.j.)

ODBUDOWANY POMNIK SOBIESKIEGO W CHOJNICACH

Przed 50 laty, w dniu 17 września 1933 roku w lesie miejskim w Chojnicach w obecności ok. 5 tys. mieszkańców miasta ówczesny starosta Jan Mieszkowski odsłonił pomnik Jana III Sobieskiego. Na obelisku widniał medalion z wyrzeźbioną głową Jana III, pod nim napis z imieniem króla i daty: 1674 — 1696 (daty panowania), 1683 — 1933. Obelisk wzniesiony został staraniem Towarzystwa Upiększania Miasta, a szczególnie jego prezesa aptekarza Jana Zielińskiego, wykonawcą zaś był budowniczy miejski Baldamus. W pierwszych tygodniach okupacji hitlerowcy zniszczyli tę cenną pamiątkę obchodów 250 rocznicy odsieczy wiedeńskiej.

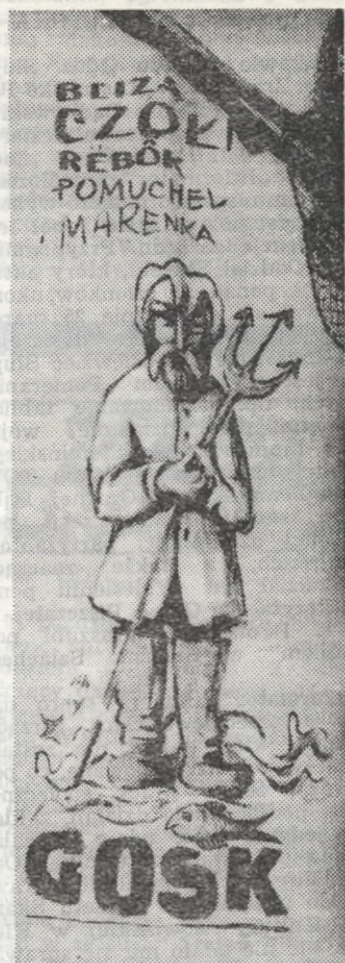
Z inicjatywy Oddziału Zrzeszenia Kaszubsko - Pomorskiego, dla uczczenia 300 rocznicy sławnej wiktory wiedeńskiej pomnik został odbudowany. Znaczne nakłady na ten cel przeznaczyły władze z budżetu miejskiego, zlecając wykonanie prac budowlanych Przedsiębiorstwu Gospodarki Komunalnej i Mieszkaniowej. Zrzeszenie ufundowało natomiast rzeźbę i napis na pomniku; wykonawcą tego dzieła jest rzeźbiarz Antoni Łangowski z Czerska wraz z synem Krzysztofem. Pomnik nie jest identyczny z wzniesionym przed wojną, lecz nawiązuje do poprzedniej formy.

24 września 1983 r. w godzinach popołudniowych w lesie miejskim, przy rozwidleniu dróg do Chojniczek i Jarcewa, odbyła się uroczystość odsłonięcia odbudowanego pomnika. Wprawdzie nie tak okazała jak przed półwieczem, lecz również podniosła. Organizatorem uroczystości był Oddział ZK-P. Uczestniczyli mieszkańcy miasta młodzież szkolna, a także przedstawiciele władz z naczelnikiem miasta Jerzym Szczukowskim, zastępcą naczelnika Markiem Wituszyńskim, władze polityczne z I se-

VI TURNIEJ GAWĘDZIARZY LUDOWYCH KASZUB i KOCIEWIA



Nie raz już w ciepłych słowach pisaliśmy o wieloletnim Turnieju Gawędziarzy Ludowych Kaszub i Kociewia. W numerze listopadowym (11/83) o ostatnim turnieju pisał Stanisław Pestka, jednocześnie zamieściliśmy zdjęcie wszystkich uczestniczących w nim gawędziarzy. Turniej gawędziarzy we Wielu jest zawsze dobrze przygotowany organizacyjnie, w czym główna zasługa Józefa Brzezińskiego. W 1983 r. wybudowano nad jeziorem udaną, stylową, krytą scenę. W czasie trwania turnieju we „wsi dwóch pomników” (!) wisiały liczne afisze informacyjne, ale szczególnego klimatu nadawały artystyczne płótna przedstawiające obrazy zaczerpnięte z folkloru kaszubskiego. Publikowane tu zdjęcia autorstwa Leonarda Szmaglika nie oddają w pełni ich kunsztu i swistego klimatu ciepła. Malowidła w barwach ciemnobrązowych na szarym płótnie, stosowanym w hafcie kaszubskim, metrowej szerokości i trzymetrowej wysokości, zawieszane były na odpowiednich słupach wraz z oryginalnymi wytworami kaszubskiej kultury materialnej, np. drewnianym kołem wozu, szindlami czyli nosidłami do wiader z wodą albo miotłą.



kreteżem KM partii Zbigniewem Smigielskim, działacze organizacji społecznych. Po odegraniu hymnu przez kolejową orkiestrę dętą prezes Oddziału ZK-P Kazimierz Ostrowski zagaił uroczystość oraz w wygłoszonym przemówieniu przypomniał historyczne tradycje związane z Janem III Sobieskim i odsieczą wiedeńską na Pomorzu. Aktu odsłonięcia pomnika dokonał przewodniczący MRN w Chojnicach Alfred Cwiok. Złożono pod pomnikiem wiązanki kwiatów.

Mieszkańcy Chojnic, a zwłaszcza starsi, pamiętający przedwojenny pomnik, z zadowoleniem przyjęli powrót Jana III Sobieskiego na swe dawne miejsce w podmiejskim parku. (ko)

WMUROWANIE AKTU EREKCYJNEGO POD POMNIK W LUBIANIE

24 września br. w Lubianie, nie opodal skrzyżowania dróg prowadzących do Chojnic, Bytowa i Kościerzyny odbyła się uroczystość wmurowania aktu erekcyjnego pod pomnik bohaterów bitwy partyzantów „Gryfa Pomorskiego”. Na uro-

czystości przybyli uczestnicy XIII Kaszubsko-Pomorskich Spotkań Wdzydzkich, przedstawiciele władz politycznych i administracyjnych Kościerzyny, kościerscy harcerze i kombatan ci oraz uczniowie Szkoły Podstawowej w Kornem, którzy przejęli pieczę nad przyszłym pomnikiem. Historię tej bodaj największej potyczki, jaką stoczyli gryfowcy przypomniał zebrany dr Jerzy Knyba. W bitwie zginęło ośmiu partyzantów: Władysław Eichman z Piechowic, Augustyn Kaiser i Teofil Kaiser z Tuszków, Hubert Landowski i Józef Męcikałski z Lipusza, Bernard Miloch, Władysław Męcikałski i Alfons Turzyński z Kalisza.

Akt erekcyjny wmurował brat jednego z poległych i uczestnik tej pamiętnej bitwy emerytowany nauczyciel Zygmunt Landowski, a w imieniu uczestników XIII Spotkań Wdzydzkich Tadeusz Bolduan, który spędził w pobliskim Kornem lata okupacji. Także w imieniu uczestników Spotkań Wdzydzkich wiązankę kwiatów złożyła Weronika Iglantowicz, córka Tomasza Rogali, znanego działacza społecznego, który w 1919 roku był w pamiętnej delegacji w Wersalu. Uroczystość prowadził Jan Machut.

Pomnik stanie na ziemi ofiaro-

wanej przez Brunona Szulę, rolnika ze wsi Korne. Odsłonięcie obelisku przewiduje się na dzień 26 maja 1984 roku, w 40 rocznicę bitwy. (s.j.)

NASZE WYDAWNICTWA W NAJBLIŻSZYM CZASIE

Podczas XIII Kaszubsko-Pomorskich Spotkań Wdzydzkich wiceprezes Oddziału Gdańskiego Maria Kowalewska przedstawiła tytuły książek, które powinny ukazać się nakładem Zrzeszenia jeszcze w bieżącym roku. Wielu czytelników interesuje się bardzo wydawnictwami oficyny ze znakiem pieczęci Świętopełka, dlatego publikujemy informacje uzyskane we Wdzydżach. Najbardziej są zaawansowane:

● tom poetycki „Drogi” Jerzego Stachurskiego z interesującymi fotografiami Krzysztofa Jakubowskiego. To niemal albumowe wydawnictwo zawiera „Poetyckie komentarze” do fotografów pomorskich bożych męk:

● wiersze kaszubskie Stanisława Janke (debiut książkowy naszego redakcyjnego kolegi) „Ju nie



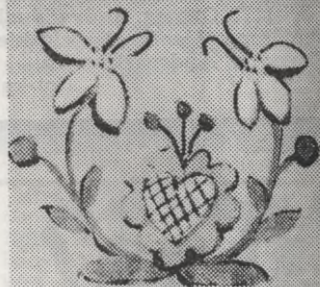
Ten wystrój służył dobrze wsi i turniejowi. Służył już sześć lat. I mimo całej oryginalności wnoszącej, aby po jego utrwaleniu na łamach „Pomeranii” zakończył użyteczną służbę w Wielu. Zaprezentowałbym go nawet w innych miejscowościach przy stosownej imprezie. Natomiast Wiele, mimo kryzysu i ogólnego braku pieniędzy, powinno się zdobyć podczas turnieju na nowy plastyczny wystrój. Wszak plastycy przeżywają najgłębiej obecne niedostatki materialne. Obecne płótna autorstwa małżeństwa Nałęcz-Jaweckich z Wdzydz Tucholskich zapewne zostaną zachowane.

Nic nie ujmując artystycznym dokonaniom Nałęcz-Jaweckich zauważyć warto, że artystów zainspirował zapewne „Bedeker kaszubski” I. Trojanowskiej i R. Ostrowskiej. To tylko przykład jak jedne dokonania w kulturze rodzą drugie. Przykładów na to w ostatnich latach na Kaszubach znajdziemy więcej. Warto bliżej byłoby spojrzeć na te wzajemne interdyscyplinarne uzależnienia w dokonaniach twórczych w naszym regionie.

(w.k.)

**NÔRCËK
POBRZËKACZ
BAZUN**
KLUMPY
KLUKA
KLIPA
KARA
CZIPKA
KIERZENKA

PTÔK
BULWË
WRËCZI



jem motelnikiem”. Ilustracje Andrzeja Arendta.

- wspomnienia Alojzego Liegmana pt. „Więzień toruńskiego fortu VIII”;

- wspomnienia Bolesława Boraka pt. „Drogi, ścieżki i bezdroża”, autora opracowania „Nad Słezą”, związanego z okolicami Koleczkowa;

- II (poprawione) wydanie Zasad Pisowni Kaszubskiej, przygotowane do druku przez Edwarda Breze i Jerzego Tredera;

- folder „Kaszubski Park Etnograficzny” przeznaczony dla KPE we Wdzydzech. Tekst — Tadeusz Sadkowski, ilustracje Marek Dejring.

W dalszej kolejności ukazać się (prawdopodobnie w pierwszej połowie przyszłego roku):

- teka haftów kaszubskich (wielewskich) Leonarda Brzezińskiego;

- wznowienie teki haftów szkoły wejherowskiej;

- bardzo poszukiwany podręcznik „Jak haftować po kaszubsku?” Barbary Rezmer (III wydanie);

- zbiór reportaży pt. „Opowieść o trwaniu Kaszub” zebranych przez Edmunda Szczesiaka. Jest to niejako kontynuacja tomu „Suita Kaszubska”;

- tomik wierszy Staszkiego Jana (Jana Piepki) „Kamiszczci” z

przerywnikami Witolda Bobrowskiego;

- tom poezji Bolesława Faca pt. „Sina jesień”, który ukazuje się w oprawie graficznej podobnej do tomu „Późne lato” Karla Bolaya;

- opowieść „Trzy zielone strzały” Pawła Dzianisza;

- zbiór legend Józefa Ceynowy „Dobro zwycięża”. Przekładu z kaszubskiego dokonała Izabella Trojanowska. Interesujące ilustracje wykonała: Zofia i Ryszard Nałęcz-Jaweccy;

- tom wierszy dla dzieci „Zuzonka jak mrzonka” Stanisława Janke zawierający wiersze kaszubskie i obok, te same w języku polskim także napisane przez autora. Ilustracje Małgorzaty Marczak;

- duża monografia „Dzieje Brus i okolicy” przygotowane przez zespół pod red. Józefa Borzyszkowskiego. Wydawcą jest Oddział Chojnicki;

W przygotowaniu autorskim jeszcze znajdują się:

- „Antologia bajki kaszubskiej” Jerzego Sampa, w której obok tekstów oryginalnych zamieszczone będą tłumaczenia polskie;

- drugie, poszerzone wydanie wierszy i tekstów literackich poświęconych „Piaśnicy” w wyborze Wojciecha Kiedrowskiego, ze wstępem Tadeusza Bolduana. Ilustrował

Witold Bobrowski;

- monografia „Wiele i kalwaria wielewska” Józefa Borzyszkowskiego;

- drugie, poszerzone wydanie biografii Wicka Rogali autorstwa Kazimierza Ostrowskiego pt. „Pieśniarz ziemi jezior”;

- wybór publicystyki Aleksandra Majkowskiego przygotowany przez W. Kiedrowskiego (jako tom IV Pism A. Majkowskiego);

- tom III pism Jana Karnowskiego zawierający dramaty i (prawdopodobnie) poezję. Przygot. Józef Borzyszkowski.

Bądźmy dobrej myśli, však w ostatnich, właśnie niełatwych latach, ukazało się wiele interesujących nas książek.

(w.k.)

JEDNYM ZDANIEM

- Oddział Wejherowski Zrzeszenia Kaszubsko-Pomorskiego wydał na zlecenie Biura Wystaw Artystycznych w Sopocie katalog wystawy grafiki Japonki Michiyo Yamamoto

- W Borzechowie na Kocieniu odrestaurowano XIX-wieczną chatę podcieniową i przeznaczono na siedzibę biblioteki oraz izby regionalnej
- Maria i Józef Firynowie ze Zblewa obchodzili 70-lecie zawarcia

związku małżeńskiego (spizowe go-
dy); 88-letnia jubilatka i 95-letni
jubilat wychowali dziewięcioro
dzieci i doczekali 18 wnuków i 32
prawnuków ● Wydawnictwo
„Iskry” zapowiedziało druk debiu-
tanckiej powieści Franciszka Szczę-
snego zatytułowanej „Na przekór”;
akcja książki toczy się we wsi ka-
szubskiej ● Podsumowano dziecie-
cy konkurs plastyczny pn. „Kartu-
zy — moje miasto”; pierwsze na-
grody otrzymali: Sebastian Cirocki
(w grupie przedszkolnej), Katarzy-
na Goll (7—10 lat), Roman Elas i
Iwona Kwidińska (11—14 lat) (s.j.)
● 29 września 1983 r. Polskie Ra-
dio Gdańsk przedstawiło utwór
Krzysztofa Olczaka — „Szpegow-
sk in memoriam” (do wierszy Jerzego
Stachurskiego). Wykonawcami
utworu byli: Danuta Bernolak —
sopran i Orkiestra Kameralna pod
dyrekcją Grzegorza Sutta. Utwór
ten, wiosną 1984 r. zostanie zreali-
zowany przez Telewizję Polską ja-
ko film muzyczny. (j.s.) ● Wśród
17 najlepszych Klubów Książki i
Prasy „Ruch” z całego kraju 1983 r.
znalazły się dwa kluby gminy Kar-
sin: z Wiela i Osowy. Indywidual-
nie nagrodzono Józefa Brzezińskiego
i Krystynę Andraszkievicz.

(jot-ka).

LISTY

„JAK STARA WYBLAKŁA FOTOGRAFIA”

Minął okres urlopów. Zespół i
Kolegium Redakcyjne wypoczęte,
więc będą Panowie łatwiej mogli
znieść moje uwagi na marginesie
„Reportażu z przeszłości Kartuz”
Ryszarda Ciemińskiego.

Autor przekręca nazwiska. Kup-
ca Sielmanna pisze „po polsku”
Zylman. Przekręca także nazwisko
Niemca, który był właścicielem o-
wych „kapieli borowinowych”. Na-
zywał się i pisał: Nötzel względnie
Noetzel (a nie: Necel). Ulica, przy
której znajdowały się kąpieliska
Nötzla, nazywała się ul. Jeziorna,
gdy pastor Schwandt wydał drugi
nakład swego „Przewodnika po Ra-
ju Maryi” (1913). Ulica Jeziorna
sięgała wówczas i później, jak dłu-
go istniały zakłady kąpielowe Nöt-
zla, od placu św. Brunona do zbie-
gu ul. Leśnej, która za czasów ni-
emieckich nigdy nie nazywała się
„Am Walde”, jak pisze Ciemiński,
lecz Ludwigstrasse.

Jak się nazywał ksiądz emeryt,
co „u Kolków na Wzgórzu Wolności
mieszkał”? Gdyby autor nie był le-
niwym w przyswajaniu sobie uczci-
wych wiadomości z przeszłości Kar-
tuz to przeszedłby się choćby na
cmentarz kartuski i odczytał dok-
ładnie nazwisko owego kapłana i
nie pisałby bzdur. Natomiast skan-
dałem jest twierdzenie, że ks. Kry-
siński był proboszczem w Czece-

wie (był przez wiele lat proboszczem
w Kartuzach!)

Autor pisze, że przy ul. św. Bru-
nona „mieszkał właściciel młyna,
Żyd o nazwisku Silbermann”. O
jaki „młyn” chodzi? Jeśli o ten,
który znajduje się przy ulicy Koś-
ciarskiej (Ludowego Wojska Pol-
skiego), to żaden Silbermann jego
właścicielem nie był. Ten młyn wy-
budował z początkiem tego stule-
cia August Roszkowski, zamieszka-
ły w wybudowanej przez siebie
kamienicy przy ul. Kościarskiej w
pobliżu młyna. Później współwła-
ścicielem został Alfred Sielmann, a
gdy Roszkowski wyprowadził się
do Gdańska, wspomniany Alfred
Sielmann, który nie był żadnym
„młynarzem”, lecz zawodowym kup-
cem, został sam jedynym właście-
cielem owego młyna.

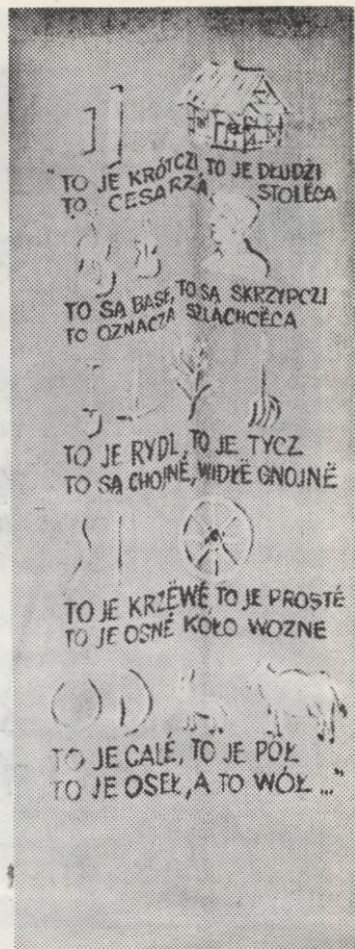
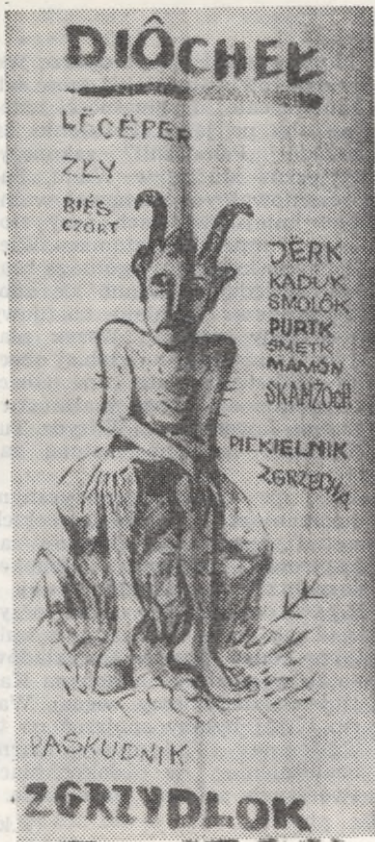
Pisząc o Żydach kartuskich, R.
Ciemiński bawi się także w rabi-
na, co bogobojnego ewangelika
Rengera obrzezał.

I oto inne „kwiatki uliczne”: ul.
Majkowskiego nigdy nie nazywała
się — jak pisze mędrzec reporta-
żu — „Kirchenerstrasse”. Przed I
wojną światową nazywała się
wpierw „Mirchauer Weg” (choć
to była szosa), a potem zawisł u
zbiegu z dzisiejszą ul. 1 Maja
szyld z napisem „Mirchauer Chau-
ssee”. Jeszcze za czasów polskich,

zanim ulica dostąpiła zaszczytnej
nazwy, którą do dziś nosi, nazywa-
ła się Szosa Mirachowska, a nie ul.
Prokowską. Ul. Prokowska była na
Wzgórzu Wolności. Dzisiejsza ulica
1 Maja, zwana za czasów niemieck-
kich Bergstrasse, nosiła w pierw-
szym okresie po odzyskaniu niepo-
dległości miano ul. Podgórznej, a
następnie ul. 3 Maja. Nie było w
Kartuzach żadnej Borowstrasse.
Dzisiejsza ul. Buczka a przedwo-
jenna Hallera nosiła za czasów ni-
emieckich nazwę Dorowstr.

Autor „reportażu” wymienia kar-
tuskich starostów niemieckich, tzw.
landratów. Było ich, jak pisze do-
słownie „ośmioro”. Czy wolno wie-
dzieć, ilu mężczyzn, ile kobiet? Nie
jest też prawdą twierdzenie, że
„trzej pierwsi (starostowie) urząd
swoje sprawowali faktycznie we wsi
Przyjaźń”. Pierwszy landrat, Gro-
deck, urzędował na swym majątku
w Wyczechowie; drugi, Kleist,
na swym majątku w Przyjaźni;
trzeci, Mauwe, urzędował już w sa-
mych Kartuzach.

W chwili pisania tego listu zau-
ważyłem jeszcze jedną bujdę. Oto
obok generała Hallera stoi ponoć
„młody chłopak” — „wieloletni
kartuski zakrystianin Szczepan
Szymichowski”. Młody chłopak?
Przecież w 1920 r. Szczepan Szymi-
chowski już od piętnastu lat pra-





wyprowadziło się liceum żeńskie z ul. Dworcowej w 1916 roku? W budynku dzisiejszego ogniska muzycznego nigdy nie było Szkoły Wydziałowej.

Pragnę tylko jeszcze wyrazić żal, że do tej studni bzdur i fałszów wepchnięto moją osobę.

Ks. ALOJZY F. KOWALKOWSKI
Pelplin

*

Od autora:

Gdy milczą — lub jak autor listu ks. Alojzy Kowalkowski raz na „dziesiąt” lat raczą zabrać głos i to jedynie w odzewie na czyjś głos wypowiedziany uprzednio — fachowcy od tematu, a bibliografia prac dotyczących dziejów mego miasta, Kartuz, jest nadzwyczaj wątpliwa, nie pozostaje nic innego jak wyreżać ich w tym dziele, wysłuchując co bardziej leciwych, pamiętających jeszcze co nieco. Bo reszta jest samą ulotnością. Jeśli więc przeszłość miasta zapisaną nie zostanie, po prostu zetraci się. Bo wiem akurat nie stało badaczy tematu — gdzież są choćby popularne przewodniki, o monografii miasta nie wspominając wcale. Gdzie księgi, jakich doczekało się Wejherowo, Puck, Kościerzyna, Chojnice?

Nie spierajmy się przeto o Sielmanną vel Zylmana, o Noetzlą vel Necla, nie tu bowiem pies pogrzebany. I nie w nazwach ulic takich czy innych, jako że, mnie mam, w braku opracowań przyczyna niejednych nieporozumień w tym względzie. Jeden więc, jak ja, będzie się upierał przy faktach istnienia ulicy Am Walde, kto inny jest istnienie, jak ks. Kowalkowski będzie negował. A racją gdzie?

A może zaklinać się mam, że o fakcie tym to a tym usłyszałem od tego to a tego? Bo przecież przeczytać co bądź w tej materii było nie sposób. Co nieco w niemczyźnie, co też uczyniłem i co bodaj ma mi teraz ks. Kowalkowski za złe. Zapewniam, nie czytając, naraziłbym się na zarzut nieczytania właśnie.

A młyn w Kartuzach był i to niejeden. Nazwiska zaś gdańskiego rabina znów nie uświadczylem. Oto zgubne skutki patrzenia na sprawę wyłącznie z jednej perspektywy.

Ks. Kowalkowski niby to wszystko wie, w piórze zaś ograniczył się do opisu Raju Maryji. Można i tak.

Powiało Pirożyńskim, nie ma co. Jego „moralnie obojętne” tutaj objawiające się w ukrytej we wszystkim formule: Wara od przedmiotu moich niedysiejszych dociekań. Owóż nie. A za jedną czy dwie informacje komplementarne wobec „Reportażu z przeszłości” serdeczne Bóg zapłać.

Ryszard Ciemiński

cował przy kościele kartuskim i był wtedy ojcem trojga dorosłych dzieci.

Ciemiński nie orientuje się kiedy powstała w Kartuzach synagoga żydowska. Nie może się też doliczyć kolejnych rabinów. To byłoby rzeczywiście trudno, bo w Kartuzach nigdy nie mieszkał na stałe żaden rabin. Był tu tylko kantor; mieszkał przy ul. Parkowej. W razie potrzeby przyjeżdżał rabin z Gdańska.

Nieprawdziwym jest twierdzenie, że „wieżyczka po byłej kapliczce św. Krzyża w rejonie Wzgórza Wolności... niegdyś stanowiła znakomite miejsce widokowe”. Prawdą natomiast jest, że obok ruin kapliczki wznosiła się kiedyś wysoka, solidna wieża drewniana, z której szczytu roztaczał się wspaniały widok, w niektóre dni aż do samego Gdańska.

Szkoda, że autor nie wymienił imienia i nazwiska owej „chudej niewiasty z Czerwonego Krzyża”, dobrze znanej w Kartuzach i wielce dla miasta zasłużonej.

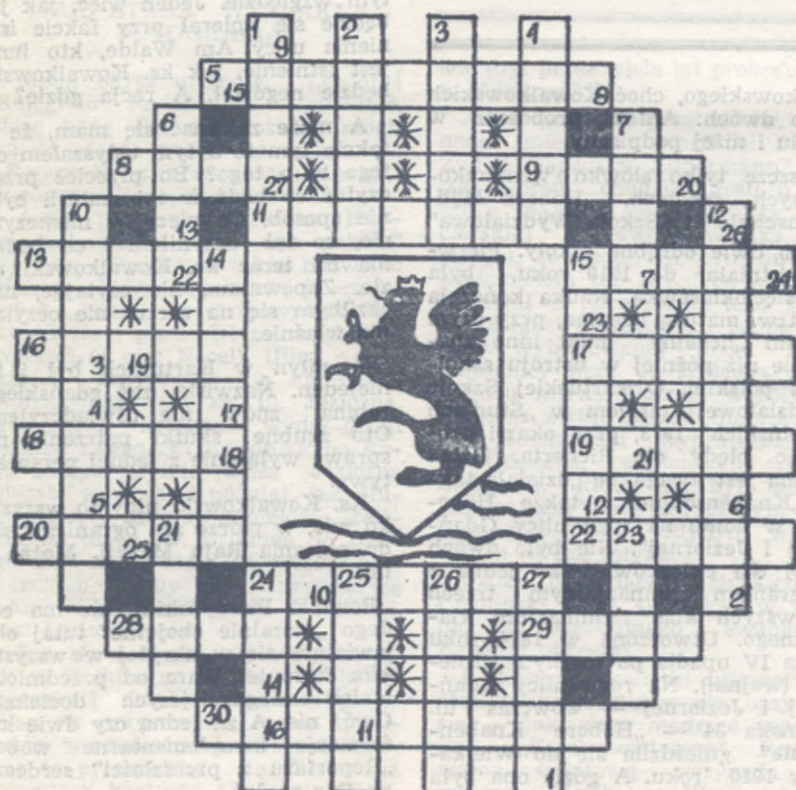
W okresie międzywojennym nie było na terenie całej Rzeczypospolitej żadnego księdza Alfreda Ko-

walkowskiego, choć Kowalkowskich było dwóch: Antoni, proboszcz w Rytlu i niżej podpisany.

Jeszcze tylko słówko o wzmiankowanych szkołach. „Höhere Mädchenschule” i „Szkoła Wydziałowa” — to dwie odrębne szkoły. Pierwsza istniała do 1919 roku, była dziesięcioklasówką. Nauka kończyła się tzw. maturą licealną, przy czym termin „licealny” miał inne znaczenie niż później w ustroju szkolnym polskim. O kartuskiej Szkole Wydziałowej pisałem w „Studiach Pelpińskich” 1973, przy okazji prostując błędy ob. Richerta. Balamutna jest uwaga, że „działała także „Knabenschule”, a także „Höhere”, w domu na rogu ulicy Gdańskiej i Jeziornej. Nie było dwóch szkół dla chłopców, tylko jedna z programem gimnazjalnym trzech pierwszych klas gimnazjum klasycznego. Utworzona w 1914 roku klasa IV upadła po rocznym istnieniu (wojna!). Na rogu ulicy Gdańskiej i Jeziornej — wówczas ul. Gdańska 34 — „Höhere Knabenschule” gnieździła się do Wielkanocy 1910 roku. A gdzie ona była przed tym i po wyprowadzeniu się stamtąd? Niechże nam mędrzec kartuski to wyjawi. Tak samo, dokąd

W najbliższych numerach

- * Edmund Szczesiak—Śladami Remusa (c.d.)
- * Jerzy Treder—Tworzywo słowne utworów Alojzego Budzisa
- * Opowiadania Jerzego Afanasjewa
- * Fragment powieści Lecha Bądkowskiego
- * Pastorałka z Santa Cruz—felieton Miąska
- * Henryk Skorowski—Czas tworzenia

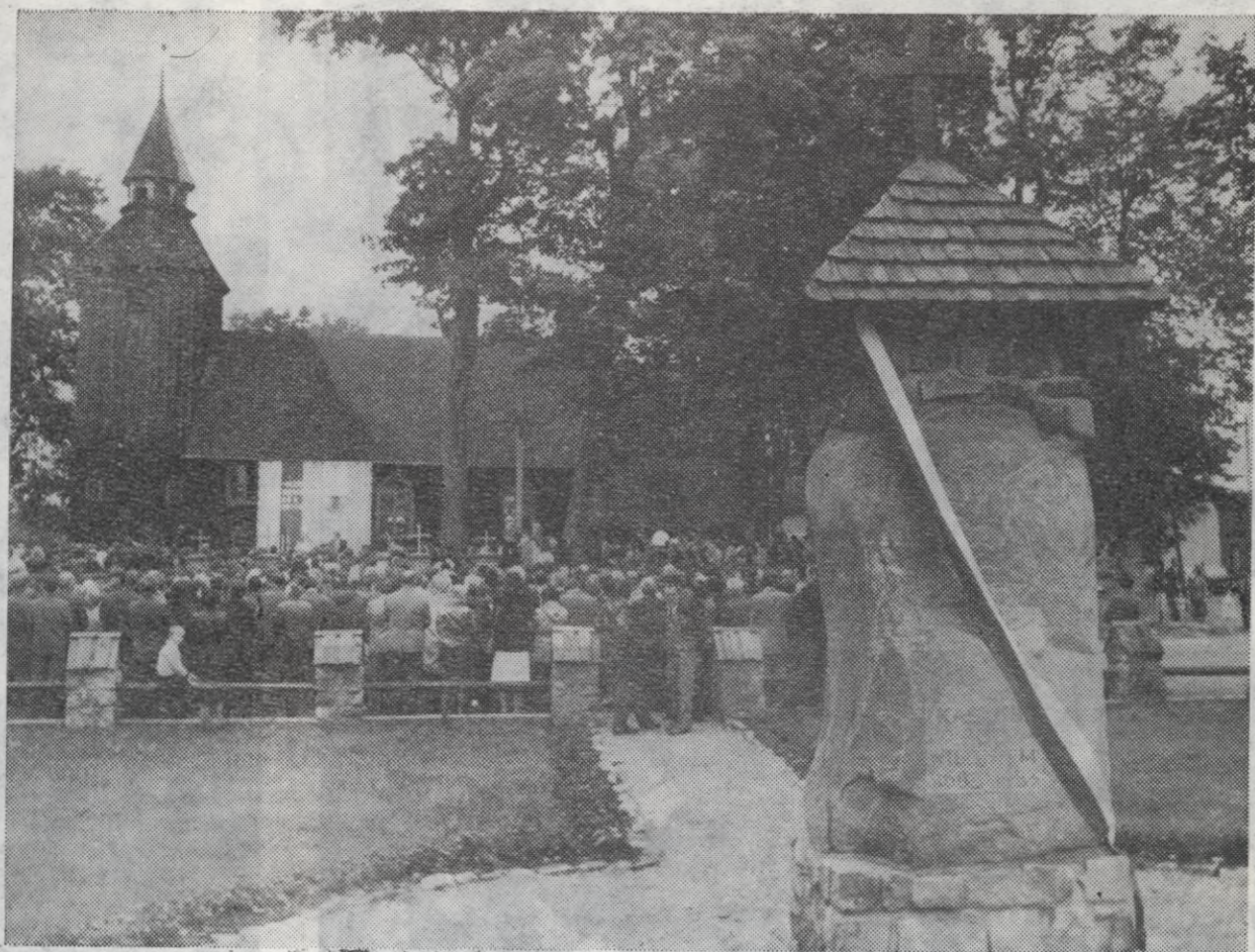


KRZYŻÓWKA

Pozłomo: 5) stare osiedle kaszubskie z klasztorem, 8) płynie przez Bory Tucholskie, 9) zespół śpiewaków, np. „Dzwon Kaszubski” z Gdyni, 11) ważny w muzeum; tak nazywano Wiktora Grułkowskiego we Wdzydzach, 13) znana hafciarka z Żukowa, obecnie mieszka w Kartuzach, 15) zawód Augustyna Necla, 16) imię autorki monografii kościelnej wsi „Pińczyn”, 17) w ręku rzeźbiarzy ludowych, 18) rodzaj pędzla, 19) słynna polska aktorka filmowa (Chałupiec), 20) sabotażowa tajnej organizacji wojskowej „Gryf Pomorski”, dokonana na niemieckim lotnisku wojskowym w Rumli w 1943 r., 22) imię Makowskiego, twórcy sporych zbiorów historyczno-regionalnych w Chojnicach, 24) syn księcia Świętopełka, 28) w chacie albo... na świat, 29) poeta ludowy z Wierchucina, laureat Medalu Stolema; znana ryba, 30) 31 grudnia.

Pionowo: 1) wiszące łóżko, 2) załącznik do pisma, dokumentu, 3) mały okręt wojenny do służby patrolowej, 4) rodzaj bicia, 6) elektryczny, 7) Szymbar-skie z Wieżyca, 10) poeta z Wielu i Wionony, 12) miejscowość letniskowa na Półwyspie Helskim, 14) przy warsztacie tkackim, 15) najpiękniejsza i najbar-dziej znana rzeka Poj. Kaszubskiego, 21) włókno używane do wyrobu grubych tkanin, lin i powrozów, 23) imię „Młodokaszuby” ks. Heykego, 24) w malowidłach, strojach, ceramice, 25) styl pływacki, 26) uliczny lub podwórzowy, 27) szczegółowa karta w talii.

Litery z pól ponumerowanych w prawym dolnym rogu, czytane od 1 do 27 utworzą hasło — rozwiązanie krzyżówek, które należy nadesłać na adres redakcji. Wśród czytelników, którzy nadesła prawidłowe hasło, w ciągu 2 tygodni od ukazania się numeru, rozlosowane zostaną nagrody książkowe. O wynikach poinformujemy w następnym numerze.



W trzysta lat później

— I stanął ten głaz jak stołem zrodzony na kaszubskiej ziemi...

Patetyczne słowa, wzmacnione przez megafony, niosą się po placu, odbijają echem od domów skupionych po obydwu stronach brzezińskiego ryneczku, od bocznej ściany starego, drewnianego kościoła, na której wielkie litery układają się w zdanie: „Przybyłem, zobaczyłem, Bóg zwyciężył”.

Rocznica bitwy wiedeńskiej szczególnie tu, na Gochach, ma żywe tradycje — grzmią głośnieki zawieszane na konarach lip.

Mówca stoi przy obelisku. Czworoboczny słup, w jaki go uformowano, wieńczy drewniany daszek z krzyżem, trzon wypełnia ogromny głaz. Na nim delikatnie wykuty gryf kaszubski i napis: „Kaszubi pod Wiedniem. 1683-1983”.

Ten obelisk, przed którym dzisiaj stajemy, jest wyrazem naszego hołdu i pamięci dla tych, co wtedy pod Wiedniem — huczą megafony.

Wokół skweru tysięczny tłum.

W niedzielny poranek, 18 września Brzeźno przeżywało prawdziwy najazd. Szosą od Łąkiego niemal nieprzerwanie nadjeżdżały samochody. Auta i autokary, a w nich goście ze wszystkich stron Kaszub: z Chojnic, Kościerzyny, Kartuz, Gdańska, Pucka, Lęborka, Słupska, Wejherowa, Bytowa i wie-

lu innych miejscowości. Zapelnily się przygotowane za wsią parkingi, zaludniło w centrum. Z czasem zrobiło się i kolorowo od strojów ludowych, przybyło bowiem kilkanaście zespołów regionalnych. Pie-szo, na rowerach, motocyklach i samochodami nadciągali mieszkańcy okolicznych wsi. Do wielu ro-

dzin przyjechali krewni, niektórzy z daleka, z głębi kraju. Takiego natłoku gości nie notowano w Brzeźnie od dawna. Od pięćdziesięciu lat.

Starsi pamiętają jeszcze tamte obchody przed pół wiekiem: cap-strzyk z udziałem banderii konnej i feerię ogni bengalskich w przeddzień uroczystości, niedzielną mszę polową, przemówienie wójta Augustyna Lew-Kiedrowskiego i wójta z Lipnicy Józefa Słomińskiego, sadzenie pamiątkowej lipy Sobieskiego, defiladę, w której przeciągnęła przez wieś, skrzydłata husaria, pokazy straży ogniowej, występy teatrów amatorskich i zabawę do białego rana. Z rozmachem, z fantazją uczczono 250 rocznicę zwycięskiej wyprawy pod Wiedni i uczestnictwo w niej Kaszubów. „Wiele było obchodów ku czci Sobieskiego, lecz mało takich, które by silniej przemawiały jak obchód